

MAREK NOWAKOWSKI

NOTATKI Z CODZIENNOŚCI

(Grudzień 1982 - Lipiec 1983)

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1983

NOTATKI Z CODZIENNOŚCI

MAREK NOWAKOWSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 383

NOTATKI Z CODZIENNOŚCI

(Grudzień 1982 - Lipiec 1983)

ISBN 2-7168-0039-1

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Meuil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

INSTITUT
PARYZ



LITERACKI
1983

TEGOŻ AUTORA

W BIBLIOTECIE « KULTURY »

Raport o stanie wojennym, T. I, 1982

Raport o stanie wojennym, T. II, 1983

CHOINOWE GAŁĘZIE

Próbuję pisać. Nielekko. Głowa ciężka i mętna. Coraz później wstaję. Zaczynam nasiadówkę przy stole dopiero o dziesiątej. Piszę sztukę radiową na dwa głosy. *Ostatnie słowo oskarżonego*. Aresztant I, Aresztant II. Polski los człowieka. Dwóch podstarzałych mężczyzn dzieli się swoimi wspomnieniami, ich dzieje od wojny do stanu wojennego. Jest pomysł. Chwilami wydaje mi się, że to coś. Chwilami znów, że szajs. Dziś szajs. Zdecydowanie złe wrażenia. Przestaję. Pałę. Spaceruję. Piszę. Pałę. Trzeba ograniczyć palenie. Mechaniczny nawyk. Niewola odruchów. Może i to pisanie takim odruchem? W każdym razie dziś słowa spod pióra drewniane, banalne, nic skrzydeł, lotu, wieloznaczności, urody, pełzają jak robaki po papierze...

Już lepiej spacerować więziennym sposobem po tej niewielkiej klatce pokoju. Za oknem wiatr. Niezimowa aura. Mokro. Szeleszczą papiery i plastikowe torby na balkonie. Tym przykryte paczki, dary od przyjaciół z Zachodu. Żyjemy z paczek. Nawet rozbistwiliśmy się. Czekamy na paczki. Kot wskoczył na parapet. Obserwuje wrony. Obsiadły poprzeczki telewizyjnych anten. Na balkonie leżą choinowe gałęzie. Świeża zieleń. Wraz z choinką przywiózł ze swojej posiadłości Krzysztof. Od tygodnia już wybieram się na grób ojca. Świeża, mocna zieleń. Dobrze będzie wyglądać na szarym grobie.

Ojciec umarł latem 1981 roku. Dzień przed jego śmiercią pojechaliśmy razem do ogródka w W. Był oswiały. Nie chciał nic jeść. Jedynie zgodził się na wiejski ser. Siedział na ławce i milczał. Coś smętnie bąknął o braku wnuka. To zawsze działało na mnie jak nokaut. Co mogłem zrobić? Wyczarować wnuka. Odwieźliśmy go do domu. Wieczorem miałem spotkanie autorskie w hotelu robotniczym budowlanych na Bródnie. Takie sobie. Nieudacznik, rozgadany kierownik klubu. Wielu

imał się zajęć, porzucone studia, aż tu osiadł. Wychwalał *Pod wulkanem* Lowry'ego. — Moja biblia — oświadczył. — Czy dużo pan pije? — zapytałem złośliwie. Nieliczna publiczność, w bamboszach i podkoszulkach, po domowemu. Pytania wyłącznie polityczne. Można powiedzieć: choćby uciekło się do Rilkego czy Leśmiana, zawsze następował uparty powrót do Gomułki, Gierka i sierpniowej burzy. Atmosfera typowa dla tamtych czasów. Ale nie gorąca, raczej apatyczna. Budowlańcy, ludzie z różnych stron Polski, jacyś uciekinierzy od żon, rajzerzy w ogóle. Takie odniosłem wrażenie. Wśród tej hotelowej publiczności facet w garniturku, gładka twarz, baki. Może oczy i uszy królewskie? O coś pytał. Nie pamiętam o co. Następnego dnia rankiem dzwoniłem do ojca. Wybierał się do lekarza. Przypuszczalnie jest przeziębiony. Jak to często mawiał, „coś weszło mu w szyję”. O czternastej dzwoniłem ponownie. Jeszcze nie wrócił. Czułem jakiś niepokój. Ten jego wczorajszy smutek w ogródku. Patrzył tak. Dzwoniłem raz po raz. Nie ma. Niepokój wzrastał. Po szesnastej zadzwonił sąsiad ojca, pan R. Zaczął tak, że natychmiast zrozumiałem. Ojciec upadł wracając od lekarza. Mówili ludzie, że wpierw zachwiał się jak pijany, potem przytrzymał się rachitycznego drzewka, które rośnie przy betonowej alejce między blokami a kościołem. Aż upadł.

Muszę pojechać z tą choiną na cmentarz. Położę zielone gałęzie na szarym grobie.

Często o nim myślę. Mam jego fotografię z przedwojennej, nauczycielskiej legitymacji. Wygląda jak młody Sycyliczyk, emigrujący do USA. Z kręgu Godfathera. Smolista brunet z wąsami. Raczej twarda, surowa twarz. Zapamiętałem go od wczesnego dzieciństwa jako samą łagodność i dobroduszość. Dostarczałem mu wielu mocnych wrażeń. Ale miał do mnie wielką słabość. Wystarczyło, że pogłodziłem go po plecach, szczypaną w czers-ty, rumiany policzek. Topniał jak воск. Zresztą tego szczypania, klepania od niego się nauczyłem. I od razu te jego niebieskie oczy skrzyć się zaczynały radością, zadowoleniem. Zarazem był bardzo uparty. Upór wyskakiwał w nieoczekiwanych momentach i stawał się nieodwołalny. Przed pierwszą wojną światową uczył się w seminarium nauczycielskim. W Warszawie, na Twardej. W niedziele chodzili parami do kościoła. Wtedy jak to wspominał, wyobrażałem sobie czynszowe kamienice z końca ubiegłego stulecia i ojca jako młodzieńca przejętego przyszłym zawodem nauczyciela. Raczej skąpo wspominał odległe czasy. Żył terazniejszością w odróżnieniu od wielu starców, którzy najchętniej cofają się do lat dawnych.

Tak przy tej sztuce radiowej na dwa głosy, co idzie jak po grudzie, dużo o ojcu. Czy był ze mnie zadowolony? Nie postarałem mu się o wnuka. A czekał tak długo i cierpliwie. Żył 85 lat.

CHATA ZA WSIĄ

Na kolacji u E. był Tadek, daleki kuzyn ze wsi. Pracuje w cukrowni, Warszawę odwiedził z okazji kursu techników-cukrowników. Odbывał służbę wojskową, tzw. przedłużoną o pół roku, w stanie wojennym. Opowiada o swoich przeżyciach. Rozwozili prowiant dla oddziałów wojskowych patrolujących okolice miasta, trzymających posterunki przy szosach i mostach oraz w pobliżu dużych zakładów przemysłowych. Zima wojenna była mocna i ostra. Gorąca zupa w kotłach i kawa miały duże znaczenie w tej uciążliwej służbie. Szczególnie patrole zmoty-ryzowane, ci w skotach, odczuwały potrzebę gorącego posiłku. Kolumny skotów wysyłane z dalekich garnizonów miały wiele złych przygód. Te wozy opancerzone, bardzo już wysłużone i stare, często psuły się w drodze; gasły silniki i ani rusz. W tych stalowych pudłach ziąb dokuczał tak jak w lodowce. Niektórzy z żołnierzy ulegali odmrożeniom, zapaleniom płuc itp. Pewnego razu pojechali z prowiantem do skota, który miał zadanie na kierunku zachodnim w odległości około 40 km od miasta. Znaleźli wóz na poboczu drogi. Pusty, bez załogi. Rozglądają się. Biała, śnieżna płaszczyna. Żadnych chałup. Tylko daleko jakieś światółko. Podążyli do tego światółka. Maszerowali około dwóch kilometrów. Samotne gospodarstwo pod lasem. Chata za wsią właśnie. Wałą w drzwi. Otwiera zaspana baba w koszuli. Pytają o żołnierzy. — A są — powiada. Wpuściła ich do chałupy. W izbie pokotem na fufajkach spali żołnierze. A w łóżku dowódca skota z gospodarzem. Leżeli w kolejności następującej: żona gospodarza od ściany, gospodarz w środku, a z brzegu dowódca. Takie i inne przeżycia miał Tadek. Dwa razy dali im ostre naboje. Nie mówili w jakim celu. Potem zdawali w kompanii i szef skrupulatnie liczył, czy wszystko się zgadza.

— Jakie dostawaliście jedzenie? — pytam Tacka.

— Marne — odpowiada. — ZOMO to miało dużo lepsze żarcie.

Odwiedziny studentów z RFN. Byli bardzo zaintrygowani tajemniczym głosem w telefonie monotonnie coś powtarzającym.

— *Something like a voice* — mówili ci młodzi podróżnicy.

Wy tłumaczyłem im, że to nagrane na taśmie ostrzeżenie o kontroli rozmów.

— *Martial law* — przytaknęli z powagą. Ale dalej nie bardzo rozumieli.

Ludzie z Zachodu. Tajemniczy Wschód. Barbaria i siła. Na wszystko przygotowani. Samochód pełen żarcia, leków, mydła, papieru toaletowego itp. Wyprawa na Sybir. Tak potraktowali tę wycieczkę do Polski. Sylwester i Nowy Rok postanowili spędzić w Gdańsku.

— Wałęsa — mówili.

Jedni z trudem, ale prawidłowo wymawiali to nazwisko, inni łamiąc sobie język czynili z niego ostatniego Walezjusza.

Pożegnaliśmy się i pojechali na swoją biegunową wyprawę. Podarowali kilka rolek jedwabiszcie miękkiego papieru toaletowego w różowym kolorze.

Artur nieco zdziwaczał. Niemłody, pod pięćdziesiątkę, rozwodnik, dwie córeczki, sam ze skłonnością do chłopaków. Mieszkał z matką, umarła, przeżył to boleśnie; teraz sam. Wystarczy, żeby zdziwaczeć. Mieszkanie zagracone i ciągle ciemno, zasłania okna. Nocny żryb. W dzień śpi. Rysownik z zawodu, talent mierny. Chociaż interesujące te jego zwiewne akwarele i sceny z baletu, tancerze i tancerki, szczególnie tancerze. Zasłonięte okna budzą podejrzenia. Drukarnia, skład kolportażu? Z tym to się teraz kojarzy. I pewnego popołudnia niespodziewana wizyta. Mocne pukanie i głos: — Ja z parafii! — Artur ma duży szacunek do kościoła, ostatnio parafia interesowała się nim serdecznie, pomoc charytatywna, paczki, odwiedzał ksiądz wikary. Otworzył drzwi. Za progiem typ czerwony, wulgarny, z pakunkiem w szarym papierze pod pachą. — I brzydki — dodał Artur z właściwą sobie skłonnością. Od razu nogę włożył w drzwi. — Mam paczkę od księdza. — Artur nabrał podejrzeń. — Z jakiej parafii? Od jakiego księdza? — Czy to ważne? — tamten odpowiada i ślepiami myszkuje po mieszkaniu. Artur nie wpuścił go do wnętrza i paczki nie przyjął. Zatrzasnął drzwi przed nosem. Tajniak! To podejrzenie uparcie krążyło mu po głowie. Następnego dnia rankiem rwetes na klatce schodowej. Wyszedł w piżamie. Dwie staruszki

niezwykle ożywione. Nocą było włamanie do piwnic. Zeszli na dół. Artur, staruszki, dozorczyńni. Ta dozorczyńni nie bardzo zaskoczona. Wszystkie boksy w piwnicy wybebeszone. Łomem wyłamali kłódki. Ale nic nie zginęło. Piwnica Artura najdokładniej przetrząśnięta. Artur jest pewien. Szukali. Sprawdzali. Ten absolutny brak zaskoczenia na twarzy dozorczyńni. Nawet nie udawała.

Socjalizm ma swoje prawa, i jest wszystko jedno, czy będzie to przed stanem wojennym, w stanie, czy po stanie...

Pewna obywatelka zastała rankiem swój samochód z przedziurawioną oponą. Zastanawiała się, czy nie celowo ta szkoda została wyrządzona. Przerzuciła w pamięci swoje *dossier*. Na pewno jej teczka personalna nie jest czysta. Choć oponę równie dobrze przedziurawić mogli jacyś psotnicy. Ale w dzisiejszych czasach psotników najmniej bierze się pod uwagę.

Obywatelka więc założyła zapasowe koło i pojechała na stację obsługi, do wulkanizacji. Szef zmiany wyznaczył termin za tydzień. Proszony gorąco, oświadczył, że wobec nawału pracy nic nie może przyspieszyć. — Chyba że... — tu pauza, szef znał już petentkę, stała klientka — chyba że spróbuje pani porozmawiać z jakimś pracownikiem. — Petentka udała się na halę szukać pracownika. To znaczy wyjęła banknot wartości dwustu złotych i oświadczyła upatrzonemu pracownikowi, że bardzo jej zależy na tej wulkanizacji. — Zrobi się! — oświadczył ochoczo pracownik — oczywiście, jutro, ósma rano. — Czy aby na sto procent? — pyta doświadczona obywatelka. — Na dwieście! — odpowiada pracownik z szerokim uśmiechem.

Podczas odbioru terminowo załatwanej opony obywatelka odnotowała przyjazd dwóch milicjantów radiowozem. Mieli jakiś defekt w rozruszniku. Zrobiono im to natychmiast i za darmo. Choć krygowali się i chcieli płacić. — Drobiazg — rzekł skromnie mistrz zmiany. Według złotej dewizy: z najbliższą władzą należy dobrze żyć.

Dzwonił G., bardzo ożywiony, wrażenia z lektury ciekawego artykułu w prasie francuskiej. W trakcie rozmowy włączył się naraz trzeci, obcy głos: — No, kończcie już!

G., dynamiczny i nastawiony wolnościowo, jako emeryt wyjechał bez przeszkód do Paryża, wrócił stamtąd przed kilkoma

dniami; zaryczał w słuchawkę: — Co za kurwa podsłuchuje! — Ten trzeci głos zniecierpliwiony: — Żadna kurwa, tylko włączyliście się w moją rozmowę. — Ton jego głosu rzeczowy, intencja czytelna. — No to rozłączamy się — rzekł ugodowo G.

Czasem i tak się zdarza.



Po latach odwiedziłem knajpę wspomnień. Była po generalnym remoncie. Nic nie przypominało dawnego wnętrza. Tylko stara nazwa pozostała. Ponadto ta przebudowa, pełno luksusu, boazerii, kinkietów i tapet, popsuła wnętrze. Stała się brzydsza i mniejsza. Nie było dawnej załogi. Remont trwał bardzo długo i starzy kelnerzy przenieśli się do innych lokali lub przeszli już na emeryturę. Było wśród nich kilku takich, co pamiętali czasy przedwojenne. Jeden, bardzo sympatyczny, zaczynał od pikolaka w Adrii. Ten już umarł. Teraz obsługę stanowiły w większości kobiety. Smukłe i korpulentne. Blondyny i brunetki. W większości młode. Z dawnych ludzi pozostała przystojna, śniada pani, która niegdyś urzędowała przy kasie. Teraz została barmanką. Nic się nie zmieniła. Gładko zaczesana w kok, nie widać we włosach siwizny. Przystojna i zgrabna. Jej jakoś nie ruszył czas.

I pod przeszłość wypilem dwie wódki. Gawędziłem z barmanką o tamtej knajpie wspomnień. Wyznała, że jej również pracowało się w dawnej atmosferze znacznie przyjemniej.

— Obecnie wszystko bardziej przykre — tak powiedziała. Dała przykład sprzed kilku dni. Przyszli dwaj młodzi mężczyźni. Siedzieli przy stoliku i wypili po kilka kieliszków. — Poczuli tę wódkę — powiedziała barmanka — zaszumiło im w głowach. — Napisali na odwrocie rachunku: Niech żyje podziemna „Solidarność”! Kelnerka cap za rachunek i do telefonu. — Jadziu, podrzyj to — mówiła jej pani barmanka — co ty robisz? — Kelnerka jednak o niczym nie chciała słyszeć. Przyszedł dzielnicowy, nawet porządny człowiek, spisał protokół. Dobrze przynajmniej, że puścił tych młodych mężczyzn do domu. Kelnerka Jadzia jest żoną funkcjonariusza MO ze Stołecznej Komendy. — Poczula obcość — powiedziała pani barmanka. Wieczorem opowiedziała o tym zdarzeniu mężowi. Mąż, były akowiec, walczył w Powstaniu Warszawskim, bardzo się tym zdenerwował. — Dość się już napracowałam — oświadczył. — Przejdź na emeryturę.

Potem nie było już czasu na rozmowę. Przy barze zaczął się ruch. Obiadowa pora.



Pani K. jest księgową w dużych zakładach przemysłowych w pobliżu Warszawy. Aktywistka „Solidarności”, delegatka na krajowy zjazd. Spokojna, rzeczowa kobieta pod pięćdziesiątkę, po zawale. Obecnie u niej w fabryce nowy związek zawodowy chce przejąć fundusz „Solidarności”. Nowy związek liczy sobie około czterdziestu członków. Stan załogi tysiąc pięćset osób. Fundusz „Solidarności” w wysokości czterystu tysięcy złotych. Ludzie prowadzą energiczną akcję presji na dyrekcję, partię i wroni związek, ażeby ów fundusz przekazać domowi dla dzieci upośledzonych w miejscowości G., kilka kilometrów od fabryki. Jaki będzie skutek tej akcji, nie wiadomo. Może ustąpią pod ciśnieniem tej masowej inicjatywy.

— Gdybym wiedziała — mówi pani K., która była skarbnikiem związku — to bym te pieniądze rozdała pijaczkom pod gospodą. Przynajmniej zdobyłabym sobie ich dozgonną wdzięczność... Madonna pijacków! — śmieje się niezbyt wesoło.

OPTYMISTYCZNY EDZIO

Z narożnej knajpy wyskoczył Edzio. Przytrzymał mnie za rękaw. Chciał pogadać. Niegolony, siwa szczer na policzkach, wyraźnie w parodniowym transie. Edzio nie traci ducha. Pokój. Wojna. Znosi to jednakowo. Żyje niezmiennym rytmem i dopisuje mu dowcip. Jest wybitnym malarzem. Coraz mniej maluje. Przeważa wódka. Dziś zaczęła go Cyganka. I, jak to ona, też niezmienna, mówi: — Powróżyć, panie! — Nie! — odpowiada stanowczo Edzio. — Ogolić! — Odeszła bez słowa.

Nie znaczy to jednak, że Edzio żyje tylko wódką i żartem; pijane dziecko we mgle. Też reaguje na czas. Ostatnio stworzył sugestywne dzieło. Malarstwo, rzeźba? Jedno i drugie. Czarny krzyż na małej podstawie i drabina świetliście niebieskiego koloru wsparta o ten krzyż. Rzecz jest nieduża, w granicach dwudziestu centymetrów, wzdłuż, w szerz i w wwyż, a ta drabina wydaje się być ogromna, prowadzi gdzieś wysoko w nieskończoność.



Bywa przeważnie szaro i deszczowo. Taka aura. Zima-niezima, deszcze, wiatry, ciepło. W taką pogodę pejzaż mojego życia wygląda okropnie. Brzydkie, brudne miasto, bryzgi wody spod kół samochodów, liszaje na murach. Krajobraz wsi równie odra-

zający. Nudna równina, te domy — maszkarony z prefabrykatów, gołe drzewa, błoto na drogach, ten wsiowy, przykry bałagan w obejściu. Oczy uciekają od wszystkiego. Nie mają oparcia. Przypominam sobie powiedzenie Franca Fiszera gdzieś zapisane. Wrócił z wilegiatury. Pytają, jak było. — Okropnie — odpowiada — krajobraz tak ponury, że nawet miejscowi chłopci przesłaniają sobie oczy rękoma.

◆

Stefan, fryzjer, dzwoniąc z życzeniami przed Nowym Rokiem wyraził zadowolenie z zawieszenia stanu wojennego.

Powiedział mniej więcej tak: — Dosyć mam, kurwa, tych wart, patrolów, bud, suk, petard, armatek wodnych, tego parzywego głosu w telefonie „rozmowa kontrolowana”, całego tego odrutowanego życia...

Rozumiem jego ulgę doskonale. Stefan to stary wyrokowiec. Co prawda nie bojownik o prawa człowieka, tylko kryminalny. Dziesięć lat przesiedział jednak.

— Nie po to zabastowałem z odsiadkami i tyle lat już jestem porządny obywatel, żeby siedzieć jak pod celą — zażartował gorzko.

No tak, wypiska — ta na talony — słaba, kipisz, czyli rewizja co krok, rzędem stoją wartownicy i czasem pokazuje się naczelnika sroga twarz. Przykre reminiscencje dla Stefana. Nawet pozory go urządzają. Rzeczywiście znacznie mniej już ZOMO, z rzadka tylko przetoczą się jakieś nędzne budy, czy wyszczerzy lufą działko z opancerzonego wozu. Dyskretniej. Nocami Polacy z Polakami załatwiają swoje sprawy.

Wyczerpawszy ten temat, życzyliśmy sobie nawzajem lepszego nowego roku. Oby!

◆

Znalazłem w starych szpargałach. Zbierałem niegdyś takie wycinki z gazet. Słabość do nekrologów, które bywają najbardziej lapidarną formą literatury.

„Śp. z Białyńskich — Birula, Katarzyna Dunin-Ślepsć, doktor medycyny, wdowa po śp. Antonim, inżynierze komunikacji, wiezień Ravensbrück, ur. 3 lutego 1880 w Orle, zmarła po długich i ciężkich cierpieniach, opatrzona świętymi sakramentami, dn. 10 maja 1963, nabożeństwo w kościele św. Jakuba, wyprowadzenie zwłok do grobu rodzinnego na Powązkach, córka, siostra, zięć, wnuk, rodzina i przyjaciele”.

Często bywa też tak: rodzina i przyjaciele w kraju i za granicą. Wieczny motyw polskiego losu — emigracja.

Drugi nekrolog zachował się tylko w strzępach. Mogę odczytać jedynie: „Jan Ursyn z Woronowa, urodzony w Pustomytach”. Dwa piękne słowa. Woronowo. Pustomyty.

Nazajutrz na murze kościoła Kapucynów klepsydra w czarnej obwódce, jeszcze jeden komunikat z tej coraz bardziej zanikającej serii. „Władysław Olizar, inżynier rolnik, urodzony w 1908 w Czarnolesie, Ziemi Kijowskiej, zmar...”

DWUKROTNIE ROSJA

1.

Pierwszy z pakietem wiedzy o ZSSR odwiedził mnie kolega J. Pracował na budowie rurociągu. Wyjechał tam przed rejestracją „Solidarności”. Wrócił pod koniec półrocza stanu wojennego. Prowadził magazyn w bazie. Gdzieś w okolicach Połocka, potem Karelia czy inna północna kraina. Odkuś się niebawem. Część wynagrodzenia w rublach na miejscu, część w bonach dewizowych Pekao na konto. Bony można u skorumpowanych kasjerek Pewexu wymienić na dolary za niewielką prowizję. Oprócz tego handlowali. Przywozili z Polski džinsy, zachodnie kosmetyki i co się dało. Džinsy niezmiennie są marzeniem sowieckich dziewcząt i chłopców. — Dziewuchy zady większe mają od naszych — stwierdza kolega J. — Uroda od kartofli i kluch. — Za ruble uzyskane ze sprzedaży džinsów kupowali złote sygnety i pierścionki. Nafaszerował się rublami, dolarami i złotem. Nie narzekał również na głód erotyczny. Dziewczyny w promieniu kilkuset kilometrów ciągnęły jak ćmy do bazy. Mieli swoją kawiarnię i dyskotekę. One gotowe na wszystko. Pewien szofer posiadał stałą brankę. Mieszkał z nią przez rok. Wracił do Polski i musiał ją zostawić. Ona od razu zapukała do sąsiedniego pokoju. Baza dla tych dziewcząt to zachodni raj. Polscy kochankowie hojni, obdarowywali je prezentami, ubierali w ciuchy. Dziewczyny dostawały zawrotu głowy ze szczęścia. Komendant milicji z pobliskiego miasteczka patrzył na nie nieżyczliwie i jakby zawistnie. A raz, podpisawszy sobie, tak wyraził się o tych upadłych białogłowych, kompromitujących morale sowieckiego człowieka: — Wyjadą Polaczki, zedrzmemy im z dupy džinsy i znów przywrócimy komunizm! — Zdarzyły się dwa wypadki

małżeństw mieszanych — naszych z Rosjankami. Wtedy trzeba twardo upierać się i bez żony nie wracać do kraju. Oni będą tłumaczyć: — Jedźcie, towarzyszu, a żonkę doślemy, ona musi jeszcze tylko załatwić przewidziane prawem, niezbędne formalności. — Nie wolno złapać się na ten haczyk. Czekać na żonę i koniec. Jeden czekał i wnet załatwili te formalności. Drugi nie czekał i do tej pory jego żona nie przyjeżdża.

Kolega J. poznał smak mięsa z niedźwiedzia. Z łosia również. Łosie często przeskakiwały przez rurociąg i niejedni osiadł brzuchem na okrągłej powierzchni blachy. Wierzgał kopytami i ani rusz. Wtedy oni z siekierami i rzeźnia. Łosina nawet smaczna. Opowiada, jak upili się z radości, kiedy zarejestrowano wreszcie „Solidarność”. Tych najgłośniejszych wyrażających entuzjazm następnego dnia odstawiono do kraju.

Kolega J. przedstawił się jako aktywny działacz podziemnej „Solidarności”. Zbiera w pracy pieniądze na pomoc dla uwięzionych. Obecnie poszukuje obrońcy dla kolegi, który ma sprawę w sądzie wojskowym. Słyszał poza tym, że piszę na temat stanu wojennego. Pokazałem mu z dumą książeczkę *Raport o stanie wojennym*. Dwa egzemplarze. Jeden wydany w kraju, drugi w Paryżu. Obejrzał dokładnie. Zniżając głos oświadczył, że posiada możliwość wydrukowania mojej książki metodą fotograficzną. Po prostu ma dojścia, zna drukarzy i jest w stanie spowodować wydanie tego opracowania (tak się wyraził) w ilości około tysiąca egzemplarzy. Następnie stwierdził, że do powyższego celu lepszy będzie egzemplarz paryski. Wyraźny, czytelny druk. Po dosyć długiej chwili wahania wręczyłem mu egzemplarz paryski. Umówiliśmy się na telefon. Miał zdać sprawę z toku prac nad książką.

Jednak wcale się nie odezwał. Minęło już kilka tygodni. Może w ten sposób chciał zdobyć książkę? Zbieracz rzadkich druków. Zawsze był nieco dziwaczny, nieprzewidywany. A czy to nie ubek czasem? Taki facet wytypowany na wyjazd do ZSSR musi być dokładnie sprawdzony. Te znaki zapytania...

2.

Po miesiącu od tej podejrzanej wizyty niespodziewanie wkroczył Bogdan K., drugi kurier z ZSSR. To mój stary druh, jeszcze z dzieciństwa. Odwiedza mnie raz do roku przynajmniej. Tym razem z budowy elektrowni w ZSSR. Dostał trzy dni urlopu na Nowy Rok. Polska baza, przeszło tysiąc ludzi; jest tam zaopa-

trzeniowcem. Sytość na twarzy i ogień energii w oczach. Od dawna marzył o zarobkach na większą skalę. Dlatego latami bez szczególnych wyników grywał na wyścigach konnych. Dlatego też po wódce ogarniał go często wściekły amok i miewał zatargi z milicją. Za życie bez sukcesu właśnie. Porywczy i bystry facet. Z natury osobny. Nie był nigdy w żadnych związkach, organizacjach. Pamiętam jego charakter w tej kwestii jeszcze z gimnazjum. Nie chciał się zapisać do ZMP. — Nie, nie — powtarzał z uporem. Nie zapisał się również do „Solidarności”. Choć zapuścił sobie wspaniałe wąsy na wzór Wałęsy. Jego długotrwałe starania o wyjazd do pracy za granicą zostały uwieńczone sukcesem w okresie stanu wojennego. Może dlatego, że był na ubożu. Nigdy nie interesował się jakimkolwiek działaniem społecznym. Emocjonowały go tylko indywidualne kariery, polegające wyłącznie w jego rozumieniu na zrobieniu większej forsy. I oto taka szansa przed nim zaświtała. Opowiada z dziecięcą radością. Wynagrodzenia i inne profity takie same jak w relacji kolegi J. Boczne zarobki również oparte na zakupie złota. Tam po prostu Eldorado! Jadąc tu na świąteczny urlop przywiózł osiem pierścionków i dwa sygnety. Z doświadczeń starych pracowników bazy wynika, że jeśli ktoś jadący do kraju nie ma żadnych wyrobów ze złota, to budzi jak największą podejrzliwość sowieckich celników. Podejrzewają go o najgorsze. O szmugiel diamentów. Bogdanowi świecą się oczy, kiedy mówi o szlachetnych kamieniach. Jeszcze do nich nie dotarł. Ale wiele sobie po tym obiecuje. Z możliwości wymiennych oprócz niezmiennych dzinsów, zachodnich kosmetyków itp. bardzo chodliwym towarem jest tzw. „kryształek”, materiał cienki jak muślin, dosyć łatwo dostępny w Polsce. Tam rozchwytywany do obszywania wacików. — Biorą każdą ilość — powiada Bogdan. Proponuje mi, żebym jako człowiek z nienormowanym czasem pracy zajął się zdobywaniem dla niego „kryształka”. — Nie będziesz potrzebował pisać — mówi. — Lepiej wyjdiesz na swoje.

Bogdan liczy sobie 50 lat. Tyle czasu czekał na taką szansę. W Rosji czuje się panem. Polski pan! Cztery i pół rubla — szampan, osiem rubli koniak. Stać go na to bez uszczerbku dla kieszeni. Rosjanie przy nim jak nędzarze. Około czterech rubli wynosi dniówka kołchoźnika. — Czy mogą sobie pozwolić na szampana? — zadaje retoryczne pytanie. — Pędzą samogon z kartofli. To u nich legalne. — Teren budowy znajduje się w pobliżu Sławuty, dawnej siedziby rodowej Sanguszków. Wołyń, dawna Polska.

Bogdan przyszedł z żoną i synkiem Emilem. Dosyć dziwacz-

ne dał mu imię. Emil to miły i nad wiek rozwinięty sześciolatek. Pokazuje chwyt, których nauczył go ojciec. Bokserskie uniki. Na pytania odpowiada rezolutnie i rzeczowo. Żywy jak rてć. Przegląda książki, papiery. Żona Bogdana lekko podpita, typowa warszawska rodaczka, patrzy z uznaniem na książki zalegające pokój. Pragnie być na wysokości zadania i oświadcza, że ma jakiegoś brata, szwagra czy kogoś tam w rodzinie, który piastuje wysokie stanowisko i jest bardzo wykształcony. — Wyłącz się — gniewnie ucina jej wyznanie Bogdan. Dalej opowiada o Sławucie. Na rynku stoi cerkiew. Kościoła już nie ma. Tamtejsi ich nie lubią. Zazdroszczą luksusów i wysokich zarobków. Sami też między sobą się żrą. Ukraińcy nie przepadają za Wielkorusami i odwrotnie.

Bogdan spogląda na gruby, złożony zegarek z kompasem. Spieszy się już. Nakłada skórzaną, okrągłą czapkę à la Lenin. Tam się takie nosi. Jutro skoro świt odjazd do ZSSR.

MIETEK ŁAPKA REDIVIVUS!

Jechałem autobusem na Żoliborz i z bramy wytoczyli się dwaj mocno podpici. Ten mniejszy w kurtce z futrzanym kołnierzem zdumiał mnie nieoczekiwanie. Był to Mietek Łapka. Mietek z lat pięćdziesiątych, a więc z czasu, kiedy go właśnie poznałem. Szeroka, śniada twarz mulata, szeroki nos i oczy za okularami. Dopiero nakładał czapkę i miał taką samą szpakowatą aureolę włosów wokół łysiny. Ci dwaj toczyli się ulicą Mickiewicza.

Ogarnęły mnie melancholijne wspomnienia. Mietek zwany Łapką z powodu zręczności w dłoniach był doliniarzem, starym doliniarzem z okolicy Nalewek i dawniej na imię miał Mojżesz, syn Chawy i Samuela; to zapamiętałem. Reprezentował ginący rodzaj złodziejskiego świata, gdzie brutalność i odwaga mazowieckich kawalerów łączyły się z filozoficzną mądrością i rzewną zadumą wychowanków Talmudu.

Wiele czasu spędziliśmy razem, wiele wódki wypiliśmy. Mietkowi wylew krwi sparaliżował prawą rękę i zawodu zaprzestał, handlował czeską biżuterią i warzywami ze swoją drugą żoną (pierwszą stracił w getcie), Słowianką o twarzy jak bochen razowca, która słynęła z całkiem męskiego ciosu głową.

Jola broniła go kiedyś w jakiejś sprawie kryminalnej i zapamiętała, jak dobitnie wyjaśniał sądowi: — Obywatelstwo polskie, narodowość żydowska... — Potem zawsze witał ją jako swoją

„papugę” (tak się nazywa w pewnych sferach obrońcę) z wyszukaną szarmancją i dwukrotnym pocałunkiem w rękę. Wyjechał stąd gdzieś około 1962 wraz ze swoją Słowianką w świat. Odezwał się z Argentyny czy Brazylii jego daleki kuzyn, wujek staruszek, i tam do niego na antypody pojechali.

Mietek chyba bardzo był samotny. Nie było już jego miasta. Coraz mniej dawnych ludzi. Umierał również dawny język miasta, ta kmina pełna dosadnych skrótów, żartów, cynizmu i wzniosłości zarazem, którą porozumiewali się tradycyjni ludzie podziemnego miasta. Nastało królestwo tępego, cwane go chamstwa, które pojęcia nie miało o żartach, nie mówiąc nawet o tej odrobinie bezinteresowności i poezji. Mietek Łapka więc jak relikw. Gorzkniał i na wszystko machał tylko tą zdrową ręką. Jeszcze przed wyjazdem namawiał mnie do pisania dzieła w trzech tomach: Złodziejstwo przed wojną, Złodziejstwo w wojnę i Złodziejstwo po wojnie. Coś tam o Mietku pisywałem w swoich opowiadaniach.

Oczywiście to przywidzenie! Nie ma Mietka. Sobowtór ludzko podobny do mojego Łapki. Postny stał się ten nasz warszawski, zunifikowany świat. Resztki pamiętam. Powyżej dżali. Powymierali. A był to pieprz i była to sól tej ziemi. W połączeniu z mazowieckim zacierem żytnio-ziemniaczanym dawało to czasem nieoczekiwane rezultaty.

Plac Komuny Paryskiej. Nawet ten plac nie mógł się uchować jako plac Wilsona.

Wysiadłem.



Strzygę się na jeża. Tego typu strzyżenie doskonale wykonują dwaj fryzjerzy w agencyjnym zakładzie mieszczącym się w wojskowym gmachu, pamiętającym jeszcze czasy przedwojenne. Obecnie mieści się w tym budynku Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego. Jednak zakład jest dostępny dla wszystkich, choć wśród klientów wielu oficerów, kapitanów, majorów, pułkowników, może zdarzyć się generał. Kiedyś spór miałem z pewnym przysadzistym, łysawym pułkownikiem o kolejność zajęcia miejsca na fryzjerskim fotelu. Zresztą sprawiedliwie ustąpił. A raz znów trafił się generał brygady, suchy, elegancki, o wyśmienitym zachowaniu. Też spór z nim o miejsce. Okazało się, że dzwonił ze swego biura i zamówił się na określoną godzinę. Musiałem ustąpić. Był to szef prokuratury wojskowej, jak poinformował mnie później szeptem mój fryzjer.

Dziś w zakładzie strzygł tylko jeden fachowiec.

— Gdzie kolega? — zapytałem.

— Na Rakowieckiej. W Sztapie Generalnym — odpowiedział. — Co tydzień jeździmy tam na zmianę strzyc tych ze sztabu.

— A co, oni tam nie mają fryzjera?

— Był. Ale pijaczek — wyjaśnił. — I od Nowego Roku poszedł w cug i dotąd nie ma go w pracy.

Niezła afera. Siedzą tam w sztabie nad planami operacyjnymi, mobilizacyjnymi i innymi. Być może oni też opracowywali stan wojenny. Więc tak siedzą i zarastają, włosy opadają na kark, czoło, wszędzie, coraz dłuższe. Opadają na oczy i mącą obraz gier wojennych na mapie polowej, skutkiem tego mogą nawet powstawać pomyłki. W kwadracie zderza się batalion wojsk pancernych grupy Północ z komandosami tej samej grupy, zamiast z Południowymi. Sztabowcy są rozdrażnieni, wybuchają bez powodu. Włosy rosną im nieustająco.

Dla Gogola! Tak wątek zarastających sztabowców pociągnąć. Wybuchnąłem śmiechem. Fryzjer popatrzył na mnie ze zdziwieniem.



Kupowałem w Pewexie Marlboro. Pięć paczek. Ekspedientka dołożyła do zakupu firmową torbę Marlboro z plastyku i jeszcze dwie nalepki.

— Dla mnie? — pytam zaskoczony. Zazwyczaj takie torby bywały sprzedawane po piętnaście centów.

— Tak — odpowiada z uśmiechem.

Podziękowałem i opuściłem sklep. Ciągle byłem zaskoczony. W pobliskiej kwiaciarni nabyłem frezję za pięćdziesiąt złotych. Wracam do Pewexu.

— To dla pani.

Teraz ona była zaskoczona. Uśmiechnęła się bardzo sympatycznie. Niebrzydka. Okrągła brunetka. Być może spodobałem się jej jako mężczyzna. Po tej miłej dla próżności konstatacji zrodziło się myślenie interesowne. Pewien cudzoziemiec przyniósł mi w prezencie dwa kartony Gitanów. Cholernie mocne. Bez filtra. Nie mogę takich palić. Duszą. Gdyby tak wymienić u tej ekspedientki Gitany na Marlboro?

Po trzech dniach nastąpiła pointa tego zdarzenia. Znów wstąpiłem do Pewexu i zobaczyłem napis nad stoiskiem z papie-

rosami, informujący o tym, że do pięciu paczek Marlboro dokłada się torbę firmową oraz nalepki. Złość na siebie za naiwność.



Z widzenia znam go od lat. Zawsze prowadził jakieś interesy. Sklep z galanterią skórzaną. Modne buty, czyli kaletnictwo. Restaurację, gdzie podawali pizzę. Później z drugim okazała knajpę dla hulaków. Kędzierzawy, niegdyś szczupły. Obecnie nadal kędzierzawy, już otyły. Brzuch jak balon wisi nisko nad spodniami ściągniętymi szerokim pasem. Co teraz robi, nie wiem. Jeździł Fiatem Mirafiori, teraz prowadzi BMW.

Dziś niedziela, sucho i przyjemnie. Wybrałem się na spacer. Długa trasa, więc wstąpiłem dla wytchnienia do recepcji „Grandu”. Neutralne miejsce. Można posiedzieć i popatrzeć na gości hotelowych, Arabów, prostytutki i służbę hotelową prowadzącą z Arabami jakieś szeptane interesy. Ten kędzierzawy wszedł tutaj. Właściwie wbiegł, zadyszany z powodu otyłości. Rozejrzał się. Pobiegł do cocktail baru, potem na górę do czytelni. Szukał kogoś. Wybiegł. Wsiadł do BMW. Kontynowałem odpoczynek. Zaczepił mnie stary pisarz z Krakowa. Wysiadł z windy. Chciałem udać, że go nie widzę. Ale o ułamek sekundy za późno. Nasze oczy zderzyły się niestety. Starszy człowiek, toteż ukłoniłem się z szacunkiem należnym dla wieku. Podszedł. Siwy, spodnie na szelkach, bardzo niebieska koszula. Ta koszula podkreślała denaturatowy kolor jego oczu. Wierny władzy jeszcze od czasów powojnia, kiedy w Nowym Targu zmagął się z podhalańskim podziemiem.

— Co u pana? — pyta.

— Piszę — odpowiadam.

— Pewnie do szuflady — raczej stwierdził, niż zapytał.

— Nie — mówię — drukuję to w podziemnych gazetkach i wydawnictwach oraz w Instytucie Literackim w Paryżu. — Stropił się nieco moją szczerością. — A pan pisze? — z kolei ja zapytałem.

— Nie bardzo — odparł. — Jestem rozstrojony. Za dużo zajęć, wódka, gazeta... — (Jest naczelnym redaktorem tygodnika literackiego). — Dziewczyny... — dodał po chwili. Raczej tytułem przechwałki. Tak myślę. I na koniec tej pogawędki zaproponował, żebym przysłał coś do jego gazety. Przecież kiedyś chętnie drukowali moje teksty.

— Jak będę coś miał, to i owszem — odpowiedziałem enigmatycznie i peżegnaliśmy się jako koledzy po piórze.

Odpocząwszy, ruszyłem w dalszy spacer. Takich suchych dni bez deszczu niewiele tej zimy. Należy wykorzystać. Miasto było puste jak to w niedzielę. Poczułem głód i postanowiłem zjeść obiad w barze Hotelu Europejskiego. Taki hotelowy dzień sobie zaaplikowałem. Akurat było wolne miejsce. Golonka. Lubię to czerwone mięso, obrosnięte trzęsącym się białym tłuszczem i świńską skórą. Już wychodząc, przy szatni zderzyłem się prawie z kędzierzawym. Znow kogoś szukał. Rozejrzał się po sali. Poleciał na dół do toalety. Wyskoczył po chwili. Nawet rozporka nie zdążył zasunąć. Rozporek na suwak. Popędził do BMW. Dopiero przy wozie spostrzegł rozbebeszony rozporek. Zasunął suwak. Odjechał. Dalej szukać kogoś. Może do „Victorii”, „Forum”...

P.S. Spotkanie z pisarzem w „Grandzie” zaowocowało dwustronną dokumentacją. Oto cytat z jego dziennika podróży do Czechosłowacji, drukowanego w tygodniku, którego jest redaktorem:

„... Czesi pytali, czy powstają książki o miesiącach zdominowanych przez 'Solidarność', odpowiedziałem, że chyba tylko wyjątkowo, wstrząs i refleksja włącznie ze stanem wojennym muszą się odłożyć. Chociaż... Spotkałem w foyer hotelu „Grand” w Warszawie Marka Nowakowskiego, niewątpliwie dobrego prozaika, który bez żadnej żenady wyznał, iż pisze opowiadania o stanie wojennym...” (Z dn. 6 lutego 1983).

Ja jego zanotowałem. On mnie zanotował.

PO WIZYCIE KOLEGI J.

Myślę o nim czasem. Oczy rozbiegane, głos miękki, unizony. I ten jego brat! Instruktor w KC, przedtem działacz CRZZ. Garniturkowiec, cyniczny, bezczelny, trzymający się reżimowego cycka. Choć kolega J. cały czas odcinał się od brata. Z przekąsem i pogardą wyrażał się o nim. A jednak... Przypominam sobie dokładnie, że kiedyś przed laty ten jego starszy brat spotkany przypadkiem na ulicy mówił, że on to właśnie załatwia mu wyjazd do Rosji na budowę rurociągu. — Niech się odkuje. Nie wychodziło mu dotąd — tak mniej więcej się wyraził. Pamiętam. Na Nowym Świecie przy sklepie chemicznym to spotkanie. Może młodszego brata wciągnął w coś jeszcze gorszego?

CHOROBA

Opowiadają młodzi z konspiracji. Ciekawy przypadek — to M., jeden z wydawców bardzo operatywnej niegdyś oficyny niezależnej. W czasach pokoju był to czołowy, niezwykle uzdolniony bos. Również w pierwszych dniach wojny wykazał znaczną aktywność, odwagę i przytomność umysłu. Zabezpieczał zagrożoną poligrafię. Rzeczywiście wiele uratował. Papier, maszyny, farby, pieniądze. Słowem świetna robota. Jednak później stało się z nim coś dziwnego. Siedzi na tym zabezpieczonym mieniu jak kwoka na jajach i nic nie robi, dosłownie nic. Ruszyć tego też nie pozwala. Tylko przenosi z miejsca na miejsce dla lepszego bezpieczeństwa. Żadne argumenty nie skutkują. Jedynie wzmagają w nim reakcję obronną. Ciemny błysk uporu w oczach, opuszcza głowę i milczy. Jak kamień. Podstępem także nie można go zmóc. Przenika wszelkie takie zamiary. I tylko on zna całą tajemnicę miejsc i schowków. Pojony wódką i gorąco przekonywany, że musi jednak kogoś wtajemniczyć na wypadek wpadki, kręci przecząco głową. Nikomu do tej pory nie udało się pokonać tego nieustępliwego strażnika pieczęci. Poza tym zupełnie normalny, mówi do rzeczy, apetyt mu dopisuje, ma narzeczoną, podobno nawet podrywa sobie na boku różne przygodne, mocna szczęka, jasny wzrok.



Tuż przed Nowym Rokiem odwiedził mnie Władek. Puścili go na wolność w dzień Wigilii. Internowany przez dwa miesiące. Mocno przeżył to nieznanie mu dotąd doświadczenie. Czyli życie bez wolności. Tylko mówi o Białołęce. Twarz ma jeszcze aresztancką, poszarzałą. Choć zażywał tam dłuższych spacerów, a nawet grywał w siatkówkę. Przybyło mu trochę siwizny w kręconych kudłach i brodzie. 29 lat. Siedział z Sewerynem Jaworskim, działaczem z Huty Warszawa. Seweryn bardzo wcześniej wstawał, nawyk ранней zmiany zapewne, i co dzień mył głowę w zimnej wodzie bez względu na pogodę i temperaturę w celi. Władek przypuszcza, że to pozostałość z czasów, kiedy pracował przy wielkim piecu, skąd buchał żar nie do wytrzymania. Władek pełen po brzegi tej Białołęki. Wspomina obsługę. Oni, ci klawiszowe, wraz z odejściem ostatnich internowanych, naprawdę odetchnęli. Zmęczeni tym niejasnym dla nich statusem ni to

więźniów, ni to grzecznie odosobnionych ludzi w zasadzie wolnych. Jak z takimi się obchodzić? To pytanie dręczyło ich nieustannie. Teraz już nie będzie internowanych. Tylko więźniowie. Stary klawisz zwierzył się im kiedyś: — Też wymyślili! Internowani! — I splunął. Był to fachowiec i nie mógł znieść tej anomalii. Toteż tych ostatnich wychodzących z Białoleki klawisze żegnali z prawdziwą serdecznością. Pewni, że się już z nimi nigdy nie spotkają. Chyba że powrócą jako więźniowie. A to co innego. Proszę bardzo! W ostatniej dziesiątce internowanych wychodził Władek. Pozostali jedynie ci z Krajowej Komisji, którym zmieniono status. Na aresztowanych. I przewieziono tę siódmkę do więzienia mokotowskiego. Było to przykre rozstanie. Tych, co wychodzili na wolność, z tymi, których przenoszono do Mokotowa. Władek siedział tylko dwa miesiące. Zatrzymano go przypadkiem (młody brodac, więc zwrócił uwagę szperaczy) i w jego małym Fiacie znaleźli zawieruszoną pod siedzeniem karteczkę treści skąpej, ale wymownej: „Lokale, pseudonimy, maszynistki”. To wystarczyło. Ostry magiel w bezpiecie. Władek trzymał się twardo. Bolesnie męczyła go ta karteczka. Karygodne roztargnienie w konspiracji. Odmawiał wyjaśnień. Pewnego razu przesłuchujący go cywil zasnął. Znużony i uśpiony milczeniem Władka. Władek sam go obudził. Zaczął się nudzić. Tamten brzydko zaklął i zabrał się do niewdzięcznej roboty.

Wracając do tej osobliwości, jaką było wprowadzenie pojęcia internowanych: już Jola, która jeździła do Białoleki na widzenia z dwoma podopiecznymi, relacjonowała przebieg rozmowy z pewnym klawiszem w administracji. Miał właśnie doprowadzić internowanego. — Tylko proszę jak najszybciej — powiedziała Jola. Popatrzył na nią z pobłażliwą wyrozumiałością. — Pani mecenas... oni tak szybko nie przychodzą — rzekł. — Oni śpią sobie do południa, potem wstają, parzą kawę, herbatę... A na widzenie to oni się gołą, kremikami smarują, wodą kolońską kropią. Nawet na mszę świętą się spóźniają. Czy pani da wiarę: po obiedzie to oni też parzą sobie kawę, herbatę... — I poszedł zniechęcony. Szczere oburzenie w tych jego prostych słowach. Kotłował mu się w zrutynowanym łbie regulamin dla więźniów i ta Sodoma i Gomora, którą wprowadzili w regulaminowe życie Białoleki internowani. Świat klawisza był mocno zachwiany. A urzędniczka z administracji, pani w średnim wieku o sympa-

tycznej twarzy, dalej kontynuowała ten wątek. Ta nieznana im dotychczas formuła — internowanie — spadła jak grom z jasnego nieba. Odpowiednio selekcionują personel, wybierają do tej trudnej roli najwłaściwszych funkcjonariuszy i mimo to ci wybrańcy też nie mogą udźwignąć swoich obowiązków. Co trzy miesiące trzeba wymieniać całą ekipę. Zdarzają się również tacy, którzy wcześniej nie wytrzymują. Tak spokojnie, rzeczowo przedstawiła urzędniczka administracji OPW Białoleka kłopoty resortu więziennictwa. Przewijała się w tym nuta pretensji do władzy, która zaskoczyła ich tym zadaniem.

Matka nie mogła wymówić tego słowa. Mówiła „syros” albo „serok”. Wreszcie ołśnienie: „kseroks”. Matka potrzebowała kilku odbitek dokumentu, ażeby wyrobić sobie zniżki w świadczeniach energetycznych, telefonicznych i innych. Przywilej kombatanta.

Poszedłem w poszukiwaniu możliwości zrobienia odbitek. Dokument jest treści następującej: ZW ZBOWiD stwierdza, że obywatelka taka i taka, córka Franciszka, urodzona 17 maja 1902, zamieszkała tu i tu, odpowiada warunkom uprawniającym do członkostwa ZBOWiD-u. W rubryce „rodzaj działalności”: tajne nauczanie, wrzesień 1940 - sierpień 1944.

Te wojenne komplety pamiętam jak przez mgłę. Do naszego domu przychodziły małe grupki, siadali w środkowym pokoju przy stole i odbywały się lekcje. Ukryty w kącie za palmą, uzbrojony w metalową rurkę, strzelałem z dzikich winogron do upatrzonego ucznia.

Dotarłem do zakładu specjalizującego się w kserograficznych odbitkach. Ogonek na ulicy. Zrezygnowałem. Następnego dnia jeszcze większy ogonek. Co ludzie odbijają? Wielu młodych. Może starania o wyjazd za granicę. A starzy potrzebują tych odbitek do przywilejów kombatanckich. Stanąłem w ogonku. Dowiedziałem się, że większość punktów z zakresu usług kserograficznych jest zamknięta. Już na początku stanu wojennego położyli na tym łapę. Stałem przeszło godzinę.

Mój krawiec wywodzi się z ginącego gatunku rzemieślników-filozofów, uprawiających zawód samotny i dosyć monotony,

a więc posiadających dosyć czasu na medytację. Roztrząsa problemy życia, człowieka, Boga, wszechświata. Lubi gawędzić o polityce. W swojej pracowni bez przerwy korzysta ze „Spidoli”. Nasz program, Wolna Europa, Niemcy, BBC, Watykan. Od lat gromadzi gazety z kolejnymi listami i życiorysami członków Biura Politycznego. Pamięta nazwiska i funkcje partyjnych przywódców od zarania PRL. Trefne książki z „drugiego obiegu” skrywa na dnie szuflad i szaf, pełnych ścinków materiałów, nici, watołiny, podszewek i włosianki. Równolegle zajmuje się historią Warszawy. Jeździ często do kolegi, też krawca, do Wilanowa i tam penetruje dzieje królewskiego pałacu. Przed wojną uczęszczał jako parafialny stypendysta do gimnazjum ojców Marianów na Bielanych. Grał w szkolnej orkiestrze na klawecie. Służbę wojskową odbywał w KOP-ie, wrzesień 1939 zastał go w twierdzy brzeskiej.

Dziś zastanawia się nad sensem wypuszczenia w obieg 1000-złotowej, srebrnej monety z wizerunkiem papieża.

— Co się za tym kryje?

Dochodzi do wniosku, że chcą ściągnąć od ludzi papierowe pieniądze. Nawis inflacyjny to się nazywa. Podobizna papieża — dobrym magnesem. Ta srebrna moneta na czarnym rynku już stoi bardzo wysoko. Jego kolega z Wilanowa mówi, że u córki w biurze pojawiły się cztery takie monety do wypłaty pensji. Odbyło się losowanie. Wszystkie cztery monety wylosowali partyjni.

— Popatrz pan! — kiwa głową krawiec i uśmiecha się przebiegle.

Też kiwam głową.

PANTA RHEI

Rozmawiamy o czasie. Czas jako osobliwe pojęcie w naszym ustroju. Również osobliwie przeżywany. Ciągłe wrażenie stojącego, nieruchomego czasu. Poczekalnia. Czas prawdziwy jeszcze się nie zaczął. Dopiero nadejdzie. Bywają krótkie okresy, kiedy to się zmienia. Porusza się ten kozuch stojącej wody, zaczyna się kotłować, prądy i wiry. Wtedy czujemy życie. Elektryczność przenika sekundy, minuty, godziny. Taki czas prawdziwy nastał od sierpnia 1980. Lecz skończył się szybko. Znowu poczekalnia. Jałowe wyczekiwanie petentów. Kapie woda z pustego kranu, muchy brzęczą na szybach, kurz i paję-

czyzna, szaro i brudno, w kącie spluwaczka... A te drzwi maszynowe, w które wpatrujemy się z napięciem, szczelnie zamknięte, ani drgną. Nawet wstrzymujemy się z remontem mieszkania, nie mówiąc już o poszukiwaniu jakiegoś większego pomieszczenia, choć dusimy się w naszej małej, ptasiej klatce. Każdą istotną i gruntowną sprawę odkładamy na później. Żyjemy trochę jak na biwaku. Tymczasowo. W tym czekaniu wypadają zęby, siwieją włosy, zamierają funkcje życia, wysiada serce, nerki, wątroba. Marnieje mózg, mąci się wzrok. I co? Ockniemy się nagle w ostatnim momencie. Zobaczymy, że ciągle siedzimy w tej samej poczekalni.

HOTEL GROBOWIEC

Był to najpiękniejszy hotel w mieście. Bardzo stary. W tym mieście zburzonym doszczętnie i budowanym od nowa wyglądał niezwykle dostojnie i cieszył oczy rzeźbionymi aniołkami i girlandami na frontonie oraz lekkimi, kutymi w metalu balkonikami. Tak bardzo odmienny od tej masy szarych, jednakowych i bez żadnej urody gmachów i bloków, które zaległy całą przestrzeń miasta. Po prostu klejnot!

Ilekoć wychodziłem na wieczorny spacer, widziałem oświetlone okna tego hotelu, lubiłem także zachodzić tam do kawiarni, piękne rozety i żyrandole uprzyjemniały wypicie małej czarnej. A kiedyś nawet, dzięki znajomości z kierownikiem restauracji hotelowej, zwiedziłem tzw. zaplecze: labirynt korytarzy, kantonów, pakamer, magazynów, kuchnię i piwnice, gdzie piekarze wypiekali małe, smaczne bułeczki, jeszcze inne ciemne, zagracone pomieszczenia. Intrygujące bebeczy starego hotelu.

Od kilku lat hotel opustoszał. Został przeznaczony do remontu. Remont jednak jeszcze się nie zaczął i ta ogromna bryła hotelu wygląda jak stary grobowiec. Spacerując po ciemnym, pustoszącym szybko mieście, mijam czarny masyw najstarszego hotelu w Warszawie. Oczodoły okien, zabite dyktą drzwi, tyse płamy zdartego z murów tynku, zamalowane białą farbą szyby. Tylko na parterze po prawej stronie przez szyby dawnego zakładu fryzjerskiego przeziiera żółte światło i widać napis nad drzwiami „Punkt wydawania paczek”.

Paczki to ważny element życia w obecnym czasie. Pomoc ze świata dla Polaków. Więc jedyne miejsce życia w hotelu-

grobowcu (na podobieństwo bogato zdobionych i zdewastowanych kaplic cmentarnych na Powązkach) to światełko z pomieszczenia, gdzie wydają zagraniczne paczki. Smutne.

BIEDNI LUDZIE

Stan wojenny (oczywiście zawieszenie tegoż żadnej zmiany nie spowodowało) stworzył odpowiedni klimat dla wariatów. Utajeni ujawnili się w sposób jednoznaczny. Narodziła się spora ilość nowych. Nie mówiąc już o lekko stukniętych. Wynurzają się oni ze swoich schowków i chętnie wygłaszają kwestie na forum publicznym. Dziś w kawiarni, gdzie się czasem spotykamy w swoim szczupłym gronie, pojawił się jeden taki. Z wyglądu jak najbardziej normalny, surowa, męska twarz o bladej karnacji skóry, świadcząca o domowym trybie życia myśliciela rzadko korzystającego ze słońca, poważne głęboko osadzone oczy i krótka, starannie przyszyta bródka. Oświadczył na początku, że nie może zbyt wiele mówić. Tu pauza. Następnie ścisłym głosem: — Mam zaplombowany ząb. W plombie założyli podsłuch. — Druga pauza. — Chyba usunę ten ząb ostatecznie. — Potem się rozgadał. Typowo wariacka niekonsekwencja. I tym szeptem, nawet w ustach ogarnięty przez wroga, wygłosił szereg obłąkańczych kwestii. Miał wyjazd na Zachód. Muszą go puścić w końcu. Tam ma narzeczoną. Córka milionera. Wezmą ślub na odległość (wysłał już odpowiednie dokumenty sekretnym kanałem) i w ten sposób niezależni się ostatecznie od Wschodu. Jeszcze dodał, że lwia część milionerskiego posagu oblubienicy przeznaczy na walkę o prawa człowieka w naszej części Europy. — Azję wykluczam! — dodał stanowczo — niech się sami martwią. — Przed laty był przyjacielem jednego z moich kolegów. Zdaniem kolegi ta wieloletnia już choroba zaczęła się od pewnego incydentu nadržecznego. Przechadzając się nad Wisłą z drugim (oba studiowali wtedy rzeźbę na ASP) zobaczył wyrzucony na brzeg pień drzewa. Czarny, twardy, kawał drewna. Umówili się, że przyjdą następnego dnia rankiem i wytaszczą ten pień. Podzielił go na połowę i każdy zrobi rzeźbę w tym drzewie. Następnego dnia o umówionej godzinie przyszedł nad wodę. Pnia już nie było. Kolega również nie pojawił się wcale. Po jakimś czasie na wystawie prac studentów ASP zobaczył rzeźbę w drzewie. Rozpoznał materiał. Był pewien. Z nadržecznego pnia. Wpadł w furję. Przewalił rzeźbę. Chciał zniszczyć dosz-

czętnie. Musiano go obezwładnić. Oczywiście, nie jest to pewne w sposób bezsporny, czy był to naprawdę nadržeczny pień.

Teraz krzywa jego obłędu wzrasta. Nawiedzony, z wrażym podsłuchem w plombie.

WYSOKA ŚWIADOMOŚĆ

Kazio B., fotografik, zaprzątnięty był zdobyciem stałej pracy. Przed stanem wojennym jego sytuacja wolnego strzelca przedstawiała się znakomicie. Wykonywał zdjęcia reklamowe artystom estradowym i cyrkowym wybierającym się na zagraniczne kontrakty. Bardzo dobrze płatne zajęcie. W wojnę przemysł rozrywkowy podupadł znacznie z powodu ograniczenia ruchu wyjazdowego. Kazia kieszeń odczuła to dotkliwie. Rodzina złożona z żony i córki również. Kazia ambicja jako zaradnej głowy tego małego stadka poraniona boleśnie. Te i inne względy skłoniły go do poszukiwania stałej pracy. Przypadkiem w Klubie Dziennikarzy spotkał się z redaktorem tygodnika *Rzeczywistość*. Po którymś kieliszku redaktor zaproponował mu objęcie działu fotograficznego w tym tygodniku. Nazajutrz Kazio złożył odpowiednie papiery. W rodzinie wyrażono aprobatę dla jego inicjatywy. I jeszcze tego wieczoru, popijając wódkę z zaprzyjaźnionym kioskarzem w jego budce „Ruchu”, zwierzył mu się ze swoich perspektyw.

— Coś ty, chłopie! — zachnął się kioskarz, z trudem panując nad rosnącym wzburzeniem. — Z rana taksówką na mój koszt i zabieraj stamtąd swoje papiery! Tak ci radzę! — podkreślił z mocą ten zwyczajny warszawski obywatel ze skłonnością do trunków. — Inaczej przestaniesz mieć do mnie wstęp, żyletki, papierosy, mydło, koniak, nic się u mnie nie pożywisz!

Następnie przedstawił mu swoją opinię na temat tygodnika *Rzeczywistość*. Używał obraźliwych słów. Pokazał stos numerów tego tygodnika, zalegający ladę kiosku.

— Koniec tygodnia. Tylko jeden numer ktoś kupił. A wszystko do zwrotu. Sam widzisz!

Kazio B. przejął się zdaniem przyjaciela. Postanowił udać się do redakcji po swoje papiery.

— Czyś ty oszalał! — żona była temu stanowczo przeciwna. — Będziesz kierował się opinią jakiegoś tam prymitywa!

Mimo to Kazio B. pojechał tam i odebrał papiery. Do tego celu użył podstępny oświadczył sekretarzowi redakcji, że prag-

nie jeszcze coś dołożyć do kompletu. Od razu z teczką swoich papierów czyli dowodem prawdy zjawił się u zaprzyjaźnionego kioskarza. Tamten postawił flaszkę.

— Wiesz... — powiedziała po tygodniu żona Kazia — jednak miałeś rację.

Pewnie w swoich biurowych kręgach zaczerpnęła opinii o tygodniku *Rzeczywistość*. Wszystko zakończyło się nader pomyślnie. Harmonia w rodzinie i przyjaźń z kioskarzem trwają bez zakłóceń.

W telewizji o godzinie 22.20 magazyn „Kontakty” i reportaż o szajce specjalizującej się w napadach na Arabów przebywających w Polsce.

„Milicjanci” w mundurach, z pałkami, kajdankami, nawet przy krótkiej broni, dokonywali rewizji mieszkań, których właściciele wynajmują pokoje Arabom. „Obywatelom arabskim”, jak powiedział oficer z komendy. Pewnego Araba, po zakwestionowaniu jego dolarów i złota, które skrupulatnie wpisano do protokołu, opatrzonego podpisem właściciela jako świadka przeszukiwania, milicjanci wyprowadzili z mieszkania i przykuli kajdankami do kaloryfera. Po czym poszli po radiowóz. Już nie wrócili. W innym znów miejscu zrewidowali Araba i oświadczyli właścicielowi mieszkania, że muszą zabrać go na komendę. Jak to on się wyraził: „Powiedzieli, że muszą go zabezpieczyć. No, jak zabezpieczyć, to zabezpieczyć...”. Z upodobaniem, kilka razy użył tego słowa — „zabezpieczyć”. Po niedługim czasie powrócił „zabezpieczony Arab”. Miał załazwione oczy. Puścili mu gaz w oczy i pozostał bez dolarów, zegarka, sygnetów. Na koniec reportażu jeden z schwytanych przestępców, stojąc tyłem do kamery, wyjaśniał, skąd mieli pełny ekwipunek milicyjny. Wszystko nabywali na bazarze. Broń krótka kosztowała pięćdziesiąt do siedemdziesięciu tysięcy złotych, kajdanki — dwa dwieście itd.

Tym razem, dnia 9 stycznia 1983, telewizja pokazała wyjątkowo pouczający program. Jeszcze żeby tak przesledzić drogę na bazar, którą podążały te mundury, pały, broń...

Pod kościołem tłum. Południowa msza. Wśród wiernych wypełniających podwórzec przesuwają się ministrant, Murzynek

z kwestarską puszką. Czekoladowy, włnisty, w śnieżnej kome. Słyszę brzęk monet wrzucanych do puszek. Matka mówi, że często widuje tego chłopca przy kościele. Murzynek z Ochoty. Owoc romansu tutejszej dziewczyny z czarnym studentem. Każda dzielnica posiada swego kolorowego lub kilku kolorowych. Kiedyś na Grochowie widziałem takiego samego egzotycznego chłopaka, który mówił najczystszą warszawską gwarą cwaniaka. Ten Murzynek jest efektowną ozdobą nabożeństw w kościele na Ochocie. Tak powolnie, dostojnie przesuwają się wśród Słowian. Kościół także wspaniały. Matka nie będąc dewotką (jak wiele osób na starość) żywo interesuje się życiem parafii. Ceni proboszcza. Jest to mężczyzna imponującej postury, o manierach zawodowego wojskowego. Kiedyś podczas choroby ojca odwiedził dom rodziców i zobaczywszy na stole butelkę wódki jako poczęstunek dla lekarzy, począł gromić alkoholizm. Nie wydał mi się wtedy zbyt taktowny.

Matka odwiedziła niedawno swoją starą siostrę i teraz cytuję z aprobatą jej powiedzenie: „Ja grzechów nie mam, a życie miałam tak ciężkie, że jeżeli je miałam, to dawno odpokutowałam”. Być może i matka utożsamia swoje życie z tym powiedzeniem. Ciotka jest bardzo chora. Przebywa w domu starców u siostr zakonnych. Zakonnice pragną ją przygotować na wieczny odpoczynek. Ciotka jednak nie chce się zgodzić na spowiedź.

Zgłosił się jeden taki, czytał moje podziemne książki. Konieczne pragnie coś uczynić dla sprawy. Gotowy! Kipiał słowami. Rozsadzała go gorączka czynu.

— Daj mi kontakt! — prosił.

— Jaki kontakt? — zdziwiłem się. Po czym umiejętnie zdołałem obniżyć wysokie loty tego początku. — Gdzie robisz, stary? — tak zacząłem.

Pracuje przy zwózce makulatury. Kierowca. Makulaturę zwożą na przemiał do fabryki papieru.

Poradziłem mu, żeby kombinował stamtąd papier. Właśnie dla wydawnictw podziemnych.

— Ryzę, dwie, trzy... Ile możesz! Ludzie potrzebują książek, rozumiesz...

Przytaknął, ale przygaśł wyraźnie. Rozmowa już się nie kleiła. Co on z gotowością gorącą zgłaszał swój akces do patriotycznego czynu, to ja uporczywie wracałem do papieru.

— Ryzę, dwie, trzy... Bełę, dwie, trzy...

Uginał się pod ciężarem tego papieru. Skręcał się wprost z niechęci do tego ciężaru. Przyjemność tego zadania tak go zabolęła. Prorok? Z ubowa? Chyba nie. Gaduła, krzepki w słowach. Więdnie jak kwiat zwarty mrozem, kiedy dochodzi do konkretnego. Są tacy. Wielu.

L I G A W K I

E. po rozmowie z koleżanką, która ma radcostwo w Zarządzie Stołecznej Ligi Kobiet.

Ligawki zaprosiły do siebie prezydenta miasta, generała jakiegoś tam. Przygotowały się starannie na wizytę dostojnego gościa. Kwiaty, kawa, ciasteczka. Zatupały kroki po wyfroterowanym parkiecie. Przyszedł generał-prezydent ze swoją świtą, mundurowi, cywile, jeszcze drugi generał.

Ligawki mają świetny lokal. Apartament w przedwojennym budownictwie. Dawniej własność warszawskiego bankiera. Wykupiły niegdyś to mieszkanie od spadkobierców, tytuł własności wpisany do ksiąg hipotecznych. Połączyły salon z gabinetem i powstała sala konferencyjna o powierzchni stu metrów kwadratowych. Sufit zdobiony w rozety, dębowa, wielokolorowa klepka parkietu. Nawet pozostawiły piękne piece kaflowe, choć ogrzewanie jest centralne.

No i odbywa się spotkanie. Generał-prezydent dopytuje się o trudności, sukcesy itp. Jego sekretarz zapisuje gorliwie. Trwało to może godzinę. Koniec wizyty. Ligawki dziękują. Generał dziękuje. Tupot kroków po skrzypiącym parkiecie. Poszli sobie.

Dopiero się wszystko zaczęło! Po kilku dniach do Zarządu Stołecznego Ligi Kobiet dotarły niepokojące wiadomości. Podobno ten drugi generał, towarzyszący generałowi-prezydentowi, osobiście zainteresował się lokalem ligawek. Przecieki, które otrzymały, powiadają, że pragnie dać im inne pomieszczenie, a dotychczasowy ich lokal przeznaczyć na swoje prywatne mieszkanie. Ligawki w popłochu. Boją się interweniować. Zawsze przecież ta wiadomość może się okazać plotką wyssaną z palca. Również generał zaprzeczy stanowczo. Co wtedy? Wtedy będą skończone. Nerwowa atmosfera w siedzibie Zarządu Stołecznego Ligi Kobiet. Krąży tam widmo generała.

Odwiedziny Piotra K. Jest to rozczarowany członek partii. W czasach „gierkowskiego sukcesu” zaczął budować karierę. Doszedł do szczebla dyrektorskiego. Socjalistyczny menadżer. Tak siebie nazywał. Oblicza dostał nalanego, mowy głośnej, szczekliwej; niezmiennie w garniturze, pod krawatem. Jednak w stan wojenny nie wkroczył jako zwycięzca. Może dał wyraz swoim prywatnym poglądom na temat tej nowej fazy socjalistycznej demokracji. Może nowi rządcy nie wzięli go do swojej puli. W każdym razie mocno rozgoryczony. Nie widzi perspektyw w swoim jednostkowym losie. Tak samo nie widzi perspektyw w planie ogólnym, tyczącym wszystkich. Pesymizm cechuje jego prognozy. Swą partią pomiata, traktuje ją jako twór groteskowy, konserwatywny, absolutnie niezdolny do uczestnictwa w prawdziwym życiu społecznym. Twierdzi, że kasa tę swoją partię, jak może.

Telefonował do niego sekretarz dzielnicy po linii służbowej (Piotr K. jest zastępcą dyrektora do spraw handlowych w przedsiębiorstwie) i mówi: — Słuchajcie, dyrektorze, podobno macie na składzie angielskie żyletki, mydło, proszek do prania... Czy możecie mi podzucić? — Dawniej bywała taka praktyka. Tym razem Piotr K. odpowiedział bez wahania: — To sami sobie przyjdźcie po te żyletki, mydełka, z bonami oczywiście! — I odłożył słuchawkę.

Ostatnio zaś odbywała się jakaś narada szczebla wojewódzkiego. Zwrócili się do niego organizatorzy tej narady z poleceniem, żeby zaopatrzył kiosk „Ruchu” w budynku obrad. Chodziło o najbardziej poszukiwane artykuły. Szczególnie podkreślali potrzebę breloków do kluczyków samochodowych. Piotr K. posiada umowę z prywatną wytwórnią breloków. Zamówił kilka kartonów tego artykułu i posłał na obrady. Jeden szczegół zataił złośliwie. Breloki były z podobizną „rainskiego papy”. W przerwie obrad ustawili się działacze partyjni w kolejce do kiosku i kupowali po kilka breloków naraz. Wkrótce Piotr K. otrzymał telefon od zdenerwowanego organizatora. — Co wy mi tu dalsie! Breloki z papieżem! — Nie zaglądałem do kartonów — chłodno odparł Piotr K. i znów odłożył słuchawkę.

— Mogą cię wywalić — powiedziałem.

Spokojnie zapalił papierosa.

Odniosłem wrażenie, że taki koniec przynależności do partii bardzo mu odpowiada.

Wracając z Urzędu Telekomunikacyjnego przy ul. Dzielnej,

gdzie załatwiałem matce zniżkę opłaty za telefon na podstawie przywilejów kombatanckich, pospacerowałem trochę po Muranowie. Znalazłem się na ulicy Mordechaja Anielewicz. Rozległy plac, drzewa, górki, ławki. Teren rekreacji zamyka Pomnik Bohaterów Getta. Tu znajdowało się niegdyś więzienie mojej młodości: Gęsiówka. Z okna swej celi miałem widok na ten pomnik, jeżeli dobrze pamiętam. Nie! Z okien korytarza złodziejskiego jedenastego oddziału. Siedziałem w 1952.

Stałem zadumany. Przed oczyma widok starego, carskiego więzienia. Eh, co ja siedziałem! W dwóch ratach kilkanaście miesięcy zaledwie. Jacek Kuroń, Adaś Michnik czy Karol Modzelewski — to są giganci siedzenia. Siedem lat, pięć lat... Adaś skarżył się podczas widzenia, że przenieśli go do wilgotnej i zimnej celi. Pragnie wrócić do poprzedniej. Cella to dom, mieszkanie. Walczysz o lepsze mieszkanie.

Stałem i myślałem o tym terminie więziennym tak popularnym w Polsce od wyzwolenia. Siedzieli, siedzą, siedzieć będą. Podział ludzi na trzy kategorie w formie dowcipu. Po Gęsiówce ani śladu. Trudno nawet zrekonstruować w pamięci. Burzą te stare więzienia, powstają nowe, Białoleka, Olszynka Grochowska... A na miejscu starych ciurm — rekreacja dla dzieci i starców. Cień drzew i ptaków śpiew. „Ten humanizm socjalistyczny”, jak powiada Jacek Kuroń.

Tak samo na Pradze. Słynne więzienie na Ratuszowej. Zwane Toledo. Piosenka popularna wśród bywalców w latach pięćdziesiątych: „Wspomnij ten domek w Toledo, skryty w kraty, automaty, rzędem stoją wartownicy, naczelnika sroga twarz...”.

Już dochodząc do autobusu, zobaczyłem, jak trzech młodzi robotnicy (chyba z ADM-u, hydraulicy czy jacyś tacy, z torbami) zaczepiają dziewczynę. Jakby podpici, z piwem w łapach. Obmacują, żartują. Ona się opędza, ale przyzwala. I te ich oczy! Sama biologiczna radość życia, woda, dupa w ślepiach, tylko to... Optimistyczny widok... Coś w tym zwierzęcego, straszego.

OPOWIEŚĆ Z BAZARU

Pojawił się tam podpity oficer milicji w cywilu. Koniecznie chciał pić z bazarowymi ludźmi. Stawiał. Więc pili. Potem go opluli, zelżyli. Powlókł się gdzieś. Ale niedaleko. Do fryzjera naprzeciw. Też chciał stawiać. Ledwo go fryzjer wypędził.

Nie opuścił jednak bazarowego kręgu. Zawędrował do którejś z pobliskich bram. W tych podwórkach-studniach odbywają się paserskie narady, dyskretne transakcje, libacje. Przyłączył się do jakiegoś pijackiego grona. Postawił. Oni postavili. Tak to trwało. Zapewne obelgi i szyderstwa. Ci ludzie bazarowi uniżeni wobec policji. Jednak kiedy wyczują najmniejszą słabość, bezsilność władzy, wtedy stają się drapieżni i bezlitośni. Wybuchł konflikt. Wyciągnął broń. Ktoś wytrącił mu kopniakiem broń z dłoni. Ktoś inny podniósł i chciał strzelać. Jeszcze ktoś rozbroił tego gotującego się do strzału. Broń odrzucił. Pijackie, groźne kłębowisko. Dopiero po powrocie do domu oficer stwierdził brak broni. Powrócił na bazar. Pytał. Prosił. Nikt nic nie wiedział. Zgłosił się do swojej komendy i zameldował. Koledzy jak to koledzy poradzili, żeby jeszcze próbował szukać. Dali mu szansę. Powlókł się do domu i tam się powiesił.

Na bazarze było przesłuchanie, wizja lokalna. Ta brama i podwórce. Ponure, praskie podwórce wybrukowane kocimi łbami. Święta figura w niszy oficyny. Kałuża pośrodku podwórza. Wypompowali wodę, szukali broni. Nie znaleźli.

Najciekawsza w tej tragicznej historii jest uporczywość pijanego oficera w dążeniu do kontaktów z bazarowymi ludźmi. Opluwany, a nawet podobno obszczany, dążył uparcie do tego towarzystwa. Jak to skwitował H., handlarz z bazaru: — Nie można się było opędzić od tego psa!

Myślę o tym milicjancie w cywilu. Duże nagromadzenie dramatycznych przypuszczeń w skąpej relacji. Poczucie winy? Pracował w bazarowym resorcie. Miał wyrzuty sumienia i chciał się pojednać? Nic nie wiadomo.

URODZINY Z.

Tradycyjnie jak co roku u Z.

Tym razem nowa tematyka w rozmowach. Dotąd zazwyczaj towarzyskie ble ble, urlopy, wycieczki zagraniczne, samochody. Tym razem inaczej. Nietypowo. Lub typowo właśnie!

Jest koniec stycznia 1983. Jeden z gości, inżynier S., przyszedł na przyjęcie prosto z „kotła”. Jest więc bohaterem wieczoru. Przez 48 godzin przebywał w swoim domu w towarzystwie funkcjonariuszy SB. Przyszli po jego dwudziestodwuletniego syna, studenta. Nie zastali syna i czekali zmieniając się co 12 godzin. Cztery ekipy po trzech. Z trzecią ekipą nawet

grał w brydża. Pierwsza ekipa przeprowadziła dokładne przeszukanie mieszkania. Otrzymał zakaz odbierania telefonów. Do biura również nie wolno mu było zadzwonić. Dostał odpowiednie zaświadczenie o swojej absencji w pracy. Jeżeli ktoś zapukał do drzwi (raz baba z cielęciną, a raz listonosz), to oni zachowywali się jak na filmie kryminalnym: za spluwy, które mieli pod marynarkami, i jeden otwierał, dwóch zaś czało się po kątach. Dwaj spali w pokoju syna, na wersalce i rozkładanym łóżku, trzeci w przedpokoju na fotelu, tuż przy drzwiach wejściowych. Ostatnia zmiana była najprzyjemniejsza. Grzeczni, młodzi ludzie, zachowywali się kulturalnie. Dopytywał się ich, o co syn jest podejrzany. Oświadczyli, że o udział w terrorystycznej organizacji. Sugerowali w sposób aluzyjny, że w grę wchodzi także zabójstwo. Minimalizowali jednak rolę jego syna. Potrzebne są tylko wyjaśnienia. Niezbędne zgoła te jego wyjaśnienia i nic ponadto. Chyba to trik. Analizuje inżynier S. wypowiedzi funkcjonariuszy. Postraszyć ojca wagą przestępstwa. Słowo „zabójstwo” działa przecież mocno na wyobraźnię. Niech spowoduje, żeby zgłosił się syn. Pokazuje protokół ze spisem zebranych przedmiotów. Rurka metalowa z rzemieniem. Pudełko po zapalniczkach z prochem. Nóż, tak zwana finka. Błazniane pudełko po cygarach marki Wilhelm II ze strzępami podartych karteczek. Zeszyt podwójny z zapiskami treści mu nieznanej. Druki nielegalne. *Kurier z Warszawy* Jana Nowaka. *Kompleks polski* Konwickiego. *Na nieludzkiej ziemi* Józefa Czapkiego. *Powstanie w Berlinie*. Rok 1984 George’a Orwella, itd. Opuścili mieszkanie wieczorem i inżynier S. prosto z „kotła” podążył na urodziny przyjaciela. Był taki jak zwykle, dusza towarzystwa przy stole, dowcipy i anegdoty. Ale przede wszystkim ta sprawa drażyła go nieustannie. W lekkiej, żartobliwej formie wracał do „kotła”. Poważniejąc zastanawiał się, co poradzić synowi. Co mu zasugerować. Niech się zgłosi do nich? Decyzję syn musi podjąć sam. Nie chce zmuszać go do niczego, zbyt wielka to odpowiedzialność. Natłok sprzecznych sugestii, przypomnienia z okupacji. Był przecież w AK.

Z powodu syna inżynier S. już od dłuższego czasu zaangażowany w życie społeczne kraju. Czytelnik biuletynów i gazetek. Niedawno w okresie letnich protestów płacił za syna karę pieniężną w kolegium za udział w ulicznej demonstracji. Przedtem wiele lat żył na uboczu zajęty pracą zawodową i apolityczny. Żył nieźle, zachowując poglądy krytyczne, podszyte jednak przekonaniem o bezsilności wszelkich działań przeciw potęgze władzy. Raczej o nastawieniu wyłącznie konsumpcyjnym: dacza, samo-

chód, zagraniczne podróże i slajdy, łowienie ryb. Teraz ojciec poszukiwanego syna. W jakiś sposób dumny z niego, ożywiony. Niezmordowanie, po raz któryś, opowiada wrażenia z „kotła”.

W ogóle tok rozmów przy stole zdominowały wątki społeczne. Kuzynka solenizanta mówi o sposobach kolportowania bibuły u nich w biurze. Jest taka osoba z hali maszyn, chuda jak szczapa, która wypycha trefne papiery za biustonosz i w ten sposób rosną jej niebywale piersi. Kilku mężczyzn już zwróciło uwagę na ten fenomen. Może mieć przykrości. Czyjaś męska łapa capnie za biust i zaszeleści bibułą. Nie wiadomo, jaka będzie to łapa. Inny z gości, pracownik dużej fabryki, nosi w klapie opornik — symbol oporu „Solidarności” przeciw juncie. Przedstawił on stan ilościowy nowych związków na dzień dzisiejszy. Na razie trzydzieści osób na trzy tysiące. Ale o przyszłości myśli pesymistycznie. Stworzą system przywilejów i ulg, choćby wczas, i ludzie pójdą na ten lep, nie będą mieli innego wyjścia. Jeszcze ktoś, też technokrata (biuro projektowe), bardzo wymownie, pomagając sobie gestami i miną, opisał atmosferę u nich w biurze. Tam znów grasuje bezpieka. Przeszukują biurka, szafki, regały. Donosiciele podsłuchują w toalecie.

Więc urodziny u Z. inne niż dotąd. Nowa tematyka. Włazło to do każdego polskiego domu. Inżynier S. do końca nie stracił fasonu. Dusza towarzystwa i niebywała możliwość wielogodzinnego wysiadania przy stole. Wyszedł jako ostatni z gości, a wychodząc oświadczył dziarsko, że rankiem o ósmej rano wybiera się na ślizgawkę. Od dwóch lat dla poprawienia kondycji jeździ na łyżwach.

PKO. Tłok przed kasami. Od kilku dni długie kolejki do kas. Wybierają ludzie pieniądze. Ceny rosną, forsa traci wartość, trzeba sięgać po oszczędności.

Godzina 11.30. Jestem dwudziesty w kolejce. Za mną od razu następni. Starszy pan w ortopedycznym, piętrowym bucie. Starzec z czernionym wąsem-przecinkiem, o ściągłej, ziemistej twarzy. Rozmawiają. Kulawy pan — 70 lat. Ten z wąsem wkracza w osiemdziesiątkę. Obaj rzemieślnicy. Kulawy prowadzi jeszcze warsztat. Ten z wąsem już na emeryturze, był giserem. Rozmowa o rublach, tych carskich oczywiście. Siedemdziesięciolatek pamięta z dzieciństwa kolorowe pliki rublowych, bezwartościowych banknotów. Ten z wąsem używał tego środka płatniczego jeszcze przed pierwszą wojną światową. Wylicza ko-

lory banknotów różnej wartości.. Niebieskie, brązowe, różowe. Następnie przechodzą do omówienia branży giserskiej, czyli odlewniczej. O istniejących jeszcze warsztatach. Niejaki Ber, sława w tym fachu, ciągle pracuje. Samotny, córka z mężem wyjechała do Stanów, dobrze się im powodzi. Ber jednak tyra jak katorżnik. Na co mu pieniądze? Kulawy parokrotnie zadaje to pytanie. Tyra dla samego tyrania. Tego zdania jest starszy z rozmówców. Lubi swoją pracę. Przecież z pieniędzy minimalnie już korzysta. Pić nie może. Niegdyś bardzo intensywnie korzystał z kobiet i wódki.

Tak gawędzili. Stali cierpliwie. Nawet nie przestępowali z nogi na nogę.

Było gorąco. Taka wentylacja. Gorąco. To znów przebiegały zimne prądy.

Z tyłu za starcami nastąpił wybuch. Mężczyzna w średnim wieku nie wytrzymał czekania i zaczął złorzeczyć podniesionym głosem. Obaj starcy zdziwili się przewrotnie.

— Coś pan z zagranicy przyjechał? — ten z wąsem tak powiedział.

Mężczyzna w średnim wieku wyjaśnił, że nigdzie nie wyjeżdżał i żyje tu nieprzerwanie czterdzieści kilka lat. Ale już stracił cierpliwość i czeka na upadek Rosji, która jest przyczyną całego tego zła.

— A wie pan, ile carowie panowali? — dał mu odpowiedź kulawy starzec. — Kilkaset lat! Ci też mają prawo...

Mężczyzna czterdziestoparoletni milczał ponuro. Starcy przestali się nim interesować. Zresztą inna sprawa zajęła ich uwagę. Do kasy próbował dotrzeć poza kolejnością tęgi mężczyzna o bladej, nalanej twarzy i wodnistych oczach; ubrany był w pelisę z bobrowym kołnierzem i futrzaną czapę; prowadziła go za rękę niska, energiczna kobieta. Podniósł się zbiorowy sprzeciw. Kobieta odpierała ataki twierdząc, że jej mąż jest chorym człowiekiem oraz posiada uprawnienia pozwalające korzystać z usług poza kolejnością.

— Pewnie jakiś ziemianin! — powiedział z zapiekłą złością starzec z wąsem-przecinkiem. — Wyżarty, wychlany, nie narobił się w życiu i jeszcze teraz chce sobie wygodnie, bokiem, pierdolony! — zakończył nieoczekiwanym przekleństwem przy jego godnej postawie starego, patriarchalnego majstra.

Drugi starzec poparł go równie namiętnie.

Jak wściekłe psy do tego w pelisie. On nie reagował wcale. Twarz bez żadnego wyrazu. Wybałuszzone, martwe oczy. Mała,

energiczna kobieta pociągnęła go za rękaw bobrowej pelisy. Zrezygnowali. Odeszli od kasy.

Interesujący wybuch starca z wąsem. Nagle rzemieślnik, prywatna inicjatywa (przedtem wiele mówił, jak to ustrój wykończył rzemiosło), wrogo, z furią odniósł się do innej prywatnej inicjatywy, rzekomego ziemianina. Zapewne powrócił wyobraźnią do międzywojennego dwudziestolecia i poczuł się obcy klasowo, niższy społecznie wobec dawnego feudała.

Właśnie wyznał swemu sąsiadowi, ile zarabiał przed wojną. W koniunkturze od siedmiuset do ośmiuset złotych. Majątek! Kulawy począł sobie z kolei przypominać, ile on zarabiał w swoim interesie. Tę analizę finansową przerwało nowe zakłócenie w rytmie kolejkowego życia. Jeszcze jeden starzec próbuje się dostać do kasy poza kolejnością. Bardzo rumiany, w grubych okularach, ruchy ślepego. Napotyka gniewny opór. Wyciąga legitymację: — Jestem ciężko chory — mówi zadyszany głosem — mam stymulator serca. — Dwaj stojący za mną reagują najgwałtowniej. Kulawy też wyciąga legitymację:

— Jestem inwalidą wojennym — powiada — a stoję w kolejce!

— A ja — przyłącza się starzec z wąsem — mam osiemdziesiąt lat!

— Hieny nie ludzie! — oburza się pan o rumianych policzkach, w grubych okularach. Chce już zrezygnować. Jednak kasjerka decyduje, że obsłuży go poza kolejnością.

Stoimy dalej.

ŚWINIE POŻARŁY PAWIA

Wieczorem lub smętnym popołudniem dla uspokojenia — muzyka. Nie jestem znawcą ani wyrafinowanym smakoszem. Nie odróżniam, nie znam — po prostu lubię. Raz tylko na oślep strzeliłem i była to prawda. Koncert w radio. Znawcy zastanawiali się, czyja to muzyka. Powiedziałem: Cezar Frank. I był to Cezar Frank rzeczywiście.

Lubię słuchać Schumanna, Schuberta, Mozarta. Muzyka ta otacza dobrą otuliną, wypełnia i gładzi. Najbardziej gładzi to wzburzenie i chaos w środku. Na ogół dosyć przyjemne myśli i wyobrażenia podczas słuchania. Ale nastawiam też często Rachmaninowa. Koncert d-moll. Przede wszystkim ze względu na literacką nadbudowę do tego koncertu. Kiedyś Janusz Sz.

z kolegą, obaj wytrawni melomani, słuchając Rachmaninowa snuli sobie fabułę do tej muzyki. Fabuła była następująca:

Dwór ziemiański, posiadłość w guberni Kurskiej lub gdzieś pod Orłem czy Wiaźmą. Świt, piękny park, gazony, śpiewają ptaki, rosa, śniadanie na werandzie: miód, ser, ogórki, poziomki, kawa ze śmietanką, no i oczywiście czaj w samowarze. Mogą też być wonne nalewki. I tak trwa bojarska idylla w takt muzyki Rachmaninowa. Aż nagle dalekie pomruki dają się słyszeć, pomruki potężnieją, zrywa się burza, gromy, błyskawice, ziemia drży... To zrewoltowana czerń wtargnęła do dworu, rabując, paląc, mordując.

W tej fabule o schyłku świata i ja mam swój udział. Dałem tytuł „Świnie pożarły pawia”. To z *Pożogi* Kossak-Szczuckiej. Tam sugestywne sceny ogarniania dworu przez chłopstwo. Zrazu od tyłu, od gospodarstwa. Park i dwór jeszcze omijali. Później przetoczyli się przez klomby i gazony. Spłoszyli tamtejsze wspańnięte pawie. Ten najstarszy, pawi król, siadł na ogrodzeniu chlewnika. Świnie pociągnęły go za ogon. Nie mógł się wyrwać. Pożarły świnie pawia.

A moi przyjaciele, Janusz Sz. i Antek, dalej snują tę rosyjską, smutną baśń. Nasz bohater z tego dworu gdzieś w guberni Kurskiej czy spod Orła — już w Paryżu. Jest taksówkarzem. Zapija się absyntem. Kiedyś wiezie jasnowłosą, smutną kobietę. I tak dalej, i tak dalej...



Znam go od wielu lat. Mieszkaliśmy niegdyś w jednej dzielnicy. Na peryferiach. Więć peryferyjna właśnie. Nawet pewna sympatia. Długo zachował chłopakowatość swojej urody. Wysoki, szczupły, o beztroskich oczach. Był specem od obcesowego, ale skutecznego podrywania dziewczyn na ulicy. Nałogowo uprawiał ten proceder. Z zawodu dziennikarz. Nigdy orzeł w swoim zawodzie. Pisywał podrzędne artykułiki w prasie codziennej, drobne komentarze o sprawach komunalnych, wypadek tramwajowy, awaria w sieci wodociągowej, nieporządki na nowym osiedlu. Sądziłem, że to z uczciwości. Nie chce się angażować w dziennikarską zależność. Działa na marginesach. Potem osiwił. Chłopakowatość mocno nadwątlona zębem czasu. Nasze spotkania miały charakter przypadkowy, ale zawsze była w tym wzajemna życzliwość, pamięć młodości itp.

W stanie wojennym objawił się w radiokomentarzu politycznym, eksponowanym w pierwszym programie. Więć w tym

czasie stukotu wojskowych buciurów i przetaczania się wozów pancernych jego głos stał się bardzo częsty w radio, zgoła regularny, a treścią dostosowany do nowych wymogów. Tak się złożyło, że przez wiele miesięcy tej osobliwej wojny nie spotkałem go ani razu. Myślałem o nim z rzadka, zawsze z pogardą i niechęcią. — Skurwił się — tak to nazwaliśmy w swoim gronie.

Z łatwością można było dociec przyczyn jego aktywności. Zajął puste miejsce. Poczuli czas. Ten czas tłoczący jego grzbiet. Przestraszył się go naraz. Jest nikim. Żadnych osiągnięć, żadnej kariery, a dziewczyny na ulicach na pewno nie odpowiadały już tak chętnie jak dawniej na jego zaczepki. A więc kiedy zniknęli z radia ci, którzy za czasów „Solidarności” zabierali tam głos, skorzystał z okazji i zajął ich miejsce.

Któregoś zimowego dnia 1983 idąc ulicą zobaczyłem go nagle. Szedł naprzeciw. Ciągłe w jakiś sposób chłopakowaty, choć już siwy i pomarszczony. Uśmiechnął się przyjaźnie i podbiegł.

— Cześć, stary! — Nie odpowiedziałem. Zaczął iść wraz ze mną: — Co tam u ciebie? — zapytał po dawnemu i wyciągnął dłoń do powitania.

Wydał mi się obrzydliwy jakiś, cuchnący tym swoim niezmiennym, głupkowatym zadowoleniem. Rosło we mnie wzburzenie.

— Spierdalaj — warknąłem.

Zachnął się zaskoczony.

— O co ci chodzi, powiedz? — Trzymał się uparcie przy moim boku. — Pewnie uważasz — powiedział — że jestem kolaborantem, doskonale, jeżeli tak, to o tym możemy podyskutować, ja ci wyłożę swoje racje, ty mnie...

— Spierdalaj! — powtórzyłem twardo.

Wtedy się zatrzymał.

Jeszcze wieczorem rozmyślałem o swojej reakcji. Czy to nie jest czasem brak tolerancji, inkwizytorska skłonność? Nie. Po prostu już znużenie (podminowane złością) tym nakładającym się na nasze życie ciężarem kłamstwa, strachu, deprawacji i ludźmi, którzy niezmiennie plwocinę nazywają orzeźwiającym deszczem. Raczej to.



Na pocztę opłacić świadczenia. Potem do krawca. Dwa napisy po drodze. Pierwszy na parapecie okiennym biura czeskich linii lotniczych: „Z Bogiem przeciw ZSSR!”. Białą kredą. Drugi w windzie domu krawca. Czerwoną szminką: „Precz

z PZPR". „Z” przekreślone poprzecznym „Z”. Wychodzi swastyka. Literatura ścienna trwa. W szalecie jak zawsze najwięcej.

Droga od krawca prowadzi koło gmachu dawnej CRZZ. Tutaj urzędowali ci kolejni fikcjonerzy: Kłosiewicz, Loga-Sowiński, Kruczek, Szydłak. Nad drzwiami wejściowymi, pozbawionymi dawnego szyldu pojawiło się kilka nowych tabliczek. Między innymi: „Towarzystwo Trzeźwości Transportowców”, „Zarząd Główny Związku Działkowców”, „Fundusz Wczasów Pracowniczych”, „Zarząd Likwidacji Mienia Dawnych Związków Zawodowych”. Solidne, dobrze zrobione i trwale przytwierdzone tabliczki. Na parkingu przed gmachem wiele samochodów. Wsiadają. Wysiadają. Młodzi. Starzy. Działacze Towarzystwa Trzeźwości Transportowców, Działkowców, likwidatorzy majątku „Solidarności” i inni. Nowe wraca! Taki żart powtarza się w Polsce, zawsze aktualny po kolejnym wstrząsie społecznym.

P E T A R D A

Marian jest bardzo bogatym człowiekiem. Spokojnym i sytym. A nosi w sobie petardę. Ta petarda wybucha w nim po wodce.

Mercedes to symbol wysokiej rangi materialnej. Marian jeździ Mercedese.

W ten sobotni, wolny od zajęć dzień wyjechał na spacer. Wypić kawę. Tak się potocznie mówi: „na kawę”. Spotkał kolegów. Im również kawa nie dała pełnej satysfakcji. Chętnie zamieniali filiżanki na kieliszki. Początek zmiany napoju nie rokował niczego nadzwyczajnego. Marian spoglądał na zegarek. Cekał go przecież obiad w domu na łonie rodziny. Spokojny, rzeczowy. Taki był na początku. Rozmowa o interesach. O wycieczkach „Orbisem” w świat. Wspomnienia z Mundialu w Hiszpanii. Nowy Rok w Hawanie. W miarę zamawianych kolejek następowało przewartościowanie hierarchii spraw. Obiad, czas... Inne wymiary. Koledzy wybierali się na imieniny niejakiej Doroty, która jest sekretarką w firmie polonijnej. Te firmy ostatnio jak grzyby po deszczu. Oj, niedługo doborą się do nich! Marian wyraził ochotę udziału w uroczystości Doroty. Zabrali go koledzy ze sobą. Tam towarzystwo polsko-cudzoziemskie. Dyrektor firmy, Szwed polskiego pochodzenia, jakiś Austriak, kilka koleżanek Doroty, też pracujących w podobnych firmach. Drinki szły gęsto. Whisky i gin. Duch wstał w Maria-

na. Rozpoczął przyjacielską pogawędkę ze Szwedem polskiego pochodzenia. Nagle wypytywać go zaczął o nazwy ulic w Göteborgu. Tamten nie bardzo biegły w topografii owego miasta. — Jaki tam z ciebie Szwed! — zezłościł się Marian. — Chamek z Polski po prostu! — Zelżył go dosyć brutalnie. Szwed zsiniał. Dygotały mu ręce. Odczuł obelgę. Może rozmówca trafił go w sedno kompleksów? Interweniował mąż Doroty. Obrażony Marian opuścił imieniny. Wraz z nim jego dwaj druhowie od pierwszego kieliszka. Nie wypadało im pozostawić kompana. Solidarność. Marian w rewanżu zaprosił ich do Kamieniołomów. Już był pełen werwy. W drzwiach opluł portiera. Uspokoił go tysiącłotowym banknotem. Zasiadli przy stoliku w nocnej knajpie. Obok bogaty, tłusty Arab z trzema pięknymi dewizówkami. Przymilały się do niego jak kotki. — Szmaty bez godności — stwierdził Marian. Ten widok rozdrażnił go. Począł rzucać niedopałki na arabski stół. Bogaty człowiek z Bliskiego Wschodu dosyć długo znosił to bombardowanie swego stolika. Aż nie wytrzymał. Zerwał się. — Milicja! — wrzeszczeć zaczął. — Milicja! — Marian skarcił go protekcyjnym klepieniem w łysinę. — Ty lewentyński śmierzdiu! — powiedział z oburzeniem. Ponieważ Arab głos miał cienki, to dodał: — Eunuchu! — Dewizówki pobiegły po kierownika restauracji. Wyprzedzili je przyjaciele Mariana. Banknotem wartości dwóch tysięcy złotych spowodowali, że kierownik schował się w toalecie. — Pięć minut na wyjście! — oświadczył ten przekupny gastronom. Druhowie z trudem wyprowadzili rozjuszonego Mariana. — Nie możemy kończyć tak przyjemnie rozpoczętej nocy — powiedział już na ulicy. Zaprosił ich do Victorii. Tam w podziemiach mieści się lokal pod nazwą Czarny Kot. Portierzy długo nie chcieli otworzyć drzwi. Pertraktacje uwierzytelnione pokazywaniem przez szybę odpowiednich banknotów uwieńczone zostały wreszcie powodzeniem. Otworzyli podwoje. Lecz Marian rozeźlony zbyt długim wyczekiwaniem potraktował kopniakiem w podbrzusze cerbera, który na pewno był również tajnym funkcjonariuszem. Nadbiegli inni portierzy. Przeprasiny kosztowały sześć tysięcy złotych. Nie było już jednak mowy o Czarnym Kocie. Jeszcze Marian rozglądał się za jakąś rozrywką. Ale miasto nic już nie miało do zaoferowania. Noc dobiegała końca. Przyjaciele zawieźli utrudzonego harcownika na zasłużony odpoczynek do domu.



Pojawiły się w mieście przyczepy campingowe opatrzone

napisem: „Handel okrężny oferuje towary pochodzenia krajowego i zagranicznego”. A w nich puszki z sokiem pomarańczowym, guma do żucia, zagraniczne papierosy, kawa, żyletki. Ceny umowne. Bardzo wysokie. Jednak powodzenie duże. Oblegają ludzie przyczepy, które przedtem służyły właścicielom do wycieczek w Bieszczady i na Mazury, a nawet do Rumunii czy Bułgarii. Szczególnie w dni popularnych imienin tłok rzuca się w oczy. Towary pochodzenia zagranicznego bardzo pasują na prezenty.

Są też takie bary-nory z dykty, plastyku, gdzie sprzedają hot-dogi z pieczarkowym farszem i frytki posmarowane ketchupem o nazwie Edytki.

Głodny naród ustawia się w kolejki do tych postnych przysmaków. Niektórzy kupują to jako zakąskę. Dwaj faceci nabyli te hot-pieczarki i w krzaki. Mieli flaszkę.

WYZNANIE KSIĘDZA M.

Ksiądz nietypowy. Ani słowa z nim nigdy o Bogu, religii itp. Natomiast z subtelnym znawstwem opowiada o dyplomacji, strategii i taktyce władz kościelnych. O intrygach wśród biskupów, prałatów i kanoników. Duże zainteresowanie moimi opowieściami ze świeckiego życia. Krótki, nieco wstydlivy śmiech i dociekliwe pytania. Jego bystry wzrok notuje również niewieścią urodę.

Wyznał: został księdzem z powodów, powiedzmy, pragmatycznych. Nie widział dla siebie miejsca w życiu laickim, podporządkowanym systemowi. Czuł się obcy. Nawet z powodu doświadczeń rodzinnych (pochodzi z Wilna, ojciec w AK, Sybir itd.) wrogi powojennej rzeczywistości. Kościół był dla niego jedyną suwerenną enklawą.

Ksiądz M. to urodzony działacz, polityk. Chwilami cynik. Życie jawi mu się jako gra. Siła i umiejętność pokerowej zagrywki atutami w tej grze. Pracę doktorską pisał o działalności księdza Kaczyńskiego. Z metafizyką u niego krucho. Mocno stąpa po ziemi. Ale niczego nie udaje. Liczy sobie 38 lat. Dużo elementów świeckiej elegancji, tweedowa marynarka pochodzenia angielskiego, buty na podwyższonym obcasie. Tylko ta koloratka pod szyją, śnieżny dowód przynależności do stanu duchownego.

PORTRET

J. relacjonowała swoją wizytę w Prokuraturze Wojskowej. Przedstawiła interesujący wizerunek prokuratora, pułkownika, doktora Z. w jednej osobie.

Próbuję zapisać to, co o nim powiedziała J.

Prokurator Z. prowadzi sprawę siedmiu aresztowanych członków byłego KOR-u. J. jest obrońcą jednego z podejrzanych. Stąd jej wizyta u prokuratora. Jest to mężczyzna w średnim wieku, niewysoki, bardzo uprzejmy; mówi cichym, przyjemnie brzmiącym głosem, precyzyjnie buduje zdania i wykazuje głęboką znajomość prawa. W tym zakresie porusza się swobodnie i biegle. Dłonie ma białe i bardzo wypielęgnowane paznokcie. J. wręcz podejrzewa go o korzystanie z usług manikiurzystki. Mówiąc patrzy prosto w oczy, oczy koloru szarego i nieustępliwe; wytrzymują obce spojrzenie.

Referował swoje kwestie beznamytnie, stwarzając atmosferę obiektywizmu i wnikliwości. Nadmieniał o potrzebie skorzystania w sprawie z opinii ekspertów. Już nawet zwrócił się do znawców z prośbą o ekspertyzę.

— Pewnie do pułkownika Wojtasika? — zapytała złośliwie J.

Ten Wojtasik to nowa i aktywna postać, która pojawiła się w telewizji na początku stanu wojennego. Błotem słów bryzgał na „Solidarność”, KOR, cały poprzedni okres „anarchii i chaosu, zmierzającego do wojny domowej”, przedstawiając ten czas jako pole owocnej działalności CIA i innych agentur. Operował językiem demagogicznym, wyłącznie sloganowym i usługowo-propagandowy charakter jego wystąpień był ewidentny. „Ewidentny” — to ulubione słowo-klucz tego pułkownika.

Prokurator Z. uśmiechnął się powściągliwie.

— Ależ, pani mecenas, pułkownik Wojtasik jest z Akademii Spraw Wewnętrznych, my zaś zaprosiliśmy ekspertów z Instytutu Badań Kapitalizmu.

— Czy to placówka PAN-u? — J. wykonała drugi, celny sztych.

Tym razem trochę się zmieszał.

— Nie — odparł krótko.

Ekspertyza, wywołał po chwili, będzie dotyczyła analizy działalności Instytutu Literackiego w Paryżu oraz sekcji polskiej Wolnej Europy i innych placówek tego typu.

— Najlepiej byłoby — pozwolił sobie na żart — gdyby w charakterze świadków przyjechali panowie Giedroyc, Kołakow-

ski i kierownik sekcji polskiej Wolnej Europy... — tego trzeciego nazwiska nie wymienił.

W trakcie dalszej rozmowy wyraził pewne zniecierpliwienie uporczywym milczeniem podejrzanych.

— O ileż śledztwo byłoby łatwiejsze i szybsze, gdyby zechcieli mówić — rzekł.

W związku z tym J. wyraziła zdziwienie, że materiał zebrany w śledztwie liczy aż kilkadziesiąt tomów. Skąd to się wzięło?

Wyjaśnił z całą powagą, iż wykonano żmudną pracę zgromadzenia taśm z wywiadami, przemówieniami i prelekcjami na mitingach oraz teksty artykułów i oświadczeń dla podziemnej i zagranicznej prasy. Jeszcze raz podkreślił mozół tej benedyktyńskiej pracy. Wyraził też pewne niezadowolenie z zachowania Adama Michnika, który bywał czasem opryskliwy, zgoda ordynarny. Od razu dodał, że oczywiście nie wpłynie to na jego stosunek do podejrzanego. Zastanowił się i uczynił następujące spostrzeżenie:

— Być może ta wybuchowość wynika z wady wymowy, którą musi pokonywać Adam Michnik?

J. wtrąciła ze swej strony, że raczej może to mieć pewien związek z pobytem podejrzanego w więzieniu. Więzień przecież podlega nieznanym na wolności stresom i podrażnieniom.

Prokurator nie podtrzymał tego wątku. Przeszedł do lektur aresztowanych. Wymienił szereg nazwisk filozofów, historyków i socjologów o światowej renomie. Prac tych uczonych żądają podejrzeni do swojej obrony.

— Pani rozumie — rzekł — ja również muszę się z tym zapoznawać.

W formie dygresji dorzucił, że tom esejów Mertona pożyczył od syna. Rzecz jasna, ułatwia podejrzanym otrzymywanie tych dzieł. Dużą wagę przywiązywał w rozmowie do praworządnego charakteru śledztwa. Mówiąc o podejrzanych używał niezmiennie określenia „oni”. I dźwięczała w tym słowie twarda, nieprzejednana intonacja.

Raz pokazał kły. Powiedział z westchnieniem:

— Tak wiele lektur, rozpraw, wywodów teoretycznych... A przecież w istocie rzecz cała jest bardzo prosta... — zawiesił głos i nieprzerwanie w tej pauzie patrzył J. w oczy. Miał zapewne na myśli, że chodzi o spisek, chęć obalenia naszego ustroju przemocą, konszachty z dywersyjnymi ekspozyturami zagranicy, a nie o jakiegось tam Mertona i jemu podobnych.

To był niewypowiedziany, lecz stale obecny fundament jego stanowiska. Nic jednak w jego wypowiedziach z gazeciarsstwa czy

taniej demagogii. Był na znacznie wyższym poziomie intelektualnym. Raczej skłonny do abstrakcyjnych spekulacji prawnych. J. w pewnym momencie zamajaczyły w pamięci jakieś prace specjalistyczne przez niego właśnie pisane.

I rzeczywiście, po powrocie do domu sięgnęła po stare numery *Palestry* i znalazła tam artykuły podpisane jego nazwiskiem.

Wracając jednak do wizyty: więc ten niezmienny fundament „ewidentnej winy” podejrzanych obecny był przez cały czas w tym gabinecie. Ani drgnął. Choćby to „oni”.

Grzeczny, kulturalny pan w średnim wieku. Nigdy nie podniósł głosu. Uporządkowany blat biurka, stos zadrukowanych papierów, przybory do pisania. Z tyłu półki z grzbietami prawniczych dzieł.

— Groźny — reasumuje J.



Taksówkarz wyraźnie zdenerwowany. Wsiadam z papierosem. Patrzę: „zakaz palenia”. Taki napis.

— Już gaszę — mówię posłusznie.

— Pal pan! — machnął ręką. Sam zapalił. I od razu zaczął opowiadać.

Wracał z Anina. Miał tam kurs spod Dworca Centralnego. Trzech młodych, podpici, ale w normie. Zawiózł ich. Pustkowie. Las. Kurs według licznika — 350 złotych. Nie chcą płacić. Jeden wyciąga nóż. Kłuje nim go w plecy. Co miał zrobić... Sam. Ich trzech. Nie da rady. Jeszcze bezczelnie machali mu rękoma. Odjechał. Zauważył człowieka na drodze. — Panie! — woła. — Niech pan jedzie ze mną na milicję. Napadli mnie pasażerowie! — Daj pan spokój! — odpowiedział człowiek na drodze. — Widzi pan, jak tu jest. Ciemno, ani żywej duszy, co ja się będę wtrącał w nie swoje sprawy.



Pijany w autobusie przedstawił oryginalną diagnozę zimy. Dlatego taka łagodna, że Matka Boska Częstochowska i Papież wymodlili łaskę dla zgnękanego narodu. Bo jeżeli by przyszła, tęga, siarczysta, to ludzie musieliby ginąć z głodu i mrozu jak muchy. A tak, chociaż węgiel zabiera nam Rusek, a żarcie idzie dla ZOMO, nic nie może zaszkodzić narodowi.

Tylko o tym mówił na dosyć długiej trasie od placu Zamkowego na Targówek. Człowiek w podniszczonym paltocie, urząd-

nik, rzemieślnik, głos monotony. Cichy pijaczek, żaden awanturnik.

Bazar kipi. Okupacyjny obraz. Odwiedziłem Z. Prowadzi kram z książkami. W istocie handluje wszystkim. Książki są sztyldem, zasłoną. Ile miesięcy już leży na desce ten *Bunt Spartakusa* Haliny Rudnickiej czy *Listy z więzienia* Róży Luksemburg!

Stałem z Z. około godziny i trzy razy przychodzili interesanci. Jeden z plikiem forintów, drugi z rublami, trzeci miał pisma pornograficzne; jak tu oni powiadają: „świerszczyki”. Z. nabył forinty, ruble i pisma porno. Wyciągał z kieszeni spodni gruby plik banknotów i odliczał sprawnie.

Powiadają, że Z. jest na usługach. Być może.

Przy krzyżu, już zimowym, układanym przeważnie z jedliny i bukietów zasuszonych kwiatów, gromadzi się stały chór, złożony w większości z kobiet. Bardzo są nieprzejednane i ostatnio z upodobaniem śpiewają dwie pieśni: *Zielona wrona* i *To nie Polak, lecz czerwona świnia*. Typowe ballady dziadowskie czy podwórzowe, wyśpiewywane rozwlekle, na wędrowną nutę mazowieckiego lirnika z włoczęgowską torbą i kosturem. Kobięcy chór nad krzyżem przepaja te pieśni zażartą, wściekłą interpretacją. Ryczą po prostu. Głos niesie się na cały plac Zamkowy i staromiejską okolicę. Twarze mają zaciekle. Wiele inwalidek, staruch, młodych niewydarzonych. W ilości około stu osób. Jedną zwrotek z *Zielonej wrony* zdołałem zapamiętać:

„Zielona wrona, dziób w wężyk szamerowany,
Kto nie da drapaka, kto nie chce krakać,
Ten będzie internowany”.

Twórczość jeszcze z czasu wojny. Teraz nie ma internowanych.

Te baby! Kilka razy podchodziłem pod kwietny krzyż przy św. Annie i ciągle ten sam rodzaj kobiet. Zawzięta, szturmowa kadra.

Ludzie podchodzą, patrzą, dołączają do chóru. Nieustająca rotacja w godzinach wieczornych. Jedni, nieco zaniepokojeni treścią tych pieśni, rozglądają się niepewnie. Innych to rozgrzewa, błysk w oczach, rodzi się anty-wroni animusz. Trafia się też

jakiś typ niejasny. Niby swój, a jednak... Może tajniak? Muszą być tajniacy. Bo mundurowi rzadko tu się pokazują. Jeżeli przechodzi patrol, to od razu przyspiesza kroku. Czasem z boku stanie milicyjna Nysa i widać siedzących tam funkcjonariuszy.

Jest to akt oskarżenia z Prokuratury Wojskowej. Nie mogłem się oprzeć pokusie poczynienia wypisów z tego dokumentu.

Znak akt..., jeszcze jakieś cyfry i skróty słów, .../82. Akt oskarżenia w sprawie przeciwko... Tu zostało wymienionych pięć osób. W nawiasie określani jako podejrzeni, tymczasowo aresztowani.

Pierwsze nazwisko kobiety. „Urodzona w 1955 roku, magister inżynier ochrony środowiska, zatrudniona w instytucie naukowym (nazwa tego instytutu), pochodzenie społeczne: inteligencja pracująca, bez majątku, bezpartyjna, były członek NSZZ 'Solidarność', bez orderów i odznaczeń, sądownie nie karana”. I teraz co następuje: „... oskarżona o to, że 1) mimo zawieszenia związku 'Solidarność' ustawodawstwem stanu wojennego podjęła się działań w podziemnych strukturach tego związku w ten sposób, że wykonując funkcję łączniczki brała udział w drukowaniu nielegalnych wydawnictw sygnowanych przez tzw. 'Niezależną Oficynę Wydawniczą — Nowa 2', w tym tygodnika 'Solidarność Mazowsze' oraz opracowań pt. 'Raport o stanie wojennym' i 'Z dwóch stron drzwi'; 2) sporządzała osobiście, brała udział w składaniu i drukowaniu, przechowywała celem rozpowszechniania i rozpowszechniała: a) opracowanie pt. 'Raport o stanie wojennym' zawierające treści mogące wywołać niepokój społeczny oraz rozruchy, oczywiście fałszywe informacje tj. wiadomości i opisy zmyślane lub tendencyjnie przeinaczone co do — przebiegu wydarzeń stanu wojennego, w tym rzekomych gwałtów i bicia pałkami osób zatrzymanych do wylegitymowania przez funkcjonariuszy MO i innych formacji porządkowych, — rzekomo lepszego zaopatrzenia funkcjonariuszy MO w artykuły żywnościowe w okresie stanu wojennego w nagrodę za stosowaną przemoc, — rzekomych pacyfikacji szpitali przez służby porządkowe, — rzekomego przyjmowania przez patrole porządkowe milicji lub wojska korzyści materialnych od osób stojących w kolejkach do sklepów w zamian za odstąpienie od legitymowania, — rzekomych przywilejów materialnych zawodowej kadry wojskowej lub wyższego standardu wskutek popełnionych kradzieży, — rzekomego niszczenia przedmiotów w czasie przeszukań pro-

wadzonych przez funkcjonariuszy SB; a ponadto zawierające stwierdzenia antyradzieckie i nawołujące do akcji protestacyjnych przeciwko władzy państwowej oraz cechy wyszydzania i poniżania socjalistycznego ustroju w Polsce...”.

Identyczne zarzuty, oparte na moim *Raporcie* przypisano jeszcze jednej osobie (mężczyźnie urodzonemu w 1952 roku).

To tyle. Właściwie satysfakcja. Tak groźnie została moja książka potraktowana i na niej stoi oskarżenie. Zwana w tym dokumencie „opracowaniem”, co ma sugerować jej faktograficzny charakter. „Raport” jako tytuł wydał mi się konieczny z tego powodu, że w ustroju socjalistycznym taka forma bojowego melodramatu jest bardzo rozpowszechniona.

I ta nieznana dziewczyna, nieznany chłopak... Być może nie mają z tym nic wspólnego. Znaleźli u nich podczas rewizji kilka egzemplarzy i już oskarżycielska machina ruszyła. Potrzeba ukarania sprawców. Nawet rzekomych. Stara zasada. Znana mi jeszcze ze stalinizmu. Pamiętam, jak odkryli w szraczu napis „anty”, a podczas dużej pauzy ostatni wychodził stamtąd Wiesiek Cz. On to został sprawcą. Przesiedział kilka miesięcy w piwnicy urzędu, do szkoły już nie wrócił.

Ci młodzi ludzie uwięzieni od maja 1982. Minęło siedem miesięcy. A ja? Na razie piszę dalej.

SPRAWA ANNY P.

Sprawa Anny P. zakończyła się na razie sukcesem.

Anna P., aktywistka „Solidarności”, stała się od początku stanu wojennego solą w oku dla rzeczników ładu i porządku. Szczególnie jeden z nich, przewodniczący dawnej rady zakładowej, zagiął parol na śmiałość, niezależność i nie tracącą ducha dziewczynę. Zwolniono ją z odpowiednio fałszywym uzasadnieniem. Anna P. przystąpiła do upartego boju. W pierwszym rządzie odwołała się do rejonowej komisji rozjemczej. Rejonowa komisja utrzymała zwolnienie w mocy. Wtedy odwołała się do sądu pracy. Sprawę wygrała. Sąd okazał się w tym przypadku rzeczywiście niezawisły i przyznał rację jej argumentom. Anna P. pracuje nadal w biurze. Jednak przewodniczący dawnej rady zakładowej (obecnie przewodniczy grupie inicjatywnej nowych związków zawodowych) ryje pod nią uparcie. Powiada się ponadto, że dyrektor ugina się pod jego presją. Dawny przewodniczący nienawidzi Anny P. Przecież przegrał batalię. Ambicjo-

nalnie zraniony. Toteż czeka na każde jej potknięcie. Gazetka, ulotka, capnąć za rękę i już! Szuflada jej biurka co dzień jest sprawdzana dyskretnie. Powiada się również o jakichś redukcjach personalnych w biurze, uzasadnianych koniecznością reformy. Oczywiście ofiarą tych redukcji w pierwszym rządzie padnie Anna P. Zobaczymy.

REWIZJA

Przyszli o 6.00. Było ich pięciu. Mieli nakaz. Ubierałem się szybko. Czekali sfoczeni w naszym miniaturowym przedpokoju. Jola przez jakiś czas jeszcze oszołomiona tym nagłym wytrąceniem ze snu. Ciemno. Zapalili małe i duże światło. Rozpoczęli swoje czynności. Około w pół do szóstej był jakiś telefon. Podniosłem słuchawkę i nikt się nie odezwał. Pewnie oni sprawdzali. Zapytałem. Zaprzeczyli. Przeszukanie prowadzili dokładnie i systematycznie. Półka po półce. Szuflada po szufladzie. Papier po papierze. Jeden zasiadł przy stole i sięgnął po rękopis mojej sztuki radiowej na dwa głosy. Wczoraj zacząłem przepisywać na maszynie. *Ostatnie słowo oskarżonego*. Zagłębił się w lekturze. Siwy, kędzierzawy, o czerwonej twarzy i niebieskich, zapalczywych oczach. Drugi, mały i wąty, z rzadkimi zębami, też nie brał udziału w czynnościach. Przysiadł na krawędzi tapczanu, tak przycupnął i przeglądał album *Żydzi polscy*. Podziwiał piękne fotografie rozmaitych przedmiotów kultowych. Podsunąłem mu następny — *Rosja przed rewolucją*, wydany w Anglii. Następnie trzeci o Sardynii. Szczególnie spodobały mu się skaliste, rdzawe pejzaże wyspy. Może kierowca ekipy?

Każdy z nich był inny. Pierwszy za stołem — czytelnik rękopisu. Dwaj fachowcy od bebeszenia. Czarny z wąsikami, śniady o migdałowych oczach i miękkim uśmiechu. Jola nazwała go „Meksykano”. I drugi, tęgi, o nalanej twarzy i barach tragarza, w brązowej marynarce i farmerkach. Dobry fachowiec. Odkładał na fotel podejrzaną papierozy i książki, wśród nich kilka egzemplarzy mojego *Raportu* wydanego w Nowej. Zajął się szafkami biurka. Odwrócił się tyłem do fotela. Pomyślałem: „uratuję chociaż jeden egzemplarz”. Toteż korzystając z tego, że był odwrócony, sprawnie i szybko ściągnąłem egzemplarz *Raportu* z zakwestionowanej kupki i wsunąłem w rząd książek na sąsiedniej półce, która została już sprawdzona. Usunąłem się do przedpokoju, zadowolony ze swego manewru. Nie mógł widzieć.

Przecież był odwrócony plecami, w kucki przy biurku. Wtedy ze zdumieniem zobaczyłem, że wstaje spod biurka, podchodzi do półki, wyciąga stamtąd nieomylnie *Raport* i odkłada z powrotem na fotel. Była to scena niema. Wróciłem do pokoju. Dalej szperał w dolnej szufladzie biurka. Nie powiedziałem ani słowa. Po prostu widział tyłkiem! Tam też miał swoje radary. Szelest, oddech, ruch powietrza... Reaguje na wszystko. Czwarty, młody, elegancki według ostatniej mody, buty na wysokich obcasach i spiczaste, kołnierzyk koszuli z guziczkami, włosy długie i takie same długie wąsy, blady o smutnych oczach. Ten zajął się powierchnią biurka. Przeglądał i czytał stare maszynopisy, listy, pocztówki. No i piąty, neutralny, ten od albumów.

Wszyscy dużo palili. Grzeczni, zwracali się do mnie per „panie Marku”.

Najstarszy, czytelnik rękopisu, komentował półgłosem tekst, czasem wzruszał ramionami i czerwieniał, wyrażał dezaprobatę i mówił w przestrzeń: — No proszę! No proszę! — Raz nawet przeczytał głośno całą kwestię, tyczyła ona entuzjazmu jednego z bohaterów dla czasu od sierpnia 1980 roku: : „... ludzie stali się lepsi wobec siebie, życzliwi, uśmiechnięci, nawet pejzaż...”. Przeczytał i ominął mnie starannie spojrzeniem jak zarazę. Porwoczy, reagował impulsywnie. Tylko czytał. Niczym innym się nie zajmował. Bardzo żywo czytał.

Meksykano przeszedł do pokoiku Joli i zajął się aktami spraw sądowych. Skrupulatnie, teczka po teczkę. Też przeszedł z nią w zażyłość i mówił „pani Jolu”.

Ich imiona nie były nam znane. Zwracali się do siebie bezosobowo.

Rewizja ciągnęła się i ciągnęła. Jużienne światło i zgasiłyśmy lampy. Wszyscy byliśmy zmęczeni. Oni i my.

— Małe mieszkanie — westchnął Meksykano. — Tyle papierów i książek.

— Z latami papiery zaczynają pożerać człowieka — powiedziałem i też westchnąłem.

W kuchni rewidowali niedokładnie. W piwnicy też. Zszedłem tam z tegim i tylko spojrzał na stos rupieci. Trącił butem. W worku zagruchotały słoiki. Zajrzał pod deski po starej szafie. To wszystko.

— Gdzie stoi wóz? — zapytał.

Udaliśmy się na ulicę po dom. W samochodzie otworzył bagażnik. Wyraził zdziwienie na widok bałaganu. W samochodzie wsunął dłoń pod fotele. Na półeczce obok radia bezczelnie

rozłożył się egzemplarz książki o Teatrze Ósmego Dnia wydanej przez Krąg. Oczywiście zabrał.

Wróciliśmy na górę. Tam czynności dogasały. Jeszcze penetracja notesów, kalendarzy, grzebanie w Joli torbach. Posiada ich kilka. Pełne starych papierów, strzępów akt, pokruszonych papierów. Ale sprawdzali już byle jak. Na wierzchu pod paterą na owoce leżało kilka ulotek i tam nie zajrzeli.

Jola nastawiła adapter. Puściła Mozarta. Mozart dobrze nam zrobił. Muzyka gładziła, uspokajała. Oni chyba też potraktowali to jako przyjemne wytchnienie. Kawy nie chcieli pić. Podziękowali stanowczo.

Jolę wypuścili wcześniej. Miała sprawę w sądzie. Przedtem pozwolili jej zadzwonić i przesunąć termin o 45 minut. Następnie po podpisaniu protokołu przeszukania została zwolniona i pobiegła do sądu. Oni jeszcze pozostali. Spisali zebrane książki i maszynopisy. 19 pozycji. Podpisałem. Dla siebie otrzymałem odpis przez kalkę. Już koniec. Godzina 10.30.

Jednak nie był to koniec.

— Teraz, panie Marku, pojedzie pan z nami.

Pokiwałem głową. Nie byłem zaskoczony. Przecież przez tych kilka godzin zdążyłem się już przygotować na rozmaite warianty finału. Trzej: Meksykano, tegi (najlepszy fachowiec) i młody-modny — wyszli pierwsi. Ja z pozostałą dwójką. Czekał Fiat z młodziutkim kierowcą, chłopackiem w skórzanej bluzie. Więc ten cherlawy, mały wielbiciel albumów nie był kierowcą. Pojechaliśmy.

Zawieźli do Pałacu Mostowskich. Doszedłem do wniosku, że Meksykano i tamci dwaj są z MSW, a ci to chyba milicyjni resort, może i z SB, ale ze stołecznej komendy. Wjechaliśmy w podwórze. Schodami na drugie piętro. Zostałem umieszczony w jednym z trzech pokoi usytuowanych w amfiladzie. Siadłem na krześle. Młody człowiek za biurkiem przeglądał akta, jakieś fotografie, plany sytuacyjne. Kędzierzawy, czytelnik mojej sztuki, zasiadł w środkowym pokoju. A na końcu, w trzecim, urzędowała tęga kobieta w okularach i facet w szarym garniturze. Drzwi między pokojami pozostawały otwarte, więc byłem mimowolnym słuchaczem rozmów prowadzonych przez pracowników. Mój towarzysz, mężczyzna w swetrze, nie brał udziału w pogawędkach, pogrążony w pracy.

Dzwoniły telefony. Do kobiety w okularach — mąż. W sprawie zakupów. Poleciała mu kupić chleb. Sama nabędzie kurę na obiad w Hali Mirowskiej. Mąż nie chciał kury. Więc postara się kupić coś innego. Omówili również sprawę porządków przed

wolną sobotą. Ona przeleci elektroluksem. On wytrzepie dywan i dwie kapy. Mężczyzna w szarym garniturze zatelefonował z kolei do żony. Umówili się po pracy. — Chyba że zajdzie coś nieprzewidzianego — zaznaczył. Mój czytelnik rzucił jakiś żart, którego pointy nie dosłyszałem. Związany z nieprzewidzianym przedłużeniem pracy. Śmiali się wszyscy. Nawet ten w swetrze uśmiechnął się lekko. I tak mijał czas. Przed dwunastą mój czytelnik zaproponował wspólne śniadanie. Pójdzie do bufetu i kupi coś tam.

— Dobrze pan wie — powiedział — u nas w konsumach wszystko jest, szynka, polędwica... — Poszedł. Nie było go około kwadransa. Wrócił wzburzony. — Znowu mnie ta pierdolona bładź oszukała! — zawołał od drzwi. — Policzyła 65 złotych. Na pewno rąbnęła najmniej na 20 złotych.

Przygotował na papierze męskie, robocze śniadanie. Pasztetowa, bułki, naparzył chińskiej, torebkowej herbaty.

Jedliśmy z apetytem.

— Co, bufetowa oszukuje? — zapytałem. Pokiwał głową. — Pewnie żona jakiejś szczy z resortu? — zadałem ponowne pytanie człowiekowi naiwnego.

— Ma pan tyle samo lat co ja — odpowiedział. — Zna pan życie.

Z kolei ja pokiwałem głową.

Zjadłem, podziękowałem i przeniosłem się do ostatniego pokoju. Młody w swetrze ciągle zagrzebany w grubych aktach jakiejś sprawy. Ci z sąsiednich pokoi przeglądali katalog niemieckiej firmy Neckermana. Komentowali głośno pozycje katalogu. Kobieta w okularach najbardziej żywo reagowała na dział urządzeń do kuchni i łazienki. — Serce boli — powtarzała. I tak sobie czytali pozycje po pozycji. Katalog przyniósł do biura mężczyzna w szarym garniturze. — Pożycz mi do jutra — poprosił siwy, kędzierzawy. — Podenerwuję trochę swoją babę. — Telefon przerwał rozmowę.

— Tak, tak. Czeka — odpowiedział kędzierzawy.

Domyśliłem się, że chodzi o moją skromną osobę.

— Dobrze! Tylko też chciałbym pójść wreszcie do domu. Dobrze. Czekam. — Odłożył słuchawkę — Psiakrew! Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek wróci do domu!

Przez okno widziałem spaceriak areztancki otoczony wysoką siatką. Obok budka strażnika. Akurat spacerowały trzy kobiety. Jedna w kozuchu, bardzo ładna. Zwróciłem się do zapracowanego w swetrze pokazując spacerujące za siatką dziewczyny.

— Pewnie jakieś wirażki — rzekł. — Tu nie ma poważniejszych osób.

Nieźle nazwał. Poważniejsze osoby.

Po godzinie mniej więcej znów zabrzęczał telefon i siwy, kędzierzawy przystąpił do przesłuchania. Poinformował przepisowo, że przysługuje mi prawo odmowy składania zeznań na podstawie artykułu takiego i takiego. Z tego właśnie skorzystałem i przesłuchanie zostało szybko zakończone. Złożyłem podpis pod tym skąpym wyjaśnieniem i mój opiekun odprawił mnie do wartowni. Pożegnaliśmy się uściskiem dłoni.

Wyszedłem z budynku komendy. Była godzina 15.00.

GÓRA ŻŁOTA

Arkadiusz zaprosił mnie na wieś. Było to dzień po rewizji, więc chętnie się zgodziłem. Interesująca zmiana wrażeń.

Podjechał rano swoim srebrzystym Mercedeseś i pojechał. Posiadłość znajduje się około czterdziestu kilometrów od Warszawy w typowym mazowieckim pejzażu. Pola, łąki, zagajniki, kilka starych kościołów po drodze. Padał śnieg, poniżej zera, i na polach biel. Dojechaliśmy na miejsce. Imponujący widok. Trzy hale fabryczne z podjazdem dla samochodów. Budynek biurowy. Po drugiej stronie podwórza, w szopie zbudowanej z prefabrykatów i krytej falistą blachą, mieści się stajnia, obora i świnia. Widok zamyka stodoła. Jest to własność prywatna. W socjalizmie taki majątek przypomina Łańcut czy inną wielkopańską ordynację. Arkadiusz trzyma w stajni dwa wierzchowce. Lubi konną jazdę. Dziś przyjechał właśnie w tym celu. Pokłusować na wierzchowcu imieniem Żaneta. Ładna, smukła klacz. Żaneta i Żaba. Matka z córką. Żaneta ma białą gwiazdkę na czole i jest dosyć ostra. W oborze kilka krów, dwa cielaki, świnie. Prawdziwe gospodarstwo. Arkadiusz sprawnie osiodłał Żanetę. Ruszył na przejażdżkę. Wierzchowiec wierzgał tylnymi nogami, spróbował stanąć dęba, od razu ruszył galopem. Zostałem sam w saloniku budynku biurowego.

Ponieważ Arkadiusz zajmuje się kolekcjonowaniem dzieł sztuki (zamiłowanie odziedziczył po ojcu, znanym zbieracz), toteż pokój umeblowany był XIX-wiecznymi meblami dworskimi, a ściany zdobiły dwa spatynowane starością obrazy i flinta myśliwska. Poniżej bogaty zestaw rzędów końskich i szpicrut. Wśród nich bykowiec z Hiszpanii, sporządzony, jak przedtem wyjaśnił

Arkadiusz, z byczego penisa. Groźny, katowski batóg. Za ścianą dzwoniły co jakiś czas telefony. Ale raczej rzadko. Sobota, wolny dzień.

Po przejażdżce Arkadiusz oprowadził mnie po swojej fabryce. Hale pełne maszyn, które spełniają rolę żaren, sit, młódeczek i przetaków. Poruszane napędem elektrycznym (w razie awarii prądu publicznego posiada własną, rezerwową elektrownię), maszyny owe służą do wyrobu farb i lakierów, płynnych i sproszkowanych. Trzecia hala jeszcze pusta, w toku prac przygotowawczych, już postawione ogromne, dwutonowe maszyny. Tutaj rozpocznie się produkcja farb emulsyjnych. Arkadiusz przystąpił do kooperacji z firmą polonijną, która udzieliła mu kredytu na rozbudowę mocy produkcyjnych. Maszyny do wytwarzania emulsji nabył okazjnie. Jakiś SKR czy POM prowadził w ramach działalności ubocznej wyrób emulsji, jednakże ze względów kryzysowych zaprzestał. Maszyny stały więc w polu i ulegały zniszczeniu. Miały już iść na złom. Wtedy wkroczył Arkadiusz czyhający na ten cenny łup od dłuższego czasu. Zakupił maszyny płacąc po 20.000 złotych za sztukę, wyremontował je własnym sumptem i oto gotowe są do użytku. Wartość ich wzrosła kilkakrotnie. Fabryka Arkadiusza zatrudnia czterdzieści osób. W wyniku wejścia w spółkę z firmą polonijną będzie tu pracować około stu osób.

Rozmach i dynamizm. Świetna organizacja i porządek. Nawet takiemu jak ja laikowi narzuca się wrażenie podziwu i oszołomienia, że tutaj u nas coś tak działa jak precyzyjny szwajcarski chronometr. Firma posiada własny transport. Trzy ciężarówki. Przywożą surowiec i rozwożą farby po całej Polsce. Ruch nieprzerwany, wahanolowy. Dziś mimo wolnej soboty też ruszyły o świecie w trasę. Ludzie zabijają się o farby. Arkadiusz nie obawia się konkurencji. Wyrabia dwadzieścia jeden kolorów farb, tymczasem wytwórstwo państwowe dochodzi jedynie do pięciu, sześciu kolorów najwyżej. Cała ta produkcja to nieprzerwany strumień pieniędzy. Pomyślałem o talentach organizacyjnych, technicznych i jeszcze innych mojego kolegi. Musi przecież doskonale znać mechanizmy naszego ustroju. Mechanizmy i luki między nimi, te popsute śrubki i zacinające się tryby. Musi umieć rozmawiać z rozmaitymi urzędami, instytucjami, naczelnikami, kontrolerami.

— Komu dać, a komu nie dać — zamruczałem pod nosem.

— Co mówisz? — zapytał.

Machnąłem ręką. Nie chciałem rozpoczynać rozmowy na śliskie i dyskretne tematy. Cały obszar takich dyskrecji musi być

trzymany jak w sejfie otwieranym na szyfr, znany jedynie właścicielowi. To doskonale rozumiem.

Wróciliśmy do saloniku w budynku biurowym. Zasiadliśmy w miękkich fotelach, popijaliśmy kawę ze słodką śmietanką, odciągniętą z rannego udoju i Arkadiusz pogrążył się w wizji przyszłości. Wizję posiada optymistyczną i realną. Nie szybuje wcale w regionach utopii czy fantazji. Dwa lata temu odkrył pod Łomżą górę. Ogromną górę porośniętą jałowcem i sosenkami. Tam od 1909 roku istniała fabryka brązowego barwnika. W pobliżu mieli płytką żyłę rudy żelaza, którą wydobywano metodą odkrywkową i jej najbogatszą w żelazo treść przerabiano na brązowy barwnik. W 1939 roku fabryka została zbombardowana i stanęła. Już jej nie odbudowano i tak pozostałe urządzenia zostały wywiezione lub rozkradzione, budynki rozebrano na cegłę i zniknęła ta fabryka z powierzchni ziemi. Odkrywkę wypełniła woda, a hałda odrzuconej rudy porośła krzakami, sośniną, trawą; stała się górą. Arkadiusz zgłębiwszy pochodzenie góry, zorientował się w lot, że jest to góra złota po prostu. Przerabiać rudę z hałdy na brązowy barwnik! Obecnie na świecie panuje moda na produkcję kolorowych betonów do budowy mostów, fundamentów itp. Do tego celu wystarcza nawet bardzo uboga ruda, której magazyn na lata całe znajduje się pod Łomżą. Więc przerabiać i wywozić za granicę, pracować wyłącznie na eksport. Góra jest własnością gminy. Arkadiusz postanowił ją odkupić od właściciela jako nieużytek. Po wstępnym rozeznaniu nie wydawało się to zbyt trudne. Na początku nabył 1000-metrową parcelę w pobliżu góry i postawił barak. W baraku umieszczono wnet urządzenia potrzebne do przerobu góry na barwnik. Niestety w międzyczasie wyrosła nieprzewidziana przeszkoda. W najlepszym hazardzie tak bywa czasami. W zarządzie miejscowej Samopomocy Chłopskiej nastąpiły zmiany. Wybrany został nowy wiceprezes (bo prezes, pijaczek i cwaniak, od początku był skłonny Arkadiuszowi), który postanowił sam zająć się eksploatacją góry. Siłą rzeczy uzyskał pierwszeństwo zakupu od gminy jako reprezentant jednostki społecznej. Był pełen planów i pomysłów. Tacy ludzie też zdarzają się czasami na państwowych posadach. Sprawa przybrała dla Arkadiusza niepomysłny obrót. Prezes-sojusznik realistycznie i ze znanstwem przedstawił Arkadiuszowi dalszy bieg rzeczy. — Należy przeczekać — tłumaczył. — Minie rok, najwyżej dwa i on się ugiebie, uszarpie, nic mu się nie uda zrobić. Machnie ręką i wtedy pan odkupisz tę górę od spółdzielni. Upierdoli się i pęknie. Musi! — powtarza prezes. Arkadiusz czeka cierpliwie.

Patrzę na niego. Blond, kędzierzawe włosy, taka sama broda, niebieskie, nieco szklane oczy. W sile wieku. Wiking. Konk-wistador.

Po wyczerpaniu fascynującego tematu góry złota Arkadiusz przeszedł do wizji bardziej odległej, futurologicznej. Rozważać zaczął stosunki Wschód-Zachód, wzajemną korelację między tymi światami. Widzi tylko jedną alternatywę dla ZSSR: wojnę lub rzetelne odprężenie i ekonomiczno-kulturalne stosunki z Zachodem. Rozumuje precyzyjnie: jeżeli wojna, to w ogóle nie ma co myśleć, przecież wtedy w kilka sekund może się wszystko obrócić w perzynę; a jeżeli inaczej potoczą się losy świata, to należy brać w tym czynny udział. Toteż na odprężeniu buduje program dla swej nienasyconej potrzeby biznesu. W odprężeniu widzi szansę eksploatacji bogactw Kraju Rad, nawet marnych ochłapów tych bogactw. I daje przykłady na poczekaniu. Choćby zbieranie starych opon i ich przerób, w ogóle jakichś niszczących odpadów. Przy wysokiej technologii i organizacji pracy na Zachodzie rzecz cała nie przedstawia żadnych trudności. Widzi mnóstwo tych korzystnych dla dwóch stron dróg. Gospodarkę kolektywną cechuje przecież olbrzymie marnotrawstwo dóbr materialnych i cóż stoi na przeszkodzie zapobieganie tej chorobie systemu. Prawo połowu ryb na Wołdze czy innym Obie, Irtyszu, Jeniseju. Eksploatacja nieopłacalnych dla nich, niskoprocentowych złóż mineralnych. Wyrąb lasów gdzieś na Uralu czy w Karelii. Otrzymać od Rosji koncesję na jakiś marny ochłap w stosunku do jej niezmiernych bogactw.

— Parę lat — konkluduje Arkadiusz — i miliony dolarów zysku.

Zapatrzył się w sufit wizjonerskim wzrokiem. Ten sufit niski, zamyka pułap. W tej Rosji łaskawej i otwartej na penetrację swoich bogactw widzę niemało utopii. Może i samą utopię. Poniósł swojego rozmówcę ta rzeka zielonych pieniędzy płynąca pienistym nurtem z gór Uralu czy skądś tam. Ale nic nie mówię. Tylko słucham. Błyszczą metalowe ozdoby na skórzanej uprzęży. Bicz i szpicruty w stojaku. Z obrazu na ścianie przeziiera postać dworzanina. Sielsko. Niesocjalistycznie.

Pod koniec pobytu poszliśmy oglądać dom letni, który jest w trakcie budowy. Stawiają górale z Podhala, najlepsi cieśle. Właściwie zbudowany, już pod dachem, tylko pozostały roboty we wnętrzu. Drewniany dom na kamiennej podmurówce, spadzisty dach z gontów, ganek, kamienie podmurówki zabarwione brązowym barwnikiem; typ mazowieckiego dworkowego budownictwa. Świetne widoki. Z jednej strony las. Z drugiej pole,

daleka droga wysadzona wierzbami. Nasze swojskie Mazowsze. W pobliżu znajduje się dworek Chełmońskiego. Wiosną będzie tu pięknie.

Arkadiusz stał się liryczny, rozmarzony. Mówił o kwiatach na łące, o wschodzie słońca nad lasem i przelotach dzikiego ptactwa. Potem spojrzął na zegarek. Skierował się do obory. Wyniósł stamtąd dwie bańki. W jednej mleko, w drugiej śmietanka. Wstawił do bagażnika w samochodzie. Też dostałem w prezencie pękata butelkę po whisky pełną tej wspaniałej, słodkiej śmietanki.

Zmierzchało się, kiedy opuściliśmy jego posiadłość. Śnieg roztopił się już. Czarne pola, szare domy. Powrót do Warszawy.



U inżyniera S. sytuacja bez zmian. Syn nie pojawił się w domu ani razu. Jego zaś wzywali do komendy.

Przeprowadzili przed nim trzech facetów. Młodzi ludzie. W wieku syna. Później dopytywali się, czy któryś z nich nie jest mu znany.

— No, niech pan sobie przypomni — pytali natarczywie, patrząc na niego.

Nie znał żadnego.

— Nawet gdybym znał — powiedział nam — to bym się nie przyznał.

Następnie pokazali mu zdjęcie zwłok młodej kobiety. Dosyć makabryczna fotografia. Wyraźne ślady szycia po sekcji. Ścisnąc głos (dwóch ich było, grzecznych, troskliwych) powiedzieli, że przypuszczalnie jego syn był jednym z ostatnich, którzy widzieli denatkę jeszcze żywą. Znowu napomykali o udziale syna w terrorystycznej organizacji.

— Jaki charakter tego terroru? — zapytał inżynier S.

— Maltretowali członków PRON-u — padła odpowiedź.

Inżynier S. przypuszcza, że cała ta atmosfera zbrodni i terroru zaaranżowana została celem postraszenia go i wywarcia odpowiedniej presji psychologicznej. Postraszony ojciec może pomóc w schwytaniu syna. To jasne!

— Nie uległem temu naciskowi — oświadczył inżynier S., choć z komendy wrócił nieźle roztrzęsiony. Coś łykał, jakieś pastylki.

Dopiero wieczorem odetchnął z ulgą. Telefon. Męski, przytłumiony głos zakomunikował, że jego syn czuje się świetnie i przebywa w bezpiecznym miejscu.

— Czy aby czegoś mu nie trzeba? — zapytał inżynier S.
Po drugiej stronie odłożono słuchawkę.



Matka chora. Kaszel i stany podgorączkowe. Zapewne grypa. W tym wieku to niebezpieczne. Nie ma apetytu. Narzeka na osłabienie. Nie ma cierpliwości do chorób. Mało w swym życiu chorowała.

Siedzę i słucham. O sąsiadkach. O chorobach. Zwyczajem starych kobiet dokładnie relacjonuje różne przypadki raka. Ile tych wariantów! Trochę to nieprzyjemne. Nagłe zejścia również podlegają jej bacznej uwadze.

— Nigdy nie chorował i...

Już chcę iść. Matka prosi:

— Nie odchodź jeszcze. Samej tak mi się przykrzy.

Nigdy nie mówi „nudzi mi się”, tylko „przykrzy”. Wygląda marnie, smętnie. W mieszkaniu cisza i mrok późnego popołudnia. Józef Piłsudski w złożonych ramkach na ścianie. To ojciec zajął się tym starym portretem. Rok przed śmiercią oprawił w ramki.

Jeszcze trochę posiedzę.



Noc, bezsenność, powrót do spaceru po Muranowie.

Może miał rację ten oficer z MSW. Było to pierwszego dnia wojny. Rankiem zawieźli mnie na Rakowiecką i tam toczyłem długi dialog, z młodym, inteligentnym pracownikiem resortu, ubranym po cywilnemu. Nie chciałem podpisać „lojalki”. Nie chciałem również napisać żadnego oświadczenia. Czułem się źle. Psychicznie przygotowany. Nie napierał szczególnie natrączywie. — Co mam z panem zrobić? — zapytał wreszcie. — Zwolnić albo internować — odpowiedziałem. Uśmiechnął się lekko. — Internować — powtórzył. — Chciałby pan! Niezła kompozycja biograficzna, co?

Może... Kryminalna młodość. Polityczna dojrzałość. Jedno i drugie spięte więzieniem. Kto to wie?

MOTORNICZY

Popsuł się tramwaj. Awaria w sieci elektrycznej. Za nim stanęły inne. Cały wąż tramwajów.

W pierwszym z nich staruszka prosi motorniczego:

— Niech pan będzie taki dobry i otworzy. Stąd mam dwa kroki do domu.

— Nie mogę — odpowiada motorniczy. — Tylko na przystanku.

Jeszcze prosiła. Powtarzał to samo. Koło motorniczego stał milicjant. Milczał.

Tramwaje wreszcie ruszyły. Na przystanku motorniczy otworzył drzwi. Staruszka wysiadła.

— Z pana służbista! — odezwał się milicjant — ho! ho!

— Jaki tam służbista! — odparł motorniczy. — Ale co ona sobie myśli! Tramwajem będzie pod sam dom podjeżdżać! Niech się przejdzie.

Młody człowiek, barczysty, o rumianej, szerokiej twarzy. Tylko usta cięciem noża przecinały twarz. Żadnych warg — kreska.



Na fotelu u fryzjera rozpoznał mnie następny w kolejce klient, pułkownik.

W lustrze dostrzegłem kilka razy czyjeś oczy wpatrzone w odbicie mojej twarzy; ten intensywny wyraz oczu, kogoś sobie przypominających.

Zajął moje miejsce i zapytał fryzjera:

— To ten Nowakowski... pisarz... — Po pauzie dodał: — Solidarnościowiec, tak?

Fryzjer potwierdził.

Pułkownik pracuje w GZP. Może tam w GZP nie tylko rozpracowują wroga, ale i czytają po ludzku? Niektórzy po cichu aprobują?

WAMPIR

Grzesiek zna życie jak mało kto. Umie załatwiać rozmaite sprawy. A jednak stanął przed murem. Telefon. Załatwienie sobie telefonu. W nowych osiedlach rzecz najtrudniejsza. Mózgownie szukał dojścia. Aż znalazł. Trafił jednak na lepszego od siebie „życiowca”. Odbił już pięć wizyt. Za każdym razem przynosił hojne dary. Obiecał nawet tamtemu dożywotnie podroby i garmazerkę przedniej jakości. Pracuje w branży mięsnej,

potrafi się więc odwdziżyć za przysługę. Ale tamtemu wciąż mało. Grzesiek jest również bibliofilem. I tak kolejnym razem, wypakowując podroby i inne smaczne prezenty, wyrzucił przez niezręczność nabyte ostatnio książki. Dwa cenne dzieła o dziejach polskiego oręża. Jedno wydane na emigracji, drugie zaś przed wojną w kraju. Wpływowa persona i te książki zaanektowała. Cynicznie oświadczyła, że też zajmuje się kolekcjonowaniem literatury i chap! Nie ma książek. A telefonu też jak nie ma, tak nie ma. Szósta wizyta i nowe piętrzą się przeszkody.

— Nienasycony bydlak! — mówi Grzesiek i zgrzyta zębami.



Jola podejrzewa, że podczas rewizji założyli jakieś wyrafinowane podsłuchy. Spogląda na wywietrznik, myszkuje okiem po kątach. Martwią ją też mansardowe okna domu naprzeciw. Słyszała od jakiegoś inżyniera o podsłuchu kierunkowym, jak to nazwał. Mimowoli zaczyna mówić szeptem.

Jestem w tej kwestii sceptyczny. Jola jednak nie ustępuje.

Wczoraj odwiedzili mnie dwaj młodzi ludzie. Ale nie chcieli nic mówić, przekonani, że w mieszkaniu założony jest podsłuch. Wobec powyższego udaliśmy się na spacer do pobliskiego parku.



Ile to razy przywalony tą ohydą, bezsilnością i udręką, tą całą szarpaniną ślepego konia w wiecznym zaprzegu, sięgałem po kielicha! I przeważnie ręka zatrzymywała się jednak. W tym ułamku sekundy ujawniały się nicość i bezsens tego sposobu na życie. Upojenie, które da euforię i pozorną siłę wyzwolenia. Potem zerwany film pamięci i wreszcie ta tortura kaca, sterane organy jęczeć i zgrzytać zaczynają, serce, wątroba, żołądek, popękany czerep głowy. I te dni leczenia, lizania ran, wyrzutów sumienia. Ręka cofała się ostatecznie. Trzeba szukać innych sposobów. Gdzie się podziały te proste rozwiązania?

TRZECH

Zwierzył się znajomy oficer MO pracujący w służbie kryminalnej. Byli na tropie grubszej afery i zrobili przeszkukanie u podejrzanego o paserstwo handlarki z Hali Mirowskiej. W tym

ubogim, byle jak umeblowanym mieszkaniu w starym budownictwie, gdzie wychodek znajduje się na schodach, wyciągnęli spod łóżka walizkę, nawet nie skórzaną, tylko z dermy czy innego tworzywa, i w jej wnętrzu pod szmatami znajdowała się w banknotach różnej wielkości suma pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Oczy im dęba stanęły. Wykładali i wykładali na stół te pliki zielonego papieru, zniszczonego i nowiutkiego, poprzecieranego i szeleszczącego, najwyraźniej gromadzonego przez lata.

— No i co? — zapytałem cynicznie. — Nie doszłiscie jakoś do porozumienia?

Oficer MO, człowiek życiowy, o twarzy wytartej, pomarszczonej i oczach nie wyrażających nigdy zdziwienia, rozłożył wymownie ręce.

— Proponowała — przyznał. — Ale było nas trzech.

Zrozumiałem i pokiwałem głową.

Zresztą oficer wyjaśnił jeszcze pewien policyjny zabieg. Oni, ci trzech, składają odrębne oświadczenia o dokonanych przeszukaniach. W wypadku dużej sumy pieniędzy te oświadczenia są bardzo szczegółowe i powtarzane kilka razy. Wszelkie rozbieżności wyławiane są nader czujnie. We dwóch można się i umówić, i dochować wierności umowie. W przypadku trzech osób występuje zawsze możliwość pewnej niezgodności, nawet minimalnej. To starczy. Od czego są fachowcy? Rozszerzą tę maleńką szczelinę i dojdą do sedna sprawy.

Przeliczyli więc co do joty dolary, sporządzili protokół w obecności świadka, czyli ciecia, i powieźli łup wraz z handlarką do komendy.



Z. jest osobą przystojną i samotną. Jej samotność wypatrzył lokator z piętra niżej. Na schodach i w windzie rozpoczął zaloty. — Pani sąsiadeczko... — i tak w tym stylu. Coraz bardziej natrętnie molestował. Prymityw, w dodatku odrażający. Też samotny. Próbował wpakować się jej do mieszkania. Z butelką wina owocowego Splendor. I z łapami do obściskiwania i macania. Z. pokonała wrodzoną delikatność i przepędziła intruza nie szczędząc mu przykrych słów. Odtąd stał się jej wrogiem. Nieławistne spojrzenia, wulgarne podgadywania. Na tym nie poprzestał. Zaczepił dozorcę i z pasją: — Tam u niej ciągle łup, łup! Rozumie pan? Jakby coś... — nie dokończył. Dozorca opowiedział o tym Z. Pocziwiec nie zrozumiał sensu donosu i myślał zupełnie coś innego. Po kilku dniach do Z. zapukał

lokator przez ścianę. Od niedawna tu zamieszkały. Młody człowiek, brodaty.

— Ja bardzo panią przepraszam — mówi — ale ten z dołu rozpowiada... — zająknął się — u pani jakieś hałasy... ja osobiście tego wcale nie słyszę... ale on tak twierdzi i mówi, że zawiadomi kogo trzeba...

— Nie rozumiem — Z. na to.

Poczerwieniał.

— No, po prostu, jeżeli jest u pani jakiś powielacz czy coś, to koniecznie niech pani to wyniesie!

Z. zrobiła oczy pełne zdziwienia. Młody, brodaty sąsiad jeszcze bardziej poczerwieniał i poszedł sobie.

Co uczyniła Z., tego nie wiemy. Również nie pytamy jej o to.



Przyszła staruszka do sklepu i pragnie przymierzyć buty.

— Przecież te wczoraj już pani przymierzała — mówi sprzedawczyni.

— Nie te, tylko tamte — odpowiada staruszka.

— Te!

— Tamte!

— Te! — I nie dała jej przymierzyć. Inni kupujący milczeli. Staruszka odeszła z niczym.

Obuwie nabywa się na talony. Talony wydawane są w miejscu pracy lub w innych uprawnionych do tego urzędach. Ważne w ściśle określonym czasie.

TESKNOTA ZA PROSTYM ROZWIĄZANIEM

Jednak ta łapa wieloletnim odruchem powodowana sięgnęła do kielicha. Napiłem się gorzały. Zaczęło mnie roznosić. Pewien znajomy zaprosił do Victorii.

Ta Victoria to orchidea na bagnie. Zgnilizna pokryta cudzoziemskim lakierem. Bezczelne twarze portierów-funkcjonariuszy, taksówkarze w mafijnym związku z prostytutkami, wszyscy razem na usługach zapewne. Victoria jak oaza: wokół kolejk pod sklepami, biedni zapędzeni ludzie, patrol, rewizja, a tu klimatyzacja, błogość, Zachód, Intercontinental Hotel!

To musi podzielać. Jeszcze wyjedzona twarz barmana, jego

świdrujące oczy! Wódka zaczęła być nitrogliceryną. Lont już podchodził do góry. Zielony bar, morskiego koloru kafelki, cudzoziemski szwargot, upierścienieni Arabowie, barman grzechocze lodem w mikserze, gotuje jakiś wyszukany koktajl. Coraz gorzej.

W pewnym momencie ten barman lekceważąco mnie potraktował albo tak mi się zdawało.

— Ty tajny gliniarzu! — wybuchnąłem. I już poleciało strugą obelg.

— Milicja! — zawołał barman i skierował się do hallu po siły porządkowe.

Już portierzy blokują drzwi.

I tylko dzięki zamożnemu przyjacielowi artystów rzecz cała zakończyła się pomyślnie. Opłacił portierów i wyskoczyliśmy z tego zamtuza.

DROGA DONIKĄD

Józefowi Mackiewiczowi

Przyszło parę dni zimy. Lepiej. W mieście jednak zima szybko ulega dewastacji. Sypią sól. Brudna szarość wyłazi spod śniegu. Pożera całą biel.

Jest takie miejsce schowane wśród lesistych pagórków i jezior. Tam zima jest zimą. Sypie śnieg. Jezioro zamarzło i tylko w ostatnich malejących oczkach wodnych gromadzą się chmurami dzikie kaczk. Na białej, siniejącej o zmierzchu płaszczyźnie pojawiła się czapla. Smukła i zwiewna jak japoński rysunek. Stoi na jednej nodze, która wydaje się delikatną kreską, a skrzydła jak strzępiasta mgiełka. Nierealny, baśniowy widok.

Trzeba palić w piecu. Huczą brzozy polana i choć za oknem zadymka, tutaj ciepło i bezpiecznie.

Na wsi rak nie jest tak widoczny jak w mieście. Praca regulowana porami roku, ten odwieczny porządek w zgodzie z naturą, przyroda jeszcze nie zatruta. Wszystko to pozwala uspokoić się i nabrać pogody ducha.

Z jeziora dobiega postukiwanie. To rybacy żelaznymi drągami wydziubują przeręble i łowią w nich okonie. Stukacze.

Z lasu jadą z drzewem. Mój gospodarz pomstuje na borsuki. Wykończyły mu myśliwskiego psa. Wpadł do borsuczej jamy i tam już pozostał. Smutek gospodarza powoli zabliznia się.

W obejściu uwija się drugi foksterier, sześciomiesięczny szczeniak i jest nadzieja, że wyrośnie na tak samo chwackiego jak poprzedni.

Ciemność i biel. Trzeszczy lód na jeziorze. Trzeszczy i stęka. Idzie na mróz.

Droga zanika między garbami wzgórz. Kikuty wierzb. Schovek. Chociaż... I tutaj jak mocniej poskrobać, to pod spokojną powłoką kryje się pogmatwany ciąg dramatów, ludzkiego cierpienia i złej pamięci. Wystarczy porozmawiać z żeńską głową tej spokrewnionej ze sobą małej społeczności zamieszkującej wioskę, 87-letnią, bystrą jeszcze staruszką, zwaną przez wszystkich „Oni”.

Cały ten ród przyjechał z okolic Sokała, a więc z południa, odłączonego od nas po wojnie, gdzie gleba była żyzna, czarnoziemna i bezleśna równina — oto ich dawny pejzaż. Wojna rozpętała tam krwawe konflikty narodowościowe, ludzie dotąd żyjący w przyjaznym zespoleńiu zaczęli się rżnąć nawzajem. Sąsiad nie był pewny sąsiada. Nawet krewniak krewniaka, gdyż jeden mógł się poczuć Ukraińcem, a drugi Polakiem. Płonefy chałupy. Ginełi ludzie. Po wojnie krwawa kipiela trwała nadal i cały ten klan został wysiedlony na zachód. Wozami z naprędcę załadowanym dobytkiem ruszyli w nieznane. Tutaj ich osadzono.

„Oni” opowiada o pierwszych, pionierskich latach; o tęsknocie za rodzimą wioską; o tych „Niemcach”, jak mówi, którzy tutaj mieszkali i mówili po polsku; o ubowcach, którzy ich nachodzili nocami, nazywając ukraińską, czarnopodniebienną swołoczą, tak że nocami czuwalni na zmianę ostrzegając o zbliżaniu się gnębicieli.

Również jej zięć, pan Włodzimierz, wspomina swoje lata w więzieniu, siedem długich lat, na początku z wyrokiem dożywotnim, potem z piętnastką, spędzonych we Wronkach, Strzelcach Opolskich itd. Mówi o izolatkach, gdzie krnąbrnych więźniów katowano i polewano lodowatą wodą; mówi o sadystach strażników; o skazanych na śmierć, których rozpaczliwe wycie dobiegało z miejsca kaźni.

Zachodzi tu czasem gajowy czy, jak się mówi obecnie, podleśniczy z pobliskiej wsi, ostatnio częste jego wizyty z okazji pośrednictwa w poszukiwaniu dubeltówki dla mojego gospodarza. Celebrowany po tasiecowemu chłopski obrządek transakcji, pijemy wtedy księżycówkę i przechodzimy do tematyki współczesnej. Gajowy, chłop zwalisty i wąsaty, był podczas stanu wojennego dwukrotnie powoływany do ROMO. Pan Włodzimierz na uboczu informuje szeptem, że gajowy jest nieco spapra-

ny przez życie, był strażnikiem więziennym, milicjantem, nim został gajowym; jednak życzliwy z niego człowiek i obrotny. Gajowy służbę w ROMO odbywał na wybrzeżu. Opowiada o tłumie demonstrantów, który szarżował na nich, bezbronnych romowców (nie dawali im ostrej amunicji), widzieli nienawiść w oczach tłumu, rósł w nich strach. — Co my winni — przeżywa tamte wydarzenia gajowy. — Powołali do służby i koniec! — Mówi, jak otoczyli ich i podpalili autobus. Kilku z nich obdarli z mundurów i tłukli. — Wtedy bym strzelał! — powiada zawzięcie. Cały jego żal do tłumu polega na tym, że oni to przecież ROMO, a nie ZOMO, i w dodatku nie mieli broni.

— Przecież ludzie nie rozróżniali — wtrącam — ROMO czy ZOMO!

— No tak — przyznaje niechętnie.

Mówi o nocnych patrolach i niepokoju, co ich oblażył zewsząd. O staruszkach, które wychylały się z okien i lżyły ich najgorszymi słowami. Nagle rozjaśnia się i wspomina, jak to kiedyś podczas nocnego patrolu zostali zaproszeni do mieszkania i całą noc spędzili w gościnie pijąc wódkę.

Tyle tych poplątanych wątków.

Moi gospodarze tak mocno zmaglowani powojennymi losami nie ulegają już żadnym uniesieniom i tylko gospodarka im w głowie, a największym dla nich dramatem jest ucieczka dzieci z ojcowizny.

Potem wpada jeszcze ktoś z końca wsi w sprawie kupna świniaka. I znów ta chłopska, meandryczna rozmowa, wprawie o kurach, ile zżerają, jak się niosą, o psach, dobre czy złe, o cenach na spędzie bydła, nim wreszcie dochodzi po godzinie do sedna, czyli do świniaka.

Za oknem zima. Poszczekuje pies. Huczy ogień w piecu. Stęka lód na jeziorze. Na końcu świata. Bezpiecznie i cicho. A jednak...

Często tutaj rozmyślam o *Drodze donikąd* Józefa Mackiewicza. Tam bohater uchodził przed zagładą coraz głębiej w puszczańskij kraj, krył się w wioskach pośród lasu i bagien. Nie uciekł.



Zachrzękał. Wydmuchnął ze szklanej lufki niedopałek. Wstał. Wyszedłem za nim z chałupy. Zatrzymaliśmy się w uchylonych drzwiach stajni. Pokazał podrastającą kobyłkę. Martwił się o jej spuchniętą w kolanie nogę, kopnęła ją stara kobyła czy co. Zaczął widłami zbierać gnój. Potem podścielił koniom suchej

słomy. Czekałem. Tutaj panuje nieśpieszny rytm. Wsparł się o widły. Zapaliliśmy.

Dopiero wtedy powiedział. Słyszał w zagranicznym radio o rewizji w moim mieszkaniu. Niedokładnie, bo zagłuszali. Zmarł się. Tak powiedział.

— To nic groźnego — wyjaśniłem. — Ja tylko piszę. I będę pisał — dodałem po chwili.

Pokiwał głową. Kiedy był młody, też się niczego nie obawiał. Tak się wyraził. I jak zwykle zaczął opowiadać o więzieniu. Opowieść-koszmar. W tym rozwlekłym, pełnym dygresji mówieniu piętrzyła się ludzka męka ponad wytrzymałość. Wyroki wykonywali byle jak. Dużo tych wyroków. U nich pod całą dzięsięciu takich, co czekało. W drodze na spacerniak czy gdzieś dopadał ich strażnik-kat, zarzucał linę jak łąso i ciągnął takiego na stracenie... A że mówił zawile, to nie wiem, czy chodziło o niego czy o kogoś innego. Zarzucił tę linę kat przez pomyłkę człowiekowi bez wyroku śmierci. Tamten w odruchu walki o życie kopnął go w podbrzusze. Kat padł jak ścięty. Więzień dostał bity i miesiąc karcza za pobicie strażnika. Ale żył. Bo nim by się pomyłka wyjaśniła... I jeszcze mówił o jakimś więźniu hardym i nieprzejednanym, co siedział w łagrach Kołymy, Magadanu, a nawet zawadził o krąg polarny — przebywał na wyspie zwanej Ziemią Franciszka Józefa.

Tak toczyła się ta rozmowa na progu stajni. Pan Włodzimierz palił skrzętnie w szklanej lufce i opowiadał. Przeszedł do spraw bieżących. W maju wesele córki.

Zajrzeliśmy do chlewu. Wskazał świnię na tę uroczystość przeznaczoną.

Niewysoki, plecy masywne, jeszcze sto kilo dźwigają te plecy. Wszystko przetrzymał.

Wieczorem Janusz Sz., stary więzień stanu, weteran jeszcze z czasów Gomułki, oczywiście internowany i to do ostatniej łaski generalskiej. Od drzwi pełen optymizmu.

— To długo nie potrwa! Nie może! Mówię wam. Te podwyżki, nędza... Ta prymitywna propaganda! Prole... — (ulubiona jego terminologia: prole — robotnicy, pejzany — chłopci, gęgacze — inteligencja opozycyjna, chule — chuligani, mile — milicjanci) — prole tego nie wytrzymają! Runą!

— Ale jak? — pytanie Joli.

Janusz Sz. z tego optymizmu w dół na łeb na szyję:

— No tak. Jak? Osaczeni, zmilitaryzowani, spacyfikowani... Nie mogą ruszyć.

Ciężka atmosfera w pokoju. Dym papierosów i brak nadziei.

W trakcie kolacji wraz ze smacznym pożywieniem (kulinarna biegłość Joli) następuje przypływ optymizmu. Janusz Sz. jest człowiekiem samotnym i jak każdy samotny przywiązuje dużą wagę do posiłku.

— Runą! Będą powstawać bojówki terrorystyczne, mówię wam! Oni się tego piekielnie boją. To ich zmusi do ustępstw.

Z boku racjonalny głos Joli:

— No ale skoro tak osaczeni, przyciśnięci, spacyfikowani?

— Kamikadze, desperacja... — coraz słabiej broni swej teorii wybuchu Janusz Sz.

Po kolacji sytość i odpływ inwencji. Janusz Sz. zwiesza głowę. Nagle ożywia się i jak sprężyna podskakuje na fotelu.

— Papież! — woła. — Oczywiście! Papież i ludzie! Sprężenie! Jedność! Nie dadzą rady z taką siłą!

— A jeżeli nie dopuszczą do pielgrzymki papieża? — Jola jako rzecznik sceptycyzmu znów wtrąca swoje trzy grosze.

I tak kotłujemy się do późnej nocy. Raz góra. Raz dół.

Naprzeciw mojego okna doskonale widoczny budynek z rzędem piwnicznych okienek ponad chodnikiem. Kilka z nich otwartych. I teraz, o tej późnej, wieczornej godzinie, ruszyła w obchód karmicielka kotów. Kobieta chuda i lekko zgarbiona; dźwiga pokaźną torbę. Co otwarte okienko, to przystaje i wyciąga z torby odpowiednią porcję i wsuwa tam do ciemnego wnętrza. Chyba ma też mleko w puszkach. Wstawia tam. Obeszła wszystkie otwarte okienka, wsuwając do wnętrza pożywienie dla bezdomnych, piwnicznych kotów. Zniknęła za węglem domu. Po chwili z ostatniego okienka wynurzył się piwnicznik i szorując brzuchem po chodniku podążył w swój koci obchód kryjąc się pod zaparkowanymi samochodami.

B E N E K

Po półrocznej nieobecności pokazał się Benek.

— Mam pół-żonę — powiedział.

Z Benkiem lat temu trzydzieści jeździliśmy kolejką EKD na

podbój miasta. Benek jest również tytułem drugiej mojej książki. Wiele mu zawdzięczam. Przede wszystkim bogactwo niezwykłych słów i powiedzeń, które powoduje, że zanikający czasem sens pisania, po rozmowie z nim, odżywa jak wyschnięta ziemia, wzbogacona nagle deszczem. Patrzę wtedy z ochotą na białą kartkę papieru.

Benek tym razem krzepki, ogolony, i po raz pierwszy od lat rozporek w spodniach ma bez zarzutu. Zwykle, jako kawaler, spinał popsuty suwak agraftką i wyglądało to groteskowo. Pierwszy dowód obecności „pół-żony” w jego życiu.

— Ona jest kobietą z przeżyciem — mówi. — Ja też jestem z przeżyciem. Na razie to pasuje.

Charakteryzuje ją pod względem utylitarnym Miła i cwana, zna się na różnych sprawach. Ale poza tymi słowami czuje się również coś więcej.

Jola zapytuje go, kiedy odbędzie się ślub.

— Próbuje się — odpowiada Benek.

Urodzona w 1937. Rodowita warszawianka. Istotny atut dla Benka, warszawianka z dziada pradziada. Jej rodzice zginęli w wojnę i przygarnął ją rzeźnik z ulicy Twardej. Posłał do szkoły, traktował jak córkę. Umarł w latach pięćdziesiątych. Pięć lat pracowała jako „kościelna” u Żydów w bóżnicy na Twardej. Zna się na ich obrzędach, umie trochę po hebrajsku i w jidisz. Biegła w historiach biblijnych, tych dziejach Abrahama, Jakuba, Józefa i innych.

— Aż do Mojżesza — mówi Benek. — Nowego Testamentu oni nie uznają.

Tam na Twardej był pokój gościnny dla Żydów z Rosji. Wtedy oni przyjeżdżali. Stolarz robił im skrzynie na bagaż, ona pomagała pakować, i wyjeżdżali do Izraela albo dalej. Z kolei pracowała w zakładach mięsnych na Służewcu. Wybuchła tam wielka afera i dostała pięć lat. Siedziała w Fordonie.

— Poznała te baby pod celą — mówi Benek. — Te różne złodziejki, córki Kuryntu, lizbijstwo, terror... Gorzej niż w męskim więzieniu.

Więc oboje z „przeżyciem”. Benek — 50 lat, ona — 46.

Już znać jej wpływ. Ten rozporek. Brak zakąskowych płam na klapach. Benek od kilku miesięcy na alkoholowe talony kupuje kawę.

— Ona ma niskie ciśnienie i musi pić kawę.

Wódkę przestał pić z dwóch powodów. Po pierwsze taki mu postawiła warunek, a po drugie wódka jest za droga i nie będzie napędzał pieniędzy do państwowej kabzy.

Pracuje jak dawniej u tego eks-majora, właściciela kwaciarni na placu. Major trochę mniej pewny. Władza dobiera się do tyłka prywaciarzom. Swoje szklarnie przepisał na zięcia. Już spać spokojnie nie może. Boi się, żeby zięć go nie przerobił. Benek nie życzy pomyślności bogatym ludziom w naszym ustroju.

Oboje z „pół-żoną” wpadli na pomysł zaferowania Żydom na Twardej kwiatowych usług z okazji rocznicy powstania w getcie. Należy się przecież spodziewać przyjazdu zagranicznych delegacji. Benek zajmie się przygotowaniem bukietów i wieńców. Ona — sprzedają.

Nowy rozdział w życiu Benka. Samotnik, wydawało się, że już ostatecznie. A tu nagle — „pół-żona”, a jak rzecz się rozwinię pomyślnie, to może zostanie i całą!

U DOMINIKANÓW

W klasztorze jest ich tylko siedmiu. Sześciu ojców i jeden brat.

Pokój gościnny — niewielki i przytulny. Umywalka, szafa, stół, nocna lampka. Na stole taca z przygotowaną kolacją. Przewidzieli późny i głodny przyjazd. Przy łóżku głośnik, który początkowo skojarzył mi się z radioodbiornikiem typu „kołchoznik”. Dawniej z takiego radia buchały nieustannie pieśni traktorzystów, żołnierzy i przodowników pracy, przeplatane ludowymi śpiewkami. Wczesnym rankiem z głośnika obudziła mnie msza święta, celebrowana w kościele dominikanów pod wezwaniem św. Mikołaja. Mogłem przekręcić gałkę wyłącznika. Jednak nie zrobiłem tego i słuchałem. Odbiór, niezwykle bliski i czysty, sprawiał wrażenie uczestnictwa w obrzędzie. Nawet kaszel bardzo wyraźny. W kościele dużo przeziębionych. Grypowa pora. Za oknem szaro, siąpi deszcz. Głos zakonnika odprawiającego nabożeństwo przypomina brzmieniem głos ojca S., który witał mnie wieczorem. Czyta fragment z Biblii, jak to Mojżesz pasąc owce swego teścia Jetry, kapłana nomadów, zbliżył się do podnóża góry Choreb, zobaczył płonący krzak i usłyszał głos Pana. Teraz śpiew. Starczy, nieco barani głos wyśpiewuje z przyspieszeniem słowa. Przyspieszenie polega na zjadaniu środka lub końcówek. „Jezu, nie jestem godzien być w sercu Twym, o szczęście niepojęte...”.

I tak słuchałem.

Następna msza z udziałem chóru dziewcząt i chłopców, przy akompaniamencie gitary. Melodyjny, dziewczęcy głos czyta fragment z powieści Romana Brandstaettera *Jezus z Nazarethu*. Mój klasztorny pokój wypełnia śpiew młodzieży. Przyjemne głosy dziewcząt i chłopców wyśpiewują: „Pan jest łaskawy, pełen miłosierdzia. Błogosław, duszo moja, Pana. On odpuszcza wszystkie twoje winy i leczy wszystkie twoje choroby. Dzieła Pana są sprawiedliwe. Drogi swoje objawił Mojżeszowi...”. I refren: „Pan jest łaskawy, pełen miłosierdzia”.

Komunikat z Konferencji Episkopatu. Znow śpiew: „O, Panie, Ty nam dajesz ciało swe i krew. Do Ciebie więc idziemy. Tyś nam wyznaczył drogę wiodącą na Twój szlak”. Jest w tym śpiewie żarliwość. Czułem przenikające, sugestywne brzmienie słów. Na koniec tej mszy komunikaty duszpasterskie: „Noc refleksji dla młodzieży z piątku na sobotę o godzinie 18.00; wieczorem Gorzkie Żale z kazaniem pasyjnym” itp.

Spędziłem w klasztorze trzy noce i dwa dni. Posiłki jadłem w refektarzu. Czasem momenty kłopotliwe. Zakonnicy odmawiali modlitwę przed posiłkiem i po jego zakończeniu. Co miałem zrobić? Nie brałem w tym udziału i siedziałem z oczyma wbitymi w talerz. Kiedy tak recytowali słowa modlitwy na tę okazję przeznaczoną śpiesząc się do swych zajęć, sprawiali wrażenie obecnych myślami gdzie indziej.

Ojcowie cisi, dyskretni. Nie ciążyła ich obecność. Zresztą zabiegani, mnóstwo zajęć. Pomoc charytatywna, paczki, katecheza młodzieży, zespół muzyczny, odczyty, biblioteka, działalność klubu. Dużo ludzi ciągnie teraz do kościoła, na przykład inteligencja zmaglowana przez stan wojenny zbiera się na cotygodniowych konwetyklach w klasztorze. Tak więc ojcowie cały dzień w pracowitym ruchu. A wieczorem w swoich celach też pracują. Słychać stukot maszyn do pisania. Dwóch pisze doktoraty. Trzeci zajmuje się publicystyką dla pism katolickich. W zachowaniu są swobodni, nie cisną swoją zakonną świątobliwością, niektórzy palą papierosy, nawet w refektarzu są popielniczki. Chodzą w swetrach i dżinsach, żeby nagle się przeistoczyć, przywdziewając białe habity opasane czarnymi sznurami.

Ojciec S., z którym jestem najbliższy, to 36-letni mężczyzna o postawie trenera; jasna, szeroka twarz i pogodne nieco kpiarskie oczy.

Ojciec przeor — wysoki, przystojny, srebrne włosy i szara, pobrużdżona twarz. Coś ma z żóładkiem. Czasem idzie do swej celi i zwija się z bólu. Ale nie powie o tym ani słowa. Martwią się inni ojcowie o jego stan zdrowia.

Wreszcie brat Antoni, zwany przez innych Toniem — starzec o wielkich, spracowanych dłoniach. Furtian. 77 lat, a uwija się przy kościele niby młodzik. O czwartej rano już na nogach. Jest człowiekiem prostej i żarliwej wiary.

— Brat Tonio — kpi niczym wolterianin ojciec S. — miewa widzenia. Święty człowiek!

Wieczór. Patrę w okno. Pada deszcz. Klasztorne podwórce. Przemykają się koty. Klasztor sąsiaduje z halą targową i tędy przebiega koci szlak. Czarne mury kościoła. Ogromna twierdza. Najstarszy kościół w mieście. Podczas działań wojennych wyjątkowo nie uległ zniszczeniu. Za ścianą stukot maszyny do pisania. To któryś z ojców. Zapewne pisze pracę doktorską. Jeszcze na schodach spotkanie z bratem Antonim. Pogawędka. Siedzimy w refektarzu. Brat Antoni opowiada o swoich dwóch zawałach serca. Po drugim już nie dawali mu szans. Doktor wyszedł. Zostawił go samego. A on czuł, że każda sekunda jest ostatnią sekundą. Przejrzysta jasność nawiedziła jego umysł. Koniec. Dlaczego ojciec Florian nie udzielił mu absencji i nie namaścił świętymi olejkami? Wyzdrowiał. To znaczy ojciec Florian był o tym przekonany i dlatego nie chciał go namaścić. Tak rozważa brat Antoni.

— Z tego wynika, że brat jest wielkim grzesznikiem — mówi ojciec S., który się do nas przysiadł. — Bóg nie chciał jeszcze przyjąć. — Opowiada, jak to brata Tonia odwiedzili jego młodzi krewniacy ze Śląska. — Baterię wody przynieśli ze sobą — mówi — i spili się jak baki. On chce z nimi rozmawiać o sprawach świętych, a oni tylko bełkoczą i oczy w ślup... — Brat Antoni pobiegł wtedy wzburzony do przeora i zawołał: „Ojcie przeorze, szatan w nich wstąpił! Trzeba dzwonić po milicję!” — Dlaczego nie po egzorcystę? — śmieje się ojciec S. — Tylko po milicję właśnie? Świeckie myślenie.

Brat Tonio, człowiek prosty i dobry, też się śmieje razem z nami.

Noc. Myślę o swym stosunku do religii, Boga, wieczności. Praktyki religijne są dla mnie obojętne. Teksty religijne również. Biblia z rzadka bywała moją lekturą. Myślę o tym, co na temat religii i wiary mówił Zygmunt, niegłupi obywatel z mojego przedmieścia: — Bóg, wiara... czy to możliwe po tej wojnie, po tym Hitlerze, Stalinie... po tylu milionach pomordowanych, zamęczonych ludzi? Wtedy Zygmunt, kpiarz i cynik, był zupełnie poważny. — Czy to nie ludzie sobie wymyślili, żeby łatwiej im się żyło? — A reasumował Zygmunt (małe przekrwiecone

oczy, miedziana twarz, lekko ochrypły głos) przypowieścią o butach swego teścia, które jako jedyne pozostały w trwałym stanie, gdy na prośbę swojej żony zajął się po wojnie ekshumacją zwłok jej rodziców. — Dawniej to byli szewcy — powiedział Zygmunt-ateusz — robili buty nieśmiertelne.

Nie wiem. Nie obstaję przy sceptycznym poglądzie Zygmunta.

Rankiem znów obudziły mnie słowa modlitw i śpiew bogobojny z głośnia. Wstałem. Wychodzę i otwieram drzwi łączące klasztor z kościołem. Jestem na chórze. Stąd mogę obserwować z góry tych wszystkich wiernych siedzących na ławach, klęczących na kamiennej posadzce, wpatrzonych w ołtarz, obserwujących liturgiczne czynności księdza. Wokół strzeliste, surowe ściany, łukowe sklepienia. Poblýskuje złoto i purpura posągów i obrazów.

Nie wiem. Z latami coraz częściej wracam do tego pytania. Wiara czy niewiara? Myślę o swoim ojcu. Był człowiekiem wierzącym. Regularnie, co niedziela, uczestniczył w mszy. Lubił ceremonie religijne. Zwiedzał z upodobaniem stare i nowe kościoły Warszawy. Raz nawet, gdy pod którymś z kościołów oczekiwano na biskupa i zabrakło godnego starca do trzymania świecy czy czegoś, mistrz ceremonii wyłowił spośród tłumu wiernych właśnie ojca. Ubrali go w komżę, wręczyli długą świecę i witali biskupa. Śmiejąc się, chętnie o tym opowiadał. Jaki był jego stosunek do wiary? Chyba ziemski. Pomagała mu żyć. Nie stawiał sobie komplikujących pytań. Nieśmiertelność duszy, wiekuista droga... — nigdy o tym nie mówił. A gdy w podeszłym wieku zapadł raz na groźne zapalenie płuc i choroba nie chciała ustąpić, wtedy... jakby się już gotował, ale milcząc. Nie jęczał, nie stękał (a zawsze przy cięższych chorobach lubił to pojękiwanie), oczy miał skupione i surowe. Odwrócił się do ściany i nie chciał z nami rozmawiać. Tak, wtedy gotował się do odejścia. Lubił życie. Często się śmiał i do końca ciekaw był wszelkich objawów ziemskiego bytowania. Lubił ludzi. Interweniował w sporach i kłótniach. Dobroduszny i pogodny, nawet śmieszny, potrafił jednak rozładować wiele złego napięcia między ludźmi. Znakiem boskiej obecności było dla mnie jego długie życie. Dopóki żył, wszystko wydawało mi się jeszcze przede mną otwarte, mimo że traktowałem go lekko i pobłażliwie. W tym przedśmionku więcej było światła. Po jego śmierci pociemniało. Obszar mojego czasu skurczył się znacznie. I większa pustka niż dotychczas.

Południe. Wybuch wiosny. Spacer nad Wisłą.

— Chciałbym, żeby rzeka na chwilę wyschła! — mówi z impetem chłopiec najwyżej ośmioletni do starszej nieco dziewczyny. Patrzy w ciemną, brudną wodę.

Z latami człowiek boi się sedna rzeczy. Nie chce tam dotrzeć.

Wystawiamy twarze do słońca. Cholernie zmęczeni tą zimą, wszystkim.



Na pogrzeb ciotki. Polonez MPT, kierowca tęgi, siwy, o czerwonej twarzy, w grubym golfie. Przed przejściem dla pieszych zatrzymał raptownie samochód. Na jezdnię wchodził niewidomy chłopak z białą laską. Kierowca popatrzył za idącym ostrożnie chłopcem, który postukiwał laską wytyczając sobie drogę w ciemności.

— Moja siostra straciła wzrok w siedemnastym roku życia — głos miał zakatarzony. — Znam te sprawy.

Opowieść o siostrze trwała do mostu. Oślepla i medycyna nic nie mogła jej pomóc. Operacje oczu, mózgu. Tylko zeszpecili jej twarz. Wysłano ją do zakładu dla ociemniałych w B. Tam nauczono ją czytania i pisania alfabetem Braille'a. Zdobyła zawód. Tam założyła rodzinę. Mąż też niewidomy. Oboje z mężem mają psa-przewodnika. Urodziła dziecko, ono widzi.

— Stań! — powiedziała kierowca.

Odwiedza ją czasem. Ale odniósł wrażenie (nie tylko on, wszyscy z rodziny), że niezbyt dobrze działają na nią te wizyty. Cała rodzina widzi, ona jedynie niewidoma. Boleśnie odczuwa tę różnicę. Toteż najlepiej czuje się wśród swoich, w kręgu ludzi niewidzących.

Zwolnił.

— Myślałem, że radiowóz za nami — wyjaśnił. — Oni teraz sobie liczą za przekroczenie szybkości!

Jechaliśmy przez nowe Bródno. Wielkie, nieotynkowane bloki. Wśród nich enklawa starego budownictwa. Dwupiętrowe domy z czerwonej i żółtej cegły, charakterystyczny typ budownictwa wojskowego z zaboru rosyjskiego.

— Pewnie carskie koszary — zauważyłem. — Stali tu jacyś huzarzy, lejbgwardia, kozacy czy coś podobnego...

— Carskie — przytaknął kierowca i przesunął niechętnym spojrzaniem po tych starych, solidnych budynkach. — I co z tego, że stare? — powiedział nagle. — Wszystko jest takie samo. — Popatrzył krótko w lusterko spotykając się z moim spojrzeniem.

— Car, Lenin, Stalin, Breżniew — wyliczył jednym tchem — czy nie tacy sami?

— Właśnie! — ożywiłem się nieco. — Tyle lat trwa to ciśnienie, tyle pokoleń miażdżonych przez tę przemoc... Twardy ten nasz naród! Nie dał się pochłonać. Inni dawno by już nie oddychali.

— Niby prawda — mruknął kierowca. Myślał nad czymś bardzo intensywnie i znów zwolnił tempo jazdy. — Po mojemu — odezwał się — to wcale tak dobrze nie jest. Za dużo w tym naszym narodzie zdrady. No bo weź pan to zjawisko pod lupę od czasów najdawniejszych. Ciągłe zdrajcy!

Podjechaliśmy pod cmentarz.

— Ile płacę? — pytam.

A on dalej:

— Jakby tych zdrajców nie było tyłu, to lepiej byśmy stali. Ile ludności liczy Finlandia? No? Pięć, siedem milionów, nie więcej. Też graniczy, nie? Też dawniej była pod Rosją. A oni jak sobie żyją! A kto to jest generał Jaruzelski? — zadał retoryczne pytanie.

Zapłaciłem za kurs. Nie chciał napiwku.

— Z panem dobrze się rozmawiało — powiedział. — Jeszcze bym pogadał. Ale rozumiem — wskazał na cmentarny mur.

Pod drewnianym kościółkiem już byli zebrani uczestnicy obrzędu pogrzebowego. Moja zapłakana matka. Ciotki. Wiece, wiązanki. Czarne stroje, czarne woalki. Wielu krewnych, kuzynów, których widuje się tylko z okazji takich smutnych uroczystości. Jeszcze czekamy. Jeszcze trwa nabożeństwo żałobne za spokój innej duszy.

Na uboczu stoi krępy mężczyzna w wytartej jesionce staromodnego kroju i pilśniowym kapeluszu na głowie. Przesuwa wzrokiem po zebranych. Spojrzenie uważne, sondujące. Zapalam papierosa. Podchodzi do mnie i uchyla kapelusza. Twarz ma szarą, dziobatą, dobra pięćdziesiątka.

— Bardzo pana przepraszam — zaczyna — czy to będzie pogrzeb... — wymienia nazwisko mojej zmarłej ciotki.

Przytakuję.

— Podpisał syn — mówi.

Kiwam głową.

— Bardzo przepraszam, a jakie imię ma syn? — dopytuje się dalej, ale nie natarczywie, cichym głosem.

Odpowiadam.

Zmarł się wyraźnie. Miał przyjaciela o tym samym nazwisku. Razem brali udział w Powstaniu. Po wojnie przyjaciel

został uwięziony. On też miał rozmaite perypetie. Tak powiedział. Perypetie. Zagubili się z przyjacielem. Później dopytywał się, szukał, pisał. Trwało to latami. Nie odszukał go dotąd. I wyczytał ten nekrolog w gazecie. Nazwisko, imię, wiek nieboszczki — to zgadzało się całkowicie. Tylko inne imię syna. Jest zawiedziony. Ale cierpliwy. Przeprasza. Grzecznie uchyla pilśniowego kapelusza. Odchodzi.



Z powodu kota wielokrotne wizyty w lecznicy dla zwierząt. Tam osobliwy świat zwierząt i ludzi. Mocno ze sobą związanych i czułych.

Oto siedzi w kącie mężczyzna po pięćdziesiątce, typowy przedmiejski swojak, w cyklistówce, zarosnięty. Trzyma troskliwie owiniętego w szmaty szczeniaka ze złamaną łapą.

— Kurwa jego mać — powtarza z upodobaniem — jak to grzecznie siedział na rentgenie... kurwa jego mać!

Zionie od niego smrodem denaturatu i innych tanich napojów alkoholowych. Smród wypełnia poczekalnię. Trzeba otwierać drzwi.

Jest pani z posiwiąłem na pysku spanielem. Głodzi go czule. Patrzą sobie w oczy. Wyraz psich i ludzkich oczu. Wychodzi z gabinetu zabiegowego już bez psa. Płacze tak, jak się płacze po stracie kogoś najbliższego.

Dwoje w średnim wieku, biednie ubranych, z chorą piwniczną kotką w koszyku. Od dawna w swoim osiedlu karmią bezpańskie koty i psy.

Staruszka, która siedzi najdłużej, wypytuje tych dwoje, czym najlepiej karmić koty. Na kolanach trzyma pudło z małym, okrągłym otworem jak magiczne oko.

— Ostrobogiem — pada odpowiedź.

Podjeżdża Ford Grenada. Ona w karakułach, on w krótkim kożusku, wynoszą ogromnego psa collie. Tylne łapy sparaliżowane. Podtrzymują jego bezwładny tułów rzemieniem. Wprowadzają go do poczekalni. Trwa między nimi dyskusja. Uśpić go czy nie uśpić. Pies mimo kalectwa pogodny, wesoło merda ogonem. Oni bardzo niewyraźni. Ona pociąga nosem. On uśmiecha się głupkowato. Mówią o udręce opieki nad tym psem-kaleką. Robi pod siebie. Tylko pełza właściwie. Mówiąc o tym wszystkim oczekują opinii lub rady ludzi zebranych w poczekalni. Ludzie milczą. Od lekarza wychodzą z psem. Wnoszą go do samochodu.

Ponury mężczyzna tuli w ramionach psa-staruszka. Opowiada o jego kapryсах. Kiedyś niósł go pięć kilometrów. Pies okulał. I nagle zobaczył zabę. Całkiem żwawo pobiegł ją obszczekiwać. Ozdrowiał. Wyciąga z portfela zdjęcia swego psa z czasów młodości. Jego twarz łagodnieje. Zdjęcie przechodzi z rąk do rąk.

Na drzwiach po prawej stronie od wejścia do poczekalni wisi tabliczka: „Operacja trwa. Proszę nie wchodzić”. Przeciągły, jakby ludzki jęk stamtąd.



Rodzice J. poznali go przypadkiem podczas zakupów w sklepie spożywczym. Jego matka jest tam sprzątaczką. Chłopczyk asystował pani kasjerce przy obliczaniu należności za nabyte artykuły. Wywiązała się rozmowa. Zadziwił ich swoją rezerwowością i zaprosili malca do siebie.

Siedmioletni, piegowaty chudziak. Prowadzi z ojcem J. rzeczowe rozmowy o polityce. Bardzo szczegółowo wypytuje o skutki wojny nuklearnej. Poprosił matkę J., żeby powiedziała coś w obcych językach. Rozpoznał nieomylnie, że to po francusku, a to po włosku. Intuicja, słuch? Zapraǳnął się uczyć obcych języków. Wybrał angielski. Matka J. dała mu już kilka lekcji. Jeżeli tylko czuje się lepiej, od razu ma ochotę na lekcje z tym chłopczykiem. Pilny, przychodzi z kajetem, zapisuje słówka. Po trzech lekcjach wręczył jej pieniądze w kopercie. Bilon. Sześćdziesiąt złotych. Jego własne oszczędności.

— To należność za lekcje — powiedział.

Był bardzo zdziwiony, kiedy matka J. nie przyjęła pieniędzy.

— Jak to? Przecież nikt nie pracuje za darmo! Każdy dostaje wynagrodzenie za swoją pracę — tak wyraził zdziwienie.

Jego ojciec zatrudniony w jakimś magazynie. Często popija. Raz prowadził go ulicą. Zataczał się.

— To ty mnie prowadzisz, czy ja ciebie? — wyraził wątpliwość chłopczyk.

Jest rzeczowy i precyzyjny. Ostatnio przyszedł i oświadczył:

— Dziś nie jestem w nastroju do błahych rozmów.

Ośluchany w wulgarnym języku (ojciec nieraz awanturuje się), sam jednak unika brzydkich słów. Opowiada o wydarzeniach w swoim domu. Okradli sąsiadkę. Ani śladu włamania, nic. A okradli.

— Złodziej przeniknął przez okno — powiedział.

Również zorientowany w tym, że istnieje podsłuch telefoniczny.

— To on siedzi w słuchawce i słucha — wskazał na aparat.
— A po co? — zastanowił się. — Właśnie! To jest niewiadome.

Dziecko z nizin, jako powiada o nim matka J., a posiada wrodzoną dumę i godność.

— Nie jestem głodny — powiedział stanowczo, gdy chciała go poczęstować.

Później przysłała po niego matka ze sklepu i wyszło na jaw, że nie jadł nic od rana.

Starzy rodzice J. oczekują na jego wizyty, a potem dokładnie opisują ich przebieg. Zastanawiają się również, jak potoczą się dalsze losy tego nad wiek rozwiniętego chłopczyka. Kim może być?



1. „Modlitwa za skazanych”

*Maryjo, modlitwy naszej wystuchaj,
Wystuchaj dusz naszych i serc błaganie,
Iskierkę wiary w płomień rozdmuchaj,
Wiary w zwycięstwo, wiary w przetrwanie.
Sześć wieków jesteś z nami, Królowo!
Sześć wieków chronisz nas od zagłady,
Sześć wieków walczy z wrogiem Twe Słowo,
Więc chroń nas wiernych, Matko, od zagład.
Ty jedna widzisz naszą niedolę,
Widzisz, jak wolność jest ujarzmiona,
Widzisz, jak szatan nas wpędza w niewolę,
Jak miejsce orła chce zająć wrona...*

22 sierpnia 1982, Piotrków Trybunalski, Areszt Śledczy.

2. „Recydywa song”

*Zwierz śmiga za łopatą,
Ktoś goni znów, tabaka,
Cwel wie, że jest kobietą,
Od blatu dał drapaką.
Git ludzie są pod celą
I rzecz to oczywista:
Posuną wszystkich cweli,
Wnet bardacha będzie czysta.*

*Git planeta kopsa żaru¹,
Za plażą człowiek śmiga już,
Tak giba się recydywa,
Najlepiej krzyżak w połyk wziąć²
I wynalazek kirać³,
Na brzuchu sznury mieć ze dwa,
Zaplombuj bardak, kurwa twoja mać,
Koleżka będzie szamać.
Bazuje w bajglu już jantara,
Git planeta kopsa żaru...*

Listopad 1982, Zakład Karny Hrubieszów, cela 82.

3. „Inwokacja”

*Amnestio! Dziwko! Nie idziesz na zdrowie!
A ileś, mendo, warta, ten tylko się dowie,
Kto cię dał. My marność twą widzimy i konstytuujemy,
Że nic nam po tobie, Jaruzelo frymuśna,
Co z czerwonym zupactwem dom nasz wtrąciłaś
W niewoli okowy; co chcesz od nas zaprzaństwa,
Zniewolenia ducha...*

14 grudnia 1982, Zakład Karny Hrubieszów.

Antek, który jest organizatorem imprez estradowych, a za-razem zagorzałym niewolnikiem hazardu (oczko, poker, ruleta, wyścigi, wszystko), jako jeden z pierwszych zapisał się do „Solidarności”. Inni jeszcze wyczekiwali, ważyli to i tamto na swojej egoistycznej wadze. Natomiast Antek od razu na łeb i szyję rzucił się w ten nowy ruch.

Sam nie wie dlaczego. Cyniczny jak inni z tej branży, srodze doświadczony, pochodzi z Wilna. Jako ochotnik siedł z dywizją im. Tadeusza Kościuszki. Od początku strach w nim i respekt przed Sowietami. Od chłopca nasiąknął tamtą przemocą. I nagle ta „Solidarność”! Nic z tego nie miał. Żadnych korzyści. Żadnej chwały. Po prostu założył koło u siebie — w tym bagienku,

1. Słońce świeci i grzeje.

2. Połknąć widelec lub niezbędnik.

3. Pić wszelakie płyny z domieszką alkoholu.

wśród ludzi zdeprawowanych, pożądających pieniędzy za wszelką cenę i strachliwych.

I teraz, w marcu 1983, dzwoni do mnie po pijanemu. Gdy jest trzeźwy, raczej nie dzwoni. Unika. Uważa, że jestem trefny. Te książki, rewizja, wszystko wie dokładnie. Więc po pijaku, z bufonadą farmazona, wykrzykuje o podsłuchu. Potem, trzeźwiejąc na chwilę, zaczyna o tym swoim dziwnym upojeniu „Solidarnością”.

— Popatrz — powtarza — popatrz! Pierwszy z trzynastu impresariów zapisałem się do tej „Solidarności”...

Chyba już nigdy nigdzie się nie zapisze. I ma wielki żal. Nie wie, do kogo, ale ma. Do siebie, do „Solidarności”, do historii. Złorzeczy na podsłuch, władzę, przyszłość. Chociaż... Jest w nim utajony ogienek:

— I co? — pyta mnie jak cadyka. — Co będzie dalej?

Kończy już realistycznie:

— Przyjeżdżaj, mam flaszkę. Weź taksówkę na mój koszt i przyjeżdżaj!

OPOWIEŚĆ MARYLI

Maryla opowiadała o przyjaciółce jeszcze z dzieciństwa. Razem uczęszczały do gimnazjum, razem pracują. Przyjaciółka nie ma szczęścia, jak to mówi Maryla, w sprawach serca. Owszem, bywały huragany i uniesienia, nawet takie, że zazdrościła jej intensywności w przeżywaniu uczuć. Słuchając wyobrażała sobie, że to ona jest bohaterką takiego miłosnego dramatu. Maryla nie ma czasu. Jest osobą zdyscyplinowaną. Mąż, dziecko, praca zawodowa i społeczna. Tak sobie ułożyła życie i stara się przestrzegać ustalonych norm. Poza tym owe namietności w życiu przyjaciółki szybko mijały, raniąc ją boleśnie i doświadczając w przykry sposób. Stanowiły więc swoistą przestrożę. Jej przyjaciółka pozostała samotna. Przystojna, o bardzo interesującej twarzy, po trzydziestce. Już dosyć silne akcenty gorczy i staropanieństwa zaznaczają się w jej zachowaniu. Nie bierze udziału w uroczystościach biurowych, imieninach, urodzinach, czy innych okazjach. Wymawia się złym stanem zdrowia i brakiem czasu. Właśnie zdrowie, charakterystyczna hipochondria kobiety samotnej, bóle głowy, serce. Wsłuchuje się w te objawy złego samopoczucia z niezwykłą docieklivością i niepokojem. Jednakże plotki biurowe o posmaku erotycznym bardzo ją rajcują. Dopytuje się kto z kim itp. Całe pokłady swych niewyczerpanych uczuć przezna-

cza dla chorej matki. Nieustannie jeździ do tego miasteczka oddalonego o 150 kilometrów i jest najlepszą córką.

Martwi się o nią Maryla. Szczególnie teraz. Te podróże do matki zaowocowały w samotnym życiu przyjaciółki nieoczekiwaną przygodą. Odległość w istocie niewielka, jednak skomplikowane połączenie: pociągiem można przebyć tylko połowę trasy, a dalej trzeba się tłuc pekaesem; z pekaesami różnie, więc to oczekiwanie pod przeciekającymi w deszczu wiatrami przystanków lub łapanie okazji w postaci naładowanych tobołami i wsioowymi babami furgonetek. Taki był stały rytm piątkowych wyjazdów i niedzielnych powrotów od matki.

Podczas takiej zimowej podróży powrotnej, przy przystanku, gdzie oczekiwała w lodowatej wichurze na opóźniony autobus, zatrzymał się osobowy samochód marki Volkswagen-Golf i prowadzący wóz mężczyzna proponował jej miejsce obok siebie. Była nieufna, zdawała sobie sprawę z istnienia rozmaitego typu podrywaczy, szukających w taki właśnie sposób wrażeń. Z osobowych wozów nie korzystała z zasady. Jednak zmęczona długim wyczekiwaniem zgodziła się na tę kuszącą szansę wygodnego powrotu do Warszawy.

Tak się zaczęło. Kierowca okazał się mężczyzną kulturalnym i miłym, mniej więcej trzydziestoletnim. Nie zdradzał również żadnych tendencji do zalotów czy jakiegokolwiek wykorzystania swej przewagi. Podróż upłynęła w sympatycznej atmosferze, odtajała całkowicie i kilka razy śmiała się serdecznie z jego zabawnych dykteryjek, którymi sypał jak z rękawa. Podwiózł ją pod sam dom, mimo że nie było mu po drodze. Na koniec podała mu swój numer telefonu do pracy. Nastąpiło to tak naturalnie! Po prostu podsunął notes, a ona napisała swoje imię i nazwisko, numer centrali i wewnętrzny. — Może jeszcze tak się zdarzyć — powiedział — że będziemy podróżować w tym samym kierunku.

Delikatny i inteligentny. A równocześnie przystojny. Wysoki mężczyzna o kształtnej głowie, gęstych, szpakowatych włosach i otwartej, jasnej twarzy. Zapamiętała go doskonale. Po tygodniu zadzwonił i umówili się na kawę. Wyglądał na sportowca. Bluza, welwetowe spodnie i buty z cholewkami na miękkim obcasie. Szczupły, sprężysty, nic z tej otyłości tutejszych mężczyzn po trzydziestce, nadużywających alkoholu i jedzenia, a jednocześnie nie dbających o ciężką fizyczną. Bardzo estetyczny, lekki i szybki w ruchach, grzecznie podsuwał cukiernicę, przypalał gazową zapalniczką papierosa. Wiele miał do powie-

dzenia o literaturze, teatrze i filmie. Rozmowa z nim była nader interesująca.

Tak przedstawiła swoje wrażenia Maryli. Po raz pierwszy od dłuższego czasu ożywiona i pogodna, naprawdę atrakcyjna dziewczyna.

Zaczęli się spotykać regularnie. Wreszcie zaprosiła go do siebie. Sama zaproponowała. Został na noc. Noce powtarzały się. Zawoził ją do matki. Też gdzieś w tamtym kierunku jeździł. Nie mówił dotąd. Nie pytała. Umawiali się na powrót przy tym przystanku PKS, gdzie nastąpiło poznanie. Doszło do tego stopnia intymności, że jego pizama, przybory do golenia i ranne pantofle na stałe już pozostały w jej mieszkaniu. Zaczął podjeżdżać po nią pod biuro.

Maryla widziała go z okna. Rzeczywiście przystojny. Taki w amerykańskim typie, krótko ostrzyżony, włosy interesująco posrebrzone siwizną, budząca zaufanie twarz o mocnym, kwadratowym podbródku. Z wyraźnym ożywieniem podbiegł do wychodzącej z budynku jej przyjaciółki. Powitanie dwojga bliskich sobie ludzi. Tak to oceniła Maryla.

Ta przygodna znajomość przerodziła się w uczucie. Uczucie obrosło przywiązaniem. Jej przyjaciółka była coraz bardziej zaangażowana. Myślała o nim i czekała na niego. Również kobieca intuicja podpowiadała jej, że rzecz cała dzieje się z wzajemnością. Czuły i delikatny. Nic w tym ze sztampy i pozorów. Bywały tygodnie codziennych spotkań. Prawie nie rozstawali się ze sobą. Razem robili zakupy, szli do kina lub na kawę, wracali do niej na kolację. Inicjatywę wykazywał mężczyzna. Zależało mu na niej. Była pewna. Tylko niepokojem przejmował ją jego dosyć tajemniczy tryb życia. Nieraz zniknął na kilka dni, żeby znów pojawić się nieoczekiwanie. Czas jego pracy był najwyraźniej nienormowany i nigdy nie mówił o swoich zajęciach. Pieniądzy miał w bród, sprawy materialne nie stanowiły dla niego problemu. Posiadał także obcą walutę, często w Pewexie zaopatrywał się w papierosy, nie zapominając o kupnie dla niej jakiegoś miłego drobiazgu. Przypuszczała początkowo, że ta swoboda w sprawach finansowych wynika z zatrudnienia w prywatnym sektorze, może w firmie polonijnej.

Toteż szokiem dla niej stało się to odkrycie, dokonane późną nocą po uroczystej, domowej kolacji we dwoje z okazji jej imienin. Rozgrzany alkoholem, rozpiął marynarkę i wyciągnął się na wersalce. Wtedy zauważyła pistolet na szelkach w odkrytej kabusze. Po prostu zabłądziła rękę do broni pod marynarką i jej

spojrzenie tam się zatrzymało. Bardzo się wystraszyła. Jej zdumienie przyjął z pobłażliwym uśmiechem: — Nieprzyjemny widok — ni to zapytał, ni stwierdził i starannie zapiął marynarkę. Wtedy nic więcej o tym nie mówili. Trop jednak był dosyć czytelny. Potrafiła myśleć logicznie i szybko skojarzyła rozsypane dotąd fakty. Jego tryb życia, nagłe wyjazdy, kiedyś nocą zatrzymała ich milicja, był to czas obowiązywania godziny policyjnej, on wyjął jakiś dokument, milicjanci zasalutowali i puścili ich bez słowa. Rekonstruowała te ślady, tropy, czy jak to nazywać. Stały się czytelne. Pracował w jakiejś tajnej służbie — bezpieczeństwa, wywiad, kontrwywiad.

Męczył ją ten pistolet. Ale Maryli o tym wszystkim powiedziała znacznie później. Na razie trzymała to odkrycie w tajemnicy. Przeżywała poważną rozterkę moralną. Była gorąco zaangażowana w czasie „Solidarności”, wojna, jak innym, odebrała jej wiele nadziei. Zdawała sobie doskonale sprawę, że on jest po drugiej stronie. Po stronie bud milicyjnych, patek i obozów. Tak myślała chwilami. Chwilami znów czuła tylko biologiczną sytość i tkliwość z powodu posiadania mężczyzny. Kiedyś tak popatrzyła na niego uważnie: obnażony do pasa, golił się, pogwizdywał wesoło i pokrywał twarz pianistym kremem. Wtedy popatrzyła tak i nie wiadomo dlaczego (a raczej wiadomo) przypomniała sobie *Dzień szakala*. Nieprzyjemny dreszcz przeszedł ją po grzbiecie. Napotkał jej spojrzenie w lustrze. Odwrócił głowę. Objął ją czule i przycisnął. Po tym stopniała jak wosk i skłonna była już zaaprobować nawet najobrzydliwsze jego wyznanie.

Dwukrotnie wyjeżdżał za granicę. Anglia, Niemcy. Przywoził prezenty. Ciuchy, kosmetyki, kawę. Pamiętał też o jej chorej matce. Zdobył dla niej niedostępne w kraju lekarstwo. Taka była wtedy wdzięczna. Wdzięczna i oddana bez granic. Ale te fale niepokoju, obcości powracały jednak. Pewnego dnia o świcie (jeszcze spał) miała nieprzepartą ochotę sięgnąć do jego portfela i sprawdzić dokumenty, dowiedzieć się, kim jest naprawdę. Już wyciągała rękę. Naraz poczuła jego wzrok. Znieruchomiała. Popatrzyła na niego. Spał. Czy przed chwilą tylko wydawało się jej, że patrzy? Czy teraz udawał, że śpi?

Postanowiła wyrwać tę bolesną zadrę z myśli. Niech będzie jak jest. Ten minimalizm dyktowało jej serce.

I przyszedł taki dzień. Jak zwykle umówili się pod jej biurem. Czekala. Nie przyszedł. Czekala w domu. Również nie pojawił się tam. Czekala w pracy na telefon. Tak przez

wiele dni. Nie pojawił się już nigdy. Znikł, jakby go przedtem nie było.

Maryla przez pewien czas co wieczór bywała u niej. Bała się o przyjaciółkę. Jej oczy takie jakieś, pełne napięcia, wsłuchiwała się w kroki na schodach, nerwowy balet rąk.

— W takim stanie łatwo można sobie zrobić coś strasznego — mówi Maryla.

Minęło pół roku. Czas zbliżnia rany. Tyle że zgorzkniała jeszcze bardziej i zamknęła się w swojej skorupie. Nasiliła częstotliwość wizyt u chorej matki. W trakcie kolejnej podróży pociągiem bawił ją rozmową w przedziale pan około pięćdziesiątki, rubaszny, ale miły. Pogawędkę potraktowała jak zwyczajne uprzyjemnienie czasu. Razem wyszli na peron. Pan był zaradny i szybko zdobył taksówkę. Pojechali razem. — Co pani sądzi o kawie któregoś popołudnia? — zapytał i nie czekając na odpowiedź wręczył jej swą wizytówkę. Zaraz jak to chłop-samochwał pochwalił się pracą, stanowiskiem, służbowym wozem oraz wyjazdami i konferencjami na wysokim szczeblu. — Pułkownik W. — wyciągnął dłoń, aby przedstawić się szarmancko. Skamieniała. Gwałtownie cofnęła swą rękę. Uznała tego mężczyznę za następnego pracownika bezpieczeństwa czy czegoś podobnego. I tak przerażona swoim fatum wyskoczyła z samochodu, nie powiedziawszy ani słowa. Coś wołał. Gnała jak szalona. Wizytówkę, nie czytając jej nawet, porwała na strzępy. Jej reakcja była nieproporcjonalnie silna. Rozchorowała się. Była chora przez kilka dni. Gorączka, ból głowy. Popłakiwała.

— Spóźniona reakcja — sądzi Maryla. — Za tamto daremnie ulokowane uczucie. Być może ostatnie uczucie.

I Maryla, która jest kobietą pełną wigoru i zalotności, naprawdę poczuła się zadowolona ze swego ustabilizowanego, chwilami nudnego życia, z mężem, córką i samochodem.



Noc. Niezbyt późno, ale pusto.. To miasto zamiera bardzo wcześniej. Jezdnią toczą się dwaj młodzieńcy. Pijani.

Pierwszy: Kurwy! Zabiję! Dajcie mi karabin!

Drugi: Masz zapaliki?

Pierwszy: We trzech skopali! Kurwy! Idziemy na milicję!

Drugi: Daj zapaliki!

Pierwszy: Dajcie mi karabin!

Na chodniku stały rzędem zaparkowane samochody. Łup!

Kopnął w bagażnik jednego z samochodów. Kopniak był potężny. Aż zadudniło.

Drugi: Miałeś przecież zapalki!

Pierwszy: Kurwy! Milicja!

Słychać głos tego szczeniaka przeraźliwie donośnie. Przechodzi w zwierzęce wycie pełne żalu i nienawiści. Drugi też pijany, ale spokojny. Pochłonięty jedynie sprawą zapalenia papierosa.

I zniknęli w ciemności. Jeszcze jeden ryk, ale już niewyraźny. Oddalający się tupot kroków. Łoskot. Pewnie kopnął w następny samochód.



Pojechaliśmy z Jolą na Saską Kępę. Droga przez most w długim korowodzie samochodów. Częste postoje. Czas powrotu z pracy. Dla mnie ta jazda samochodem szczególnie uciążliwa. Znowu przystajemy. Tym razem przy wysepce przystanku, którą wypełnia tłum oczekujący na tramwaj. Patrzą na nas ludzie z przystanku. A ja siedzę rozparty na miękkim fotelu. Wewnętrznie kurczę się cały pod ciężarem tych spojrzeń. Kurczę się również zewnętrznie. Pragnę być niewidzialny. Więc i siedzę tak jakoś niewygodnie, półgębkiem, cały napięty; zamiast oprzeć się o oparcie fotela, przymknąć oczy i pogрузić się w relaksie komfortowej podróży. Jednak nie mogę. Cały czas myślę, że oni, ci z przystanku, patrzą na mnie wrogo, może nawet nienawistnie. Uciekam przed tymi spojrzeniami. Zapalam papierosa. Patrę uporczywie przed siebie. Ale czuję, że oni patrzą na mnie również uporczywie. Zawsze w godzinach szczytu, w tym kotle pędzących samochodów i pieszych zalegających przystanki, przebiegających przez jezdnię, jazda samochodem jest dla mnie udręką, podejrzanym luksusem, oczywistym dowodem lepszego standardu, który pieszym może się kojarzyć z warstwą rządzącą (dostał talon na wóz, jest przy żłobie), z tymi, którzy gnębią, cisną, aprobują, obdarowani w zamian rozmaitymi przywilejami. A przecież samochód uczciwie zarobiony. Tylko ludzie na przystanku nic o tym nie wiedzą.

Jola ma znacznie lepszą sytuację. Zajęta kierownicą, biegami, hamulcem, obserwacją zmiany świateł na skrzyżowaniach i rondach, nie zwraca na te spojrzenia żadnej uwagi.

Wreszcie wydostaliśmy się z tego zatoru. Ciche, ocienione drzewami uliczki Saskiej Kępy. Tu na Saskiej Kępie otrzymuję wiadomość o przyznaniu mi nagrody pewnego emigracyjnego pis-

ma w Londynie za *Raport o stanie wojennym*. Nie byłem nigdy zbyt rozpieszczany nagrodami i pochwałami, toteż wyróżnienie cieszy mnie i choć chwilę zaspokaja pisarską próżność.

Z tej okazji zapraszam Jolę na kawę. Dawno tu nie byłem. Domy w ogrodach, stara warszawska dzielnica willowa, zresztą już wokół obudowana koloniami bloków. Kawiarenka pod nazwą „Bistro”. Wstępujemy. Klitka i tłok. Automat do gry, parę stolików, siedzą, piją wino. Bywalcy. Nastrój sąsiedzki, wszyscy się znają. I traf. Jeden wyciąga do mnie rękę. Poznałem go z trudem. Znajomy sprzed lat. Zaprasza. Siadamy. Jego żona, bystra, dowcipna, wygląda na szefową stadła małżeńського. On stąd. Tu się urodził. Tu mieszka nadal. Dowcipniś i zgrywus. Dawno temu zaszokował pewną moją znajomą. Zdarzyło się to w nocnej knajpie. Wyciągnął na stół swego ptaka ozdobionego wytatuowaną pszczołką i frywolnym napisem „Tylko dla pań”. Gawędzimy. Znajomek dopytuje się o mój status. Wie, że piszę. Coś kiedyś czytał. Tylko nie wie, czy obecnie jestem pisarzem oficjalnym, czy nie.

— PRON czy anty-PRON? — pyta.

Wyjaśniam, że na razie nie jestem chwałką stanu wojennego.

Jego żona sprawnie zajmuje się gością. Porozumiewawczy gest do właścicielki kawiarni, otyłej kobiety o brzydkiej, sprytniej twarzy. Tamta sięga do lodówki. Dyskretnie wyciąga stamtąd butelkę Soplicówki i pod ladą nalewa do szklaneczek.

— Trzymamy tu swoją — wyjaśnia żona kolegi. — Pani Madzia też sobie lubi...

Kolega opowiada o pewnym spryciarzu ze Szczecina, który od pijanego działacza zdobył zaświadczenie patriotycznego stowarzyszenia „Grunwald”, polecające władzom administracyjnym i partyjnym udzielanie okazicielowi niniejszego pisma wszelkiej pomocy. A ponieważ specjalnością człowieka ze Szczecina był handel na jarmarkach i odpustach, to z owym pisemkiem objechał kawał Polski spotykając się z serdeczną pomocą lokalnych władz.

Wychylamy po szklaneczce. Za pomyślność. Za Wielkanoc. Bo święta za dwa dni. Ja zaś po cichu za swoją nagrodę literacką.

W kawiarence nastrój jak w dawnych knajpach nieistniejącego już miasta. „Pod Setką” czy „Pod Bombą”, były takie bary jeszcze z lat międzywojennych na Marszałkowskiej, śladu po nich nie zostało. Przychodzą podpici, ale grzeczni. Pozdrawiają z szacunkiem właścicielkę. Witają się z moim kolegą i jego żoną. W jednym z bywalców wzbudziłem znaczne zainteresowanie.

— Kto to jest? — zapytał właścicielkę patrząc na mnie intensywnie.

— Pewnie jakiś komunista — zażartowała ta otyła kobieta o sprytniej twarzy.

Tamten żart przyjął poważnie. Jeszcze raz zlustrował mój wygląd, krawat, marynarkę itd.. I ryknął:

— Panie, jesteś pan komunista?

Zaprzeczyłem.

Nie dosłyszał. Ponowił pytanie. I już w jego oczach nieprzyjemne błyski. Musiał interweniować mój kolega.

— Odpieprz się — powiedział. — To mój gość.

Wkrótce tego dociekliwego badacza przekonań politycznych pochłonęła namiętność hazardu. Stukot automatu do gry poderwał go z krzesła. Natarczywie począł namawiać właścicielkę do gry.

— No, pani Madziu, tylko raz!

— Owszem, zagram — powiedziała ta specjalistka od żartów — ale tylko za pięć tysięcy.

Tym go zaszokowała. Zaczął przewracać kieszenie. Miał ledwie kilka zmitych setek.

Powtórzyliśmy kolejkę i serdecznie pożegnałem się ze swoim znajomym. Złożyliśmy sobie życzenia na święta.

Było to jak za dawnych lat w małych, dzielnicowych knajpach, które pod koniec lat sześćdziesiątych zostały w większości zlikwidowane, ustępując miejsca nowoczesnym barom samoobsługowym z kiepskim żarciem lub restauracjom-ajencjom o komfortowych wnętrzach, pełnych boazerii, nastrojowych lampek, tapet i reklam zagranicznych trunków.



G., były dyplomata PRL, obecnie emeryt, opowiada o swoich spotkaniach na forum ONZ w Nowym Jorku z Andriejem Wyszyńskim, sowieckim ministrem spraw zagranicznych.

Był to starszy pan o szlachetnej, regularnej w rysunku twarzy, w binoklach, z siwym wąsem, postawy szczupłej i dystygowanej. Ten słynny przedtem prokurator generalny ZSSR, oskarżyciel w krwawych procesach stalinowskich, następnie wieloletni szef dyplomacji Kraju Rad, bywał często w Nowym Jorku z okazji sesji Rady Bezpieczeństwa czy innych ważnych posiedzeń Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Wygłaszał sugestywne przemówienia, posiadał wybitny talent oratorski. Ze szczególnym wtedy upodobaniem pastwił się nad delegatem Jugosławii (był to

czas potępienia odszczepieńca Tito) i zaczynał z prokuratorąską emfazą: „Gaspadin Bebler!”. Przedstawiciela Jugosławii lubił wymieniać po nazwisku. Jego wystąpienia cieszyły się dużą popularnością, z reguły więc sala, loże i trybuny pełne były publiczności, a w wieczornym wydaniu *New York Times'a* zamieszczano na pierwszej stronie tekst przemówienia dyplomaty z ZSSR wraz z jego fotografią. Przemówienia wygłaszał po rosyjsku, a tłumaczył je bezpośrednio na angielski, w swojej oszklonej kabinie, tłumacz ONZ, Żyd rosyjski, emigrant. Wciągał się on tak dalece w swadę mówcy, że wykonywał nawet te same gesty, którymi posługiwał się minister spraw zagranicznych ZSSR.

G. mówi, że miał doskonały widok na jego kabinę i bardzo śmiesznie to wyglądało. Pontomima stalinowskiej zajadłości.

Zastanawiam się, czy wtedy naprawdę z takim dystansem, ironią i śmiechem patrzył na to widowisko G.? Czy dopiero po latach te wspomnienia odcodziły się w taki właśnie sposób?

G. miał przyjemność poznać osobiście Andrieja Wyszyńskiego. Podczas wycieczki statkiem „Queen Ann” czy „Queen Elizabeth”, już nie pamięta, szef radzieckiej dyplomacji uciął przyjacielską pogawędkę z polską delegacją. Podkreślił wtedy swoje polskie pochodzenie. Jego ojciec wywodził się z drobnej szlachty, osiadłej na Podlasiu. Andriej Wyszyński sugerował nawet, że jest dosyć blisko spokrewniony z naszym prymasem, Stefanem Wyszyńskim. Pozwolił sobie na swoisty żart, mówiąc iż cieszy się z faktu posiadania w rodzinie arcybiskupa, i to prymasa Polski. Zapytany, co zapamiętał z polskiej mowy, zamyślił się i przypomniał sobie z dzieciństwa jedno tylko powiedzenie ojca. Czasami krzyczał po polsku do żony Rosjanki: „Do cholery, zamknij ten piec!”. Pogwarce ministra Wyszyńskiego z Polakami przysłuchiwała się jego żona, biała Rosjanka, jak mówi G., dama równie dystygowana, o pociągłej twarzy i długich, smukłych palcach, zdobnych w pierścionki z diamentami. Światowa para podróżująca luksusowym statkiem pasażerskim. Coś z Bunina. Stary, siwy pan oddala się powolnym krokiem.

Tak go zapamiętał G. Nic z czerwonej barbarii. Sam G. także był ozdobą reżymowej dyplomacji. Świetny wygląd, kultura, znajomość języków.

Obecnie G., który już dawno odstał od tego, co niegdyś firmował, planuje rozmowę z jednym z ostatnich starych dygnitarzy komunistycznych w Polsce, o jego przeszłości itp. Wybiera się tam z magnetofonem. Pragnie utrwalić dla potomności wypowiedzi dawnego Numer Dwa partii. Utwierdzamy G. w waż-

ności jego misji. Choć tamten starzec będzie zapewne po bolszewicku czujny i skąpomówny. Ale kto wie? Może odsłoni nieznany rąbek prawdy. Choćby swoją osobowość, sposób myślenia, mówienia.

— Trzeba się śpieszyć — powiada G. — W jego wieku każdy dzień może być ostatni.



Kilkadziesiąt lat odwiedzam tę kamienicę. Stara, secesyjna budowla, twierdza warszawskiego mieszczaństwa. Fronton zdobny w amorki i girlandy, kunsztowne gzymsy, balkony, bramę podpierają mocarze. I to podwórze — ciemna i posępna studnia. Przy śmietniku rośnie drzewo. Kiedyś małe, rachityczne, zdawać się mogło, nie przetrzyma życia w tej ciemności. Jednak wyrosło. Teraz, wiosną, zieleń ma soczystą, mocną.

Niegdyś, kiedy tu przychodziłem późną nocą, bramę otwierali dozorca albo jego żona. Dozorca umarł, zmarła też jego żona. Teraz brama przeważnie otwarta. Kamienica postarzała się znacznie. Girlandy i amorki łuszczą się i pękają, obłazi tynk; dawniej mury miały kolor żółtego, wiślanego piasku, teraz — szare, liszajowate od wilgoci. Raz nawet oberwał się kawał gzymsu i spadł na chodnik. Łoskot, tumany pyłu. Nikt na szczęście nie przechodził wtedy pod murem.

Pozostał jeszcze syn dozorca. Też już stary, brodaty. Wygląda jak rosyjski „jurodiwy”. Ta broda, ziemista cera, posępne, ciemne oczy, chudy i zgarbiony. Syn dozorca — to historia lat powojennych w jednej zawarta obsesji. Odkąd go pamiętam, upijał się szaleńczo i na widok milicyjnego munduru wstępowała w niego wściekła siła. Szarżował jak odyniec. Tyle lat przesiedział w ciurmach! Kilkanaście. Później już nie rzucał się do bicia, tylko lżył przedstawicieli władzy. Za to też go wsadzali. Tyle że na krócej.

Jola bała się tego Tadzia niby demona. Będąc kilkunastoletnią dziewczyną uciekała na jego widok. A on gonił ją wołając: „Italianka!”. Jola przypuszczała, że to były jakieś antysemickie aluzje. Ja myślę inaczej. Moim zdaniem w tym zawołaniu zawarty był jego sentyment do Włoch. Po powstaniu wywieziony został do Niemiec i nim wrócił do Polski, zakotwiczył się czas jakiś w słonecznej Italii. Przywiózł stamtąd *battle-dress'y*, kilkanaście włoskich słów i może jeszcze jakieś nigdy niewyrażone tęsknoty.

Stary i zmarniały ten syn dozorca, bezzębny lew. Rzadko

już pije, handluje wódką. Przebiegły w tym procederze. Nieraz robili na niego nalot i nigdy nic nie znaleźli. Odprowadzał mundurowych i tajniaków do bramy, kłaniał się uniżenie i powtarzał: — Ja? Skąd! — Czasem upija się jednak. Ale już tylko w samotności. W tym podwórzu-studni właśnie. Wybiega pod drzewo przy śmietniku i wyje z nienawiścią. W tym podwórzu otoczonym murami 6-piętrowej kamienicy jego głos rozbrzmiewa donośnie. Ale nikogo to już nie interesuje. Mieszkańcy kamienicy słysząc ten wibrujący nienawiścią i bezsilnością ryk wzruszają ramionami i zamykają okna. — Tadek znów się upił — najwyżej ktoś bąknie. A on pokrzyczy tak chwilę i cichnie. Idzie spać.



Darek przedstawia wizerunek swego kolegi ze wspólnego pokoju w Akademiku.

Starszy od innych. Dwadzieścia kilka lat. Nazywany przez nich „Kierownik” albo „Partyjny”. Studiuje na pierwszym roku wydziału spraw międzynarodowych WSNS-u. Przez trzy lata pod rząd dawał egzaminy wstępne i oblewał. Za czwartym podejściem dostał się wreszcie. Przedtem pracował. Był kierownikiem magazynu pomocy szkolnych. Do Akademika przywiózł ogromne zapasy materiałów piśmiennych z tamtej pracy. Sto długopisów marki Zenith, wkłady, pióra chińskie, ołówki, stosy bloków, notatników i brulionów, ryzy papieru, skoroszyty, gumki, flomastry itp. Na całe studia i jeszcze dłużej starczy mu tego bogactwa. Od pięciu lat jest partyjny. Pochodzi ze wsi białostockiej. Nigdy nie mówi dokładnie — skąd. Pewnie zabita dechami wiocha. Najchętniej opowiada o Białymstoku, gdzie później pracował. Ma trzech braci. Wszyscy od wczesnych lat sami sobie musieli dawać radę. Zatrudniony był w branży magazynowej. Ale postawił sobie zadanie bardzo wysokie. Pragnie zostać dyplomata. I wyjechać gdzieś za granicę na placówkę. Kto wie, może nawet być ambasadorem. Jednak o tym najskrytszym marzeniu nikomu nie mówi. Sam uważa to za zbytnią śmiałość. Dwaj jego starsi bracia tak wysoko nie mierzyli. Jeden trudni się rzemiosłem. Drugi, technik elektryk, sprytny i zaradny, wyjechał na kontrakt dewizowy do Libii. „Partyjny”, inaczej nazywany „Kierownikiem” jest młodzieńcem wielkiej pracowitości. Dni całe spędza nad skryptami, lekturami pomocniczymi, notatkami z wykładów. Uczy się angielskiego. Jarek powiada, że angielski w jego wykonaniu kojarzy mu się z fizycznym wysiłkiem, jakby orał podręczniki i słowniki wydzierając z nich słów-

ka i reguły gramatyczne. „Partyjny” stara się również zdobyć orientację w sprawach kultury. Śledzi nowości wydawnicze, premiery teatralne i filmowe. W związku z jego gorliwym samokształceniem koledzy płatają mu złośliwe figle. Idąc kolejno na *Dantona*, *Obłąd* i *Dwie głowy ptaka* oszukiwali go perfidnie, że wybierają się do opery i operetki. W ten sposób pozbawili go na razie wrażeń ze świetnego filmu i dwóch adaptacji teatralnych ciekawych powieści. Po tych operach i operetkach wracał do Akademika znudzony, ale nie skarżył się wcale. Ziewał. Zapytany o przeżycia artystyczne, odpowiadał monosylabami. Swojej partii ani jej ideologii nie broni, jednak uparcie obstaje przy członkostwie w szeregach PZPR. Kpiny z funkcji partii w życiu społeczeństwa znosi ze stoickim spokojem, często z pokrętną, chłopską aprobatą. Starannie chowa swą partyjną legitymację obawiając się, żeby koledzy nie splecali mu jakiegoś żartu. Gorącym dyskusjom w pokoju przysłuchuje się milcząc (nie donosi, to już sprawdzili). Czasem tylko wtrąca rzeczowe uwagi ze swojej bogatej praktyki życiowej — potwierdzając tym raczej argumenty strony przeciwnej. Na wszelką literaturę zakazaną i podziemne pismka rzuca się jak oni zachłannie. I co mocniejsze uderzenie w rządzących przyjmuje z satysfakcją. — Ale im dopieprzył! — powiada wtedy i świadczy to dobitnie, że raczej nie utożsamia się ze swoją partią. Jednakże władza i siła, na której ona stoi, są dlań niekwestionowanymi dogmatami. Nade wszystko siła. W minionym okresie bez wahania wstąpił do „Solidarności”. Oczywiście nie w pierwszej fazie. Wtedy jeszcze wyczekiwał. W „Solidarności” nie dążył wcale do wybicia się, po prostu był szeregowym członkiem. Tak samo w partii nie wysuwa się do przodu. Na zebraniach partyjnych nie wyraża żadnych wątpliwości ani nie zwraca na siebie uwagi gorliwą aprobatą. Cały nacisk położył na studia. Nauka jednak sprawia mu poważne trudności. Musi wielokrotnie powtarzać materiał. Pamięta dopiero wtedy, gdy dobrze go sobie wbije do głowy. I wtedy pamięta długo. Zarówno nonsensy i brednie, jak i rzetelną wiedzę. Chętnie operuje sloganami i pragnie mieć najprostszy obraz świata. Na przykład jego wypowiedź w sprawie represji wobec działaczy „Solidarności”: — Kto im kazał podsłukiwać? Mogli siedzieć cicho. A oto jego zdanie w rozmowie o *Uliście* Joyce’a: — Sztuka powinna być dla mas. — Powtarza też chętnie: — Artyści to ścierwo! — Ten pogląd o morale artystów wynika z jego wiedzy o aktorach i piosenkarzach z kręgu lekkiej muzy. Bardzo interesuje się ich dochodami i stopniem sprzedawalności. Sam posiada umiejętność zarabiania pieniędzy. Kiedy w War-

szawie pokazała się herbata Madras, to całe teczki tej herbaty wywoził do Białegostoku. — Dla przyjaciół — wyjaśniał niechętnie. A w rzeczywistości sprzedawał je tam z zyskiem. Uważa, że wszystko ma swoją cenę. Koniecznie zapragnął mieć na własność *Wschody i zachody księżyca* Konwickiego. Darek nie chciał mu sprzedać tej książki. „Partyjny” podbił cenę jak na licytacji myśląc, że Darek w końcu ustąpi. Jego niezłomnością był zaskoczony. Spełnienie osobistych pragnień łączy się w jego rozumieniu z posłuszeństwem wobec władzy, unikaniem niepotrzebnych wątpliwości i umiejętnością dyskretnego korzystania ze swojej pozycji na szczeblach społecznej drabiny. Daje przykłady z życia magazynowego i nie bez satysfakcji podkreśla, że miał tam większe możliwości niż sam dyrektor.

Opowieść Darka kojarzy się nam mimowoli z *Szybyfowymi pracami* i bohaterem tej książki, Andrzejem Radkiem. Coś w tym jest.

„Punk to śmierć!” Napis na murze. Tego rodzaju napisów nie zamazują. Miesiącami widnieją te czarne słowa na ścianie budynku w centrum miasta. Obok „KOR to Żydy” — też długowiecznego napisu.

Punkowcy. Są tacy. Ogolone głowy, tylko grzebień z włosów pozostawiony po środku, wąskie, czarne okulary, ciemne, skórzane kurtki z licznymi suwakami. Ten margines życia studiuje z dociekliwością Darek. Podpatruje ich, ociera się o nich, uczestniczy w koncertach zespołów punkowych. Poznał już następujące: „Nieżywe Schaby”, „Lalki Kaliguli”, „SS-20” i „Klaus Mittwoch z Poznania”. Formacja „Nieżywe Schaby” prezentuje często piosenki treści dosyć zaskakującej. Oto fragment jednej z nich:

„Kibel, kibel, kibel, roznoszą się zarazki!
Kibel, kibel, kibel, wylęgarnia muszek!
Kibel, kibel, kibel, chyba się uduszę!”

Powtarzają się te słowa przy dźwiękach ogłuszającej muzyki. Wśród młodocianej publiczności ekstaza. Rozbierają się, podrzucają koszule, tupią, wyją. Podczas koncertów bywa również na estradzie scenografia. Na ścianie złowrogie napisy: „Zginął Babilon”. „Zginął cały świat”. Pod tym Biblia w języku hebrajskim. Skąd oni zdobyli taki rzadki egzemplarz? Aż z dwóch stron portrety: Matki Boskiej i Che Guevary.

Szefem ruchu jest niejaki Oksford, debilowaty osiłek (z tego właśnie powodu przezwany Oksfordem). Ubrany w długi płaszcz skórzany, pod płaszczem obnażony tors i trzy finki u pasa. Często podchodzi do młodzieży oczekującej na punkowy występ i pobiera haracz. Przeważnie nikt mu nie odmawia.

Punkowcy lubią mieszać alkohol z „Maryską”. Darek odwiedził młodego malarza, wyznawcę ruchu w jego pracowni. Siedział zamroczony, nieobecny. U jego stóp leżały dwie równie zamroczone dziewczyny. — Chcesz zapalić skręta? — zaproponowały. — A może „kompotu”?

Darek chłodnym okiem obserwuje ten fenomen. Spostrzegł już, że wyznawcy punku wywodzą się raczej z rodzin zamożnych i inteligentnych. W odróżnieniu od „gitów”, którzy rekrutowali się przeważnie z biedy i marginesu społecznego. W swoim rodzinnym mieście sam znał takich chłopaków, poszatkowanych żyłką, poznaczonych tatuażami. Mocny był wśród nich związek z subkulturą przestępczo-kryminalną. Natomiast ci z kręgu punk najchętniej operują pojęciami nihilistycznymi. Totalna niewiara i szyderstwo. Chaos pojęć i słów. Negacja wszystkiego. Darek zauważył przy tym, że organa porządku publicznego wcale się nie interesują tym ruchem.

— Kompania ZOMO rozpędziłaby to bractwo migiem — mówi rzeczowo Darek. — A podczas koncertów milicji się w ogóle nie widzi. Raczej lekceważą. Może aprobują...

W budynku studenckiej „Stodoły” huczą bez przeszkód słowa pieśni punkowej:

„Pierdolony ten świat; Pierdolona polityka!”

Wycie i ekstaza.



Piękny, wiosenny ranek. Przy śmietniku spotkanie z kobietą w obszarpanym, męskim paltocie. Jest szczupła, wysoka. Metodycznie penetruje zawartość blaszanego pojemnika. Zwracają uwagę jej dłonie w wełnianych, obciętych rękawiczkach. Palce długie, wąskie. Tymi palcami sprawnie i bez obrzydzenia przetrzuca cuchnące, gnijące, maziowate resztki w pojemniku. Następnie zobaczyłem jej oczy. Niebieskie, skupione, nawet wyniosłe. Oczywiście szlachetnej, niedzisiejszej damy. Nieco speszony jej obecnością szybko wyrzucam śmieci ze swego kubeczka. Jeszcze rozwijam papier z resztką ryb dla kotów.

— Czy to coś do zjedzenia? — pyta.

— Dla kotów — odpowiadam.

Zainteresowała się tym zawiniątkiem. Już wyciąga dłoń w rękawicze bez palców.

— Same skóry i ości — mówię i daleko odrzucam te cuchnące rybie resztki. Wychodzę szybko ze śmietnika. Po chwili jednak wracam. Wyciągam z kieszeni banknot stużłotowy. — Proszę, może pani sobie coś kupić do jedzenia.

— Nie! — zachnęła się gwałtownie.

Wtedy spróbowałem wetknąć jej banknot do kieszeni tego długiego, męskiego paltota.

— Nie! Nie! — powtórzyła coraz bardziej wzburzonym głosem. Z obrzydzeniem wyszarpnęła banknot z kieszeni swojego płaszcza i rzuciła na ziemię. — To boli! — powiedziała. — Bardzo boli! — Odeszła od śmietnika pochlipując.

Tak, wyraźnie płakała.

Poczekam jeszcze chwilę. Nie zawróciła jednak. Podniosłem banknot i schowałem do kieszeni.



— Cześć, stary!

Szedłem zamyślony i dopiero to wołanie poderwało mi głowę.

Po drugiej stronie jezdni trzech facetów w granatowych płaszcach, z teczkami. Jeden z nich uśmiechał się do mnie przyjaźnie.

— Nie poznajesz? — zapytał.

Po chwili poznałem go.

Obaj wkroczyliśmy na jezdnię i po środku, nie zważając na samochody, uściskaliśmy sobie dłonie.

Kolega z gimnazjum. Nie zmienił się za bardzo. Nie przytył ani nie wytyśiał. Elegancko ubrany. Walizkowa teczka na zatrask. Szeroki uśmiech, własne zęby, mocna twarz.

— Słyszę o tobie — powiedział. — Czytam to i owo — lekko pachniał wódką, świeżym, niedawno przyjętym trunkiem.

— Tak w południe popijasz, drogi kolego? — zapytałem prawie z zazdrością.

— Tu w Rycerskiej kropnęliśmy sobie po kielichu i jedziemy na lotnisko odbierać Bułgarów.

Dwaj jego towarzysze wsiadali akurat do Poloneza, który był zaparkowany w pobliżu. Obaj ciężkawi, korpulentni. Z trudem wciskali się do samochodu.

— Bułgarów? — powtórzyłem z lekceważeniem. — Tych owczarzy, bałkańskich świniopasów?

— Dlaczego tak mówisz? — zdziwił się. — Przyjemni. Mamy z nimi stałą współpracę.

— A tam, Bułgarzy! — upierałem się bezsensownie. — Już lepiej odbierać jakichś z Zachodu. Ale oni pewnie nie przyjeżdżają, prawda?

Nie potwierdził. Ale i nie zaprzeczył. Nadal uśmiechał się szeroko. Krzepki, zadowolony z siebie facet. Był w naszej klasie licealnej przewodniczącym ZMP. Pochodził z Poznania. Nazwisko także jakieś stamtąd. Grześkowiak.

— W czym robisz? — zadałem nagle podejrzliwe pytanie.

— Jestem dyrektorem — odparł. Wręczył mi wizytówkę. Zatrąbił Polonez. Po niego.

— No to chyba jesteś w PRON-ie, OKON-ie, czy jak tam, co? — powiedziałem wrogo.

— Skąd! — zaprzeczył łagodnie. Spojrzał na zegarek. — Odezwij się! Koniecznie! Pogadamy przy kielichu.

Uściśnaliśmy sobie prawice. Dłoń miał suchą, mocną.

Wsiadł do Poloneza. Jeszcze pomachał ręką.

Spojrzałem na wizytówkę. Naczelnny dyrektor wielkiej fabryki. Jakim może być człowiekiem? Jaka była jego droga? O czym będę gadał z takim? Mimo to schowałem wizytówkę do kieszeni.

Wieczorem miała być odprawiona msza święta z okazji 13 kwietnia.

Boczne uliczki obstawili już znacznie wcześniej. A po obu stronach kościoła ustawili się dwie kolumny bud z armatkami wodnymi i gazikami na czele. Natomiast na placu przed kościołem zatrzymał się Fiat 125p z długą anteną. W wozie siedziała kobieta i trzech mężczyźni. Mężczyźni — młodzi, barczyści, w szarych garniturach; kobieta — przystojna, czarnowłosa, dosyć jaskrawo wymalowane usta. Raczili się kawą z termosu. Nalewali sobie do przezroczystych, plastikowych kubeczków. Kobieta spożywała kanapkę, którą odwinęła z bibułkowej serwetki. Patrzyli na ludzi podążających ulicą w stronę kościoła. Ludzie z kolei interesowali się szafirowym Fiatem, choć na placu stało przecież wiele innych wozów. Spojrzenia przechodniów bywały krótkie, płochliwe lub długie, niemal wyzywające. Ci z wozu nieruchomo wytrzymywali tę nieprzyjazną ciekawość przechodniów. Nie opuszczali głów ani nie odwracali oczu. Zda-

rzały się sceny zabawne. Oto grupka młodzieńców spojrzawszy tam w głąb Fiata, wybuchnęła gromkim śmiechem. Zwolnili kroku i oglądali się kilkakrotnie z teatralną ostentacją. Para w średnim wieku mijając Fiata przyspieszyła z kolei kroku. Znow samotny mężczyzna o sfatygowanej, nieco trunkowej twarzy, pozwolił sobie na pewien wymowny gest: popatrzył świdrującym wzrokiem na załogę samochodu i przekrzywiając głowę przyłożył dłoń do ucha. Towarzystwo we Fiacie zeszytywniało nieco. Ten żart dotknął ich wyraźnie. Wśród przechodzących znalazł się też cudzoziemiec, wysoki chudzielec w okularach, typowy Anglosas. On również nieomylnie zatrzymał swe chłodne spojrzenie na szafirowym Fiacie. Trwał pochód w kierunku kościoła. Do rozpoczęcia mszy pozostał jeszcze kwadrans.

Wspominki G., byłego dyplomaty, o jego spotkaniach z Andriejem Wyszyńskim przeczytałem E. Nic nie wiedziała o tej głośniejszej osobistości z czasów stalinizmu. W tamtych latach była siedmioletnią dziewczynką. Opowiedziała natomiast pewną historię z tego ponurego okresu, która żywo utkwiała jej w pamięci. W jej rodzinnym miasteczku, na frontonie najwyższego, dwupiętrowego domu przy rynku, umieszczono z okazji jakiejś uroczystości o charakterze państwowym ogromnej wielkości portret Lenina, wymalowany dosyć jaskrawo przez miejscowego malarza-amatora. Portret był tak okazały i ostry kolorystycznie, że dzieci często przerywały swoje zabawy lub zatrzymywały się i patrzyły z uwagą na to zjawisko. Wśród ciekawej dzieciarni znalazła się również E. Wpatrzyła się w oblicze niehumanitarnej wielkości uwieńczone rozległym czołem przechodzącym w łysinę. — Ale ma głacę! — powiedziała z podziwem. I nic więcej. Posłała sobie. Po kilku dniach musiała przyjść z ojcem do szkoły, w której niedawno rozpoczęła naukę, na rozmowę z kierownikiem, oraz do komendy MO. Nie pamięta już, w jakiej kolejności odbyły się te wizyty. W każdym razie w ciągu jednego dnia. Ojciec był zdenerwowany i mocno ścisnął ją za rękę. Zapytano ją o słowo „glacę”. Słowa tego używa się potocznie na określenie łysiny. Tak mniej więcej wyjaśniła. Następnie indagowano ją, skąd zna to słowo. Czy usłyszała je od starszych dzieci, czy od dorosłych? I czy dotyczyło konkretnie oblicza wymalowanego na portrecie? Odpowiedziała z dziecinną szczerością. Łysych przezywano tak od niepamiętnych czasów; patrząc na portret

wypowiedziała to słowo bezwiednie. Rzecz cała zakończyła się na tych wyjaśnieniach i dalej nic już się nie działo.

E. przypomina sobie jeszcze, że później, wracając z rozmaitych akademii, szkolnych uroczystości i filmów, jako wrażliwa dziewczynka dzieliła się w domu swoim współczuciem dla losu walczących Koreańczyków, maltretowanych przez Franco republikanów, uciskanych przez garstkę kapitalistów Amerykanów, lub wyrażała obrzydzenie dla opasłych rodzimych kułaków i zbrodniarzy z podziemia. Rodzice słuchali jej wtedy w milczeniu i nie wypowiadali swego zdania.

Poza tym dzieciństwo E. nie obfitowało w dramatyczne przejścia. Tak wkroczyła w czas dojrzałości, który nastąpił dla niej w latach sześćdziesiątych. Zasadniczym przełomem w jej życiu stał się marzec 1968.

UMSCHLAGPLATZ

Postanowiliśmy uczcić czterdziestą rocznicę powstania w getcie 17 kwietnia. Władza wyznaczyła uroczystość na 19 kwietnia. Marek Edelman ogłosił wcześniej list, w którym wyjaśnił, dlaczego nie będzie brał udziału w „gettowej oficjałce”. Miał przybyć pod Pomnik Bohaterów Getta właśnie 17-go. Ale zablokowali go w Łodzi i nie mógł wyrwać się stamtąd.

Mimo to jednak w wyznaczonym dniu przed godziną 16.00 (była to niedziela) cichy i senny zazwyczaj o tej porze obszar Muranowa znacznie się ożywił. Ludzie z kwiatami ciągnęli z różnych stron. Program nieoficjalnej uroczystości przewidywał na początku złożenie kwiatów pod tablicą na dawnym Umschlagplatzu. Tam już stały gaziki i budy. Krążyły milicyjne patrole. W pobliżu tablicy niebiesko od mundurowych.

Mieliśmy żonkile. Podeszliśmy. Było już kilka osób. Wszyscy wpatrywali się w ponurą, szarą tablicę z napisem.

Do akcji wkroczył porucznik MO, nieduży, czerwonawy, energiczny.

— Proszę się rozejść — powiedział dziarskim głosem dowódcy.

Ludzie milczeli.

Ponowił polecenie.

Pierwszy odezwał się młody człowiek o ostrej, bladej twarzy.

— Stąd pojechała na śmierć cała moja rodzina — powiedział nie patrząc na porucznika.

Porucznik pomyślał chwilę.

— Rozumiem — rzekł — ale złożył już pan kwiatki, więc proszę odejść.

— Odejdę, kiedy zechcę — odparł młody mężczyzna wpatrując się w śmiertelną, betonową tablicę.

Zza jego pleców wysunęła się niska, stara kobieta. Podeszła bliżej. Patrzyła na porucznika ciemnymi z gniewu oczyma.

— Przyszłam tu uczcić pamięć swoich bliskich — głos miała przenikliwy, wibrowało w nim wzburzenie.

— Rozumiem — znów użył tego słowa porucznik — ale uroczystość odbędzie się dopiero 19 kwietnia.

— Nikt mi nie będzie wyznaczał dnia, kiedy mam tu przychodzić — odparła stara kobieta podniesionym głosem.

Porucznik lekko ujął ją pod łokieć.

— Proszę mnie nie dotykać! — poruszyła się gwałtownie.

Porucznik cofnął rękę.

Młodzi milicjanci o rumianych, pyzatyh twarzach wiejskich chłopaków, stali z boku i milczeli.

Porucznik zwrócił się nagle do chłopaka w ortalionowej kurtce, który również zbliżył się do tablicy.

— A wy co tu robicie?

— Modłę się za pomordowanych — odparł rezolutnie chłopak. Złożył dłonie i bezgłośnie zaczął poruszać ustami.

Porucznik był bezradny. Najwyraźniej otrzymał polecenie delikatnej interwencji. Szukał więc nowego konceptu. Na domiar złego po drugiej stronie jezdni stał jakiś cudzoziemiec (Żyd, dziennikarz?) z aparatem fotograficznym i śledził ten spór obywateli z władzą.

Postaliliśmy jeszcze chwilę, po czym ruszyliśmy pod Pomnik. Niebo było czyste, niebieskie. Niebiesko też było na placu — od milicyjnych mundurów.

Cały obszar dawnego getta był obstawiony.

ROZMOWY Z DARKIEM

Zaczęło się od sztampy. Prosił o konsultację. Tak jakoś to wyraził. Jest studentem pierwszego roku polonistyki i pisze pracę seminaryjną o języku złodziejskim. Ponieważ moje pierwsze książki... itd. Nie zapowiadało to spotkanie nic ciekawego.

Tak zaczęła się moja znajomość z Darkiem i szereg rozmów, które prowadziliśmy wieczorami.

Darek mieszkał w Płocku i po maturze zdawał egzaminy wstępne na SGPiS. Nie dostał się na studia. Podjął pracę w bazie PKS jako magazynier LOK-u. Jego zwierzchnikiem był major — moczymorda, który traktował magazyn jako swój prywatny folwark. A już nagminnie naprawiano w bazie jego starą, poobijaną w pijackich rejdach Syrenę. Ten kontakt z pierwszym w życiu przełożonym głęboko zapadł w pamięci niespełna dwiętnastoletniego Darka. Wyraziście kreśli sylwetkę wulgarnego, apodyktycznego oficera, wiecznie zionącego alkoholem i pogrążonego w jakichś interesach dotyczących wyłącznie prywatnych korzyści.

Po pracy Darek wiele czytał i regularnie oglądał premiery w miejscowym teatrze. Nie był to jednak teatr, który potrafił dostarczyć głębokich i trwałych przeżyć artystycznych. Przede wszystkim czytał. Nic jeszcze wtedy nie wiedział o Miłoszu, o Gombrowiczu zaś jedynie z artykułów w krajowej prasie literackiej i mimo usilnych starań, żadnej jego książki nie udało mu się zdobyć. Kiedyś w bibliotece była rzecz tego autora pt. *Ferdynand*, ale zaginęła. O KOR-ze i różnych protestach wobec władzy już wiedział. Nazwisko Kuronia było mu nieobce.

W czasie pamiętnego sierpnia był jednym z tych, którzy w bazie PKS zorganizowali strajk. Z impetu jego zaangażowania można przypuszczać, że porwał go i oczarował nieoczekiwany, masowy zryw społecznego protestu. Stał się jednym z przywódców ruchu w bazie PKS. Był oddany bez reszty sprawie i potrafił to, co myślał, wyrazić słowami. Słuchano go uważnie. Szczupły i wąty chłopiec o bladej twarzy, rzadkich wąsikach i szarych, głęboko osadzonych oczach. Wśród tych wiecznie nieogolonych drabów, kierowców z dalekich tras, fachmanów z warsztatów naprawczych i ordynarnych kierowników musiał dosyć kontrastowo odbijać swoim wyglądem adepta ksiąg i medytacji. Wybrany został do komisji zakładowej „Solidarności”. Sprawdził się jako nieustępliwy rzecznik interesów załogi i twardo, po męsku umiał rozmawiać z dyrekcją.

Majora, szefa LOK-u, też nauczyli pokory. Zazwyczaj, jak już powiedziano, reperował swoją Syrenę w tutejszych warsztatach. Przeferowali rozporządzenie, że wozy prywatne nie mogą wjeżdżać na teren bazy. Akurat Syrena majora tkwiła w kolejnym remoncie. Została więc unieruchomiona. Przerwano reperację. — Chce pan wyjechać, proszę bardzo! — Major miotał się bezsilnie. Darek miał w tym osobistą satysfakcję. Odegrał się za swoje, jak to się mówi.

Wkrótce oddelegowany został do MKS-u w Płocku. MKS

uformował się spontanicznie i odczuwano tam brak ludzi potrafiących porządkować i utrwać słowo mówione na piśmie. Pograżył się więc w wir dziennie-nocnej pracy w Regionie. Tak siedzieli tam dniami i nocami śpiąc na gumowych materacach i żywiąc się suchym prowiantem, zapijany oranzadą. Swoimi działaniami zdobyli sobie mir wśród ludności. Takim sukcesem w pierwszym rządzie było przejęcie WRZZ. Był to okazały gmach i przez kilka tygodni rozmowy z władzami wojewódzkimi nie odnosiły żadnego skutku. Wybrali się tam gromadą. Po prostu wtargnęli do tej martwej instytucji i stanęli przed obliczem wystraszonego przewodniczącego WRZZ w jego obszernym gabinecie wyłożonym dywanami, z palmą w donicy i z podręcznym, kolorowym telewizorem. Opierał się i coś mamrotał. Tak głądził wykrętnie. Oni, ci fikcyjni działacze, zawsze tak potrafili głądzić. Wśród tych z MKS-u był kierowca, mężczyzna olbrzymiego wzrostu, porywczy i groźny. Już słuchając tych gładkich, pustych słów „robotniczego działacza” zaczął niecierpliwie przestępować z nogi na nogę. Nagle zadzwieczał telefon. Przewodniczący WRZZ chwycił za słuchawkę. Ale kierowca-olbrzym energicznie wyrwał mu słuchawkę z dłoni. — Słucham, „Solidarność” — powiedział donośnie. Tam po drugiej stronie linii kłopotliwa cisza. Tak odbyło się przejęcie tego gmachu. Następnie po burzliwych, całonocnych obradach uchwalili przekazanie budynku na rzecz sierot z Domu Dziecka. Dom Dziecka mieścił się dotąd w nędzarskim baraku i od lat trwały bezskuteczne apele o zdobycie funduszu na budowę nowego obiektu dla dzieci. Przeprowadzka dzieci z baraku do luksusowego gmachu dawnej WRZZ była wydarzeniem w mieście. Zyskała powszechną aprobatę. Wzrósł prestiż „Solidarności”. A oni, czyli już MKZ, zajęli ten biedny barak po dzieciach. Darek został pomocnikiem rzecznika prasowego Regionu. Z tym rzecznikiem od początku stosunki nie układały się należycie. Był to dawny dyrektor jakiegoś przedsiębiorstwa o wybujałych dyrektorskich manierach. Choćby taki drobny przykład: oni wszyscy z MKZ-u w swetrach, bluzach, dżinsach, ubrani byle jak, nawet niechlujnie, gdyż często spędzali dni i noce bez możliwości wyrwania się do domu i zmiany bielizny czy ubrania. Rzecznik natomiast zawsze w garniturze, nieskazitelnie biała koszula i krawat odpowiednio dobrany. Odbijał od wszystkich swoim wyglądem i peszył interesantów, którzy wtedy tłumnie walili do MKZ-u w przeróżnych sprawach, od błahych poczynając do najważniejszych. Dyrektor-rzecznik i oddany bez reszty sprawie przez duże S, mały, cherlawy Darek rzadko kiedy zgadzali się ze sobą. Jeszcze ta różnica wieku.

Rzecznik liczył sobie po czterdziestce, a Darek dwadzieścia lat. Dochodziło między nimi do scysji. Raz nawet rzecznik umówił się z ojcem Darka na rozmowę pedagogiczną. Ojciec, mistrz zmianowy w kombinacie, wrócił z roboty i pyta syna: — Co tam narozrabiłeś? Pan magister dzwonił do mnie. — Darek oburzył się i nie pozwolił ojcu iść na to spotkanie. — Jestem dorosły — powiedział — i sam za siebie odpowiadam. — Przeprowadził ze swoim szefem męską rozmowę, ale ten zaczął wykręcać się obłudnie i ciągle właściwie panowało między nimi niedobre napięcie.

Barak, w którym urzędowali, odegrał efektowną rolę podczas wizyty związkowców włoskich. Konferowali w sprawie współpracy z tymi eleganckimi bosami z zachodniego świata i nagle z sufitu chlusnęła na stół woda. W baraku od dawna przeciekał dach i łatali szczeliny własnym przemysłem. Najwyraźniej odskończyła się jakaś szpara i pociekła zgromadzona na dachu woda. Wywołało to mocne wrażenie. Zachodni goście byli wstrząśnięci i wzruszeni. Surowe, pionierskie warunki, w jakich pracują związkowcy polscy, wydały się im niebywałym heroizmem. Sypnęli hojnością, to znaczy obiecali przysłać urządzenia poligraficzne, telexy itp., a nawet zaofiarowali się z załatwieniem dostawy niezwykle istotnego komponentu do produkcji leków w fabryce farmaceutycznej znajdującej się na terenie tego regionu. Tym sposobem akcje „Solidarności” znów podniosły się bardzo wysoko w opinii publicznej. Również dyrekcja owej fabryki (partijna i niechętna temu ruchowi) po prostu ogłupiała z powodu szybkiego załatwienia tej sprawy. Włosi postarali się nader solidnie i niebawem przybyły kontenery z tym ważnym, niezbędnym składnikiem do cennego leku. Toteż przyzwyczajona do żółtego sposobu działania tutejszej biurokracji dyrekcja fabryki patrzyła na tych młodych, niepoważnych działaczy „Solidarności” jak na jakichś magów. No tak. Oni, ci członkowie MKZ-u, rozmaitego wzrostu i wieku, gorące głowy, ubrani jak „margines społeczny”, naiwni w papierkowej robocie, nie mający pojęcia o skomplikowanej strukturze władzy i zależności w socjalizmie... Barbarzyńcy dla tych dyrektorów! I nuworysze. Wtedy już tego rzecznika-dyrektora wśród nich nie było. Zbyt wiele skarg na niego składali ludzie i został zwolniony. Darek odetchnął. W międzyczasie miał z nim jeszcze jeden poważny konflikt. Było to podczas wizyty Adama Michnika w ich mieście. Ściągnął go tutaj Darek. Ludzie przecież bardzo chcieli poznać znanego tylko z reżimowej propagandy groźnego ekstremistę, który wielokrotnie próbował obalić ustrój. Jak on wygląda, co mówi? Ciągłe z tymi

pytaniami stykał się Darek. Mieli w głowach wiele zamieszania i Darek słusznie uznał, że najlepiej będzie ściągnąć tego drapieżnika do miasta. Służbowym wozem, żółtą Zastawą z czerwonym napisem „Solidarność”, który prowadził szofer-olbrzym, znany nam z przejęcia gmachu WRZZ, przywiózł Adama Michnika z Warszawy do Płocka. Tłum krociowy zebrał się w największej sali kombinatu. W pobliżu niewielka salka konferencyjna zajęta była na zebranie ZMS-u z udziałem sekretarza ekonomicznego KW i prezydenta miasta. Frekwencja nieliczna, zebrało się tam około trzydziestu osób i też czekają na swoich gości. Przez pomyłkę sekretarz z prezydentem zawędrowali tam, gdzie ten ogromny tłum słuchał pilnie Adama Michnika. Pełen swady i mądrości wywód prelegenta tak ich wciągnął, że tam już pozostali. Toteż garstka zetemesowców nie doczekała się przybycia dostojnych gości. Pojedynczo przyłączali się do tłumu w auli. Pozostali jedynie członkowie zarządu. Po tym niezwykle udanym spotkaniu Adam Michnik znikł bez śladu. Darek miotał się zdenerwowany wśród ludzi i dopytywał się o gościa. Przecież wkrótce miało się odbyć następne spotkanie w drugiej co do wielkości fabryce. Tam również zebrał się tłum. Darek puścił się na poszukiwania zaginionego prelegenta. Jeździli po mieście i szukali gorączkowo. Wreszcie po długich tarapatkach znaleźli Adama Michnika w gościnie u rzecznika prasowego. Podjął go wystawną kolacją. — Snob — mówi Darek. — Co go obchodziło, że ludzie czekają. — To i inne przyczyny spowodowały, że MKZ zwolnił go z funkcji rzecznika prasowego. Nie umiał po prostu wywiązać się należycie ze swoich obowiązków. Po nocy grudniowej też był internowany. Ale tylko przez siedem dni. Teraz stara się o wyjazd na Zachód. Miał drętwy, biurokratyczny styl pracy i tego nie może mu zapomnieć Darek.

Wracając jeszcze na chwilę do ich żółtej, służbowej Zastawy. Często korzystając z kursu do kombinatu (jeździł tam Darek regularnie z bibułą, gazetami, ulotkami itp.) zatrzymywał się przed swoim dawnym gimnazjum i odwiedzał nauczycielki podrzucając im co ciekawsze książki z „drugiego obiegu” lub gazetki. Kiedyś na dużej pauzie ugościły go kawą. Musiał dać znak z okna kierowcy, żeby się nie denerwował. — Ho, ho! — powiedziała jego dawna wychowawczyni — wóz masz do dyspozycji! — Wy tłumaczył, że tylko korzysta z okazji. Ale i tak jego dawna polonistka, sekretarz partii w gimnazjum, nie omieszkła na zebraniu rady pedagogicznej powiedzieć z sarkazmem, jakie to teraz nastały czasy. Smarkacze rozbijają się służbowymi wozami, marnują cenną benzynę itp. — Czyli — reasumowała demago-

gicznie — jaka to odnowa? Chyba że według przysłowia: zamienił stryjek na siekierkę kijek. — Tak to wrogowie wykorzystywali co się dało, żeby jak najwięcej lat przyczepić nowemu ruchowi społecznemu. Darek skorzystał później z okazji i wytknął tej zaślepionej polonistce, że nigdy słowem nawet nie wspomniała o wielkim polskim poecie, Czesławie Miłoszu. Odparowała ten sztych nader zgrabnie mówiąc, że i dla niej ta literacka nagroda Nobla była wielkim zaskoczeniem.

Powracając do sprawy rzecznika prasowego ich regionu, należy wspomnieć pewien humorystyczny incydent. Przeprowadzali się wtedy z tego baraku po sierotach do innego lokalu i ów rzecznik-dyrektor dźwigał obrotowy fotel z miękkim siedzeniem. Wszyscy podśmiewali się z niego bez pardonu. Być może nawet porządny człowiek, trzeba to podkreślić gwoli sprawiedliwości, nie nadawał się jednak. Dynamizm i spontaniczność tego ruchu przejmowały go raczej niepokojem. Zerwanie ze sztywnymi, biurokratycznymi zwyczajami traktował zgoła jako herezję. A tu naprawdę trzeba było działać z nagłą, często po prostu zdać się na żywioł. Na przykład tu w fabryce potrzeba żywności dla ludzi, jadą do chłopów, przemawiają im do serca i załatwiają pomyślnie dostawę żywności. W zamian za to zdobywają gdzieś w zapomnianych magazynach widły i szpadle tak poszukiwane przez rolników. Tam znów PGR ogłosił likwidację fermy drobiarskiej z powodu braku paszy i oni z regionu postanowili rozsprzedać po niższej cenie te kury ludziom z fabryk. Ustawili wielkie klatki z drobiem pod bramami fabryk i sprzedawali jak baby na jarmarku. Na noc zostawiali klatki z nie rozsprzedanym jeszcze drobiem w korytarzach MKZ-u. Smród, kury gdczą. Darek musiał koszulę wyrzucić na śmietnik, tak mu ją ptaki, za przeproszeniem, obsrały. Fascynowała ta skala spraw od dużych do małych, wielość i zmienność, nieoczekiwane wydarzenia działy się seriami. Jadą do gminy, otrzymali informację o sobiepańskich rządach naczelnika. Oczywiście wybrali się tą słynną, żółtą Zastawą z czerwonym napisem „Solidarność”. Naczelnik z okien swego biura dojrzał zbliżający się samochód wroga i wy-dostawszy się tylnymi drzwiami z lokalu gminy, wsiadł do swojego Fiata i rzucił się do ucieczki. Oni za nim w pościg. Wyglądało to jak scena z amerykańskiego filmu sensacyjnego. Darek z młodzieńczym zapamiętaniem wspomina tę przygodę. Po chwili jednak poważnie i wyjaśnia, że na marginesie tej akcji można wyodrębnić dwa często ścierające się nurty działań w MKZ-cie. Wariaci i realiści. Tak to zjawisko określano. Nalot na gminę uznano za wybryk wariatów. Ta opinia przeważała podczas zebra-

nia zarządu. Należało tak pokierować sprawami, żeby naczelnik osobiście zgłosił się do „Solidarności” i zaczął grzecznie z ręki jeść. Oto realizm właśnie. Był taki tydzień, kiedy wszyscy działacze regionu jeździli organizować wiejską „Solidarność”. Sam Darek zaliczył chyba z pięć zebrań. Te chłopskie zebrania, karteczki z listą kandydatów i dopiski kulfoniastym pismem: „Na Kowalskiego nie będę głosował, bo to świnia i sługus naczelnika”. Albo: „Piotrowski wynosił z GS-u od tyłu całe worki, on jest szwagrem komendanta”.

Była to kipiela życia, obudzonego życia właśnie. Pojawili się nie wiedzieć skąd nowi ludzie, świetni i przypadkowi, bezinteresowni i powodowani egoistycznym interesem lub próżnością, pychą, czy tanim efekciarskim aktorstwem szukającym aplauzu za wszelką cenę. Wspaniałym działaczem był przewodniczący z Fabryki Maszyn Żniwnych. Był to mężczyzna trzydziestoletni, wzrostu bardzo małego, 1,60, chudy i bez zarostu. — Mniejszy ode mnie — podkreśla Darek. Nie posiadał talentu mówcy, raczej milczek, właściwie nie lubił występować publicznie, jeżeli już musiał, to wygłaszał krótkie, rzeczowe komunikaty. Ale miał znakomite pomysły i potrafił walczyć z przeciwnikiem jego własną bronią. Operował biegle przepisami i dokładnie sprawdzonymi informacjami. Stosował metodę faktów nie do odparcia. Na podstawie dokładnego obliczenia rachunków telefonicznych i wykazania wieloletniego przekraczania limitów spowodował na zebraniu załogi wniosek o zablokowaniu PZPR-owi wyjścia na miasto. Można sobie wyobrazić ich wściekłość, skoro nieustannie dzwonili do milicji, SB, KW, a nawet KC.

Był tam u nich w fabryce klub partyjny, świetnie wyposażony w magnetofony, radia i telewizory. Z tego lokalu korzystało nie więcej niż dwudziestu ludzi, tymczasem licząca tysiąc członków „Solidarność” nie miała do swojej dyspozycji żadnej świetlicy. Nastąpiło przejście lokalu w wyniku masówki, gdzie nawet dyrekcja wyraziła zgodę na tę powszechną inicjatywę. Kierownik klubu, stary, tępy partyjniak, „beton”, tak się mówi, jak Rejtan położył się u wejścia na portrecie Lenina, okrywwszy się czerwonym płótnem. — Po moim trupie! — wołał. — Nie wpuszczę kontrrewolucji. — Wynieśli go na tym portrecie na korytarz. Ostrożnie, troskliwie, żeby mu najmniejszej krzywdy nie uczynić.

Darek jest pełen podziwu dla tego małego przewodniczącego z Fabryki Maszyn Żniwnych. Buty nosił na mocno podwyższonym obcasie, kawaler, żył tylko „Solidarnością”. Później w wię-

zieniu oni wszyscy zapuszczali sobie brody, wąsy; on też bardzo chciał, ale nic mu nie wyrosło.

Gdzie indziej, też w dużym zakładzie, wybrany został przewodniczącym facet, który wspaniale przemawiał. Potrafił wzniecić nienawiść i miłość, tak sugestywnie operował słowem, urodzony trybun ludowy. Również zdolny negocjator w trudnych pertraktacjach z władzą. Miał wycucie kiedy iść z nimi na miękko, a kiedy twardo, bez najmniejszych ustępstw. Jednak woda sodowa uderzyła mu do głowy i poczuł się niezastąpiony, „niezastąpialny”, jak to mówił w jednym z wywiadów Wałęsa. Pamięta Darek czas gotowości strajkowej w związku z prowokacją w Bydgoszczy, cała Petrochemia została wtedy obstawiona robotniczą strażą i ruszył ten przewodniczący w obchód kombinatu. Jak on się zachowywał! Niby Napoleon sprawdzający gotowość bojową swej armii. Ledwie dwadzieścia sześć lat i tak z poklepek odnosił się do starych robociarzy trzymających straż na bramach. — No, jak tam chłopcy? Trzymać się! — Bardzo to się nie podobało ludziom. Potem zamarzył sobie, żeby zostać wybranym do Krajowej Komisji i sam sobie kampanię wyborczą organizował na zjeździe w Oliwii. Przepadł w wyborach. — Dobrze się stało — mówi Darek. — Ambicja chorobliwa, aż go roznosiła.

Bywały piękne pomysły i akcje, które się rodziły podczas zbiorowych obrad, każdy dorzucał swoją cegiełkę i powstawała całość. W ramach kampanii ożywiania nieufnych i ciągle uśpionych chłopów pojechali dwaj działacze z MKZ-u do Krosna na wiec tamtejszej „Solidarności”. Chodziło o zdobycie dla wsi kilkudziesięciu traktorów. Tam na wiecu szczególnie zasłużył się ów przewodniczący z chorobliwą ambicją, Napoleon, jak go nazywa Darek.

Sam Darek pracował jak w transie, dzień przeciągał się w noc i to nie miało żadnego znaczenia, zarabiał sześć tysięcy, dwa tysiące matce dawał na życie i reszty forsy nie potrafił wydać, nie miał czasu, tylko książki kupował, te wszystkie wydawnictwa, które popłynęły strumieniem i otwierały ludziom oczy na nieznane dotąd obszary historii. Herling-Grudziński — to było duże przeżycie. Dał matce. Matka, prosta kobieta, pochodzi z dawnych kresów wschodnich. Przeczytała tę książkę jednym tchem i po raz pierwszy zaklęła. — Jakbym przeżywała znów — powiedziała matka po lekturze. Do Darka, który zajmował się kolportażem w regionie, przychodził pewien młody lektor, działacz „Solidarności” z teatru, też namiętny czytelnik. Herlinga już

zabrakło i Darek odstąpił mu własny egzemplarz. Nie bez znaczenia jest to fakt. Zaznacza także, że mierny to był aktor, trzeciorzędny albo i gorzej.

W czasach już ostatnich, po zwolnieniu z internowania, Darek pracował jako ekspedient w sklepie spożywczym. SB taką zaproponowała mu pracę i podjął ją dla świętego spokoju, tym bardziej że miał swoje skryte plany. Otóż po pewnym czasie zapragnął zmienić zatrudnienie, pracować gdzieś bliżej kultury, choćby w magazynie Domu Książki. Wybrał się więc do Urzędu Wojewódzkiego i tam na tabliczce umocowanej na drzwiach gabinetu przeczytał nazwisko urzędnika wydziału kultury. Był nim ten młody aktor, dawniej działacz „Solidarności” i namiętny pożeracz zakazanych książek. Zawrócił od drzwi. Nie chciał z nim rozmawiać.

Internowanie, tak samo jak na wielu innych, spadło na niego w tę noc grudniową. Akurat wrócił z posiedzenia MKZ-u, ledwo coś zjadł, umył się, włożył piżamę... Wtedy właśnie zapukali. Wstał ojciec, wstał mąż siostry. Rzędem wszyscy trzech stali w piżamach przed funkcjonariuszami SB. Tamci pytają: — Który z obywateli nazywa się Dariusz W.? — Wystąpił Darek, najmniejszy z całej trójki, drobny, chudy chłopaczek. Tamci byli zdziwieni. Raczej przygotowani na kogoś o innym wyglądzie. Poszedł z nimi. Tak rozpoczął się następny rozdział jego życia. Długie godziny w komendzie, długa jazda samochodem — zakratowaną więźniarką. Przez szczelinę w ścianie wozu jeden patrzył i informował. Wóz zatrzymał się nagle. — Gdzie my jesteśmy? — pytają wszyscy. — Las, śnieg... nie wiem — odpowiada obserwator. — Las, śnieg — powtórzył ktoś. — Pewnie Palmiry. — Tak sobie dosyć makabrycznie żartowali.

Darek siedział w więzieniu w Mielęcinie. Cały oddział przeznaczono dla internowanych. Starsi czuli się początkowo gorzej niż młodzież. Oni, młodzi, przywykli do życia na obozach, biwakach, stacjach, gdzie jadło się i spało w warunkach prowizorki, tryb więzienny przyjęli bez wstrząsów. Natomiast starsi, przyzwyczajeni do wygodnego rytmu domowego, mający swoje wieloletnie nawyki i upodobania, męczyli się w zamknięciu. Po mału jednak docierali się i nawet jako pierwsi zaczęli operować więziennie-kryminalnym slangiem. To szczególnie uwidoczniło się po tym, jak trzech bracia Z. pierwsi podpisali „lojalkę”. Grypsami i bezpośrednio mówionym słowem wyzywano wiarołomnych braci Z. Starsi właśnie celowali w piętrowych, więziennych obelgach. W tym pierwszym okresie więziennym dokonali schema-

tycznego podziału społeczeństwa na dwie kategorie. Na tych, którzy siedzą, i na tych, którzy są wolni. Pierwsi byli czyści i niezłomni. Druga zaś kategoria cuchnęła im zdradą i kolaboracją. Później, uspokoiwszy się nieco i pozbierawszy do kupy, już nie oceniali ludzi w tak prosty sposób. W każdym razie ich cela, jeśli chodzi o wierność swoim ideałom, była niezłomna. Nikt z nich nie podpisał „lojalki”, a większość w ogóle nie chciała rozmawiać z funkcjonariuszami SB. Starali się zorganizować i uprzyjemnić sobie więzienne życie. Nie dać się beznadziei i stresom. Przygotowywali rozmaite wykłady i Darek też wygłosił prelekcję na tematy literackie. Wydawali tajną gazetkę pod tytułem „Śmierdziel Mielęciński” i ta zabawa stanowiła niezły sposób na nudę.

Darek wiele rozmyślał o tym 15-miesięcznym okresie pod znakiem „Solidarności”. Wspominał tych ludzi, których wtedy poznał, dobrych i złych, bezinteresownych i egoistów, konflikty i zamiary; cały ten kipiący czas. Myślał, co z tego będzie w przyszłości. Informacje zza krat były rozmaite. Raz przeważała nadzieja, a raz znowu pesymizm pokonanych. Na widzenia przychodził do niego ojciec i nawet sugerował niepewnie, żeby podpisał „lojalkę”. Chodzi tylko o wolność. Przecież po wyjściu będzie mógł myśleć i czynić, co chce. Darek jednak stanowczo przeciął rozmowę na ten temat. W celi upodobał sobie szczególnie jednego bardzo twardego faceta, działacza „Solidarności” wiejskiej, bogatego gospodarza na 30 ha, młodego, energicznego człowieka, który stworzył ze swej gospodarki nowoczesną fermę na wzór amerykański. Należał on również do ZSL-u i z więzienia napisał list do swojej partii prosząc o spowodowanie, by go zwolniono. Odpowiedzieli mu nader szybko. Oczywiście, wyjdzie na wolność, jeżeli tylko podpisze co trzeba. Jego odpowiedź na tę propozycję była jednoznaczna. Przed wigilią otrzymał widzenie z żoną, której powiedziano, że mąż wraz z nią opuści więzienie. Wtedy to właśnie po raz drugi podsunęli mu papier do podpisania. — Wolność zależy tylko od męża — powiedzieli żonie. — Podpisz, kochany — załkała żona. — Nie, gnojki! Nic nie podpiszę — odparł twardo kusicielom ten rolnik z charakterem. Wykładał im w celi zasady ekonomiki rolnej. Wszystko miał dobrze w głowie poukładane.

Już na wolności odwiedził go Darek. Gospodarka rzeczywiście imponująca, ciągniki, ciężarówki, przed domem Honda, ale jego towarzyszy więziennej niedoli był jakiś nieswój, apatyczny, nie miał w sobie dawnego ognia. Teraz krąży o nim słuchy, że chce emigrować. Cechowała go wielka pasja do działań spo-

łecznych i może brak ujęcia dla tej pasji skłania go do wyjazdu? Szkoda takiego człowieka.

Darek zwolniony został z „internatu” w maju. Od razu podjął pracę jako ekspedient w sklepie. Duży, wielobranżowy sklep, kilkanaście ekspedientek, pracował w dziale spożywczym, był jedynym mężczyzną między niewiastami. Praca ciężka, trzeba uważać i szybko liczyć. Kierowniczka i ekspedientki traktowały go bardzo życzliwie. Został zaproszony na imieniny kierowniczki i wtedy był w sklepie wielki ochłaj. Darek pił bardzo mało, raczej unika alkoholu, nie lubi, ale pijących też nie potępia za bardzo.

Kiedyś na ulicy spotkał przypadkiem swego zwierzchnika, majora-moczymordę, i ten od razu do niego obcesowo: — No i co? Puścili! Nauczyli cię tam chyba rozumu, nie? — Darek niewiele myśląc również per ty zwrócił się do majora. Tamten jednak w ferworze swego gadulstwa nie zwrócił żadnej uwagi na tę nagłą poufałość dawnego podwładnego.

Po wyjściu na wolność Darkiem opiekowali się trzej funkcjonariusze SB, młodzi, wykształceni ludzie, jeden socjolog, drugi historyk, trzeci psycholog. Psycholog opowiadał mu, że w marcu 1968 także brał udział w demonstracjach studenckich, dostał mocne pałowanie i wtedy zrozumiał. — Co pan rozumiał? — zadał pytanie Darek. — Jak to co? — zdziwił się tamten. W tym zdziwieniu była odpowiedź. Należy stanąć po stronie siły. Samemu być częścią siły. Taka to odpowiedź. Historyk odwiedzał go czasem w domu i książki od niego pożyczał. Historyka najbardziej zainteresował Informator „Solidarności” „Who is who?”. Od razu tam sięgnął do Kuronia i Rulewskiego. — No, proszę — powiedział z przekąsem — kawaler, dwoje dzieci. — Rzecz dotyczyła Rulewskiego. Psycholog z kolei chciał go do swojego domu zaprosić. — Tak towarzysko — proponował — na kawę. — Darek odmówił wymawiając się zmęczeniem po pracy w sklepie.

Rzeczywiście był zmęczony, tyle godzin na nogach, w dodatku trzeba uważać na ludzi, żeby nie kradli, sklep miał charakter samoobsługowy. Pensję płacili mu marną, dwa osiemset, z rekompensatą cztery dwieście, nie zaliczyli mu bowiem dawnej pracy, ani w PKS-ie, ani w MKZ-cie. Mógł się odwoływać, ale nie chciał tracić czasu. Zresztą już miał swoje sekretne plany. Myślał o studiach. W wolnych chwilach przygotowywał się do egzaminów na polonistykę, czytał podręczniki literatury, rozmaite prace historyczne. A kiedy nadszedł właściwy czas, uwinął się

bardzo sprawnie i chytrze. Otrzymał zwolnienie lekarskie na dwa tygodnie z powodu czyraka w pachwinie. Egzaminy na polonistykę zdał z wynikiem dobrym. Jego trzej opiekunowie z SB byli tym faktem zdziwieni, żeby nie powiedzieć zdumieni. Najbardziej dociekliwy z nich próbował podważyć wiarygodność czyraka w pachwinie. Niczego jednak nie mogli mu udowodnić. Po prostu w chorobie zmobilizował się i zdał egzaminy na studia polonistyczne. Rzecz cała była logiczna i bez najmniejszych szczeplin. Wyjechał więc Darek ze swego rodzinnego miasta, zamieszkał w akademiku i studiuje na Uniwersytecie Warszawskim.

Pokój w akademiku zajmują we trzech. Wśród nich Darek czuje się najdojrzalszy. — Przedożrzały jestem wobec nich — tak powiada. Studia nie sprawiają mu trudności. Wiele czyta, ucześnie o kina i teatru. Jest zawsze obecny na każdej godnej zainteresowania premierze w stolicy. Myśli o napisaniu pracy na temat życia internowanych, zwyczajów, języka, całej tej swoistej subkultury, która powstała za kratami. Tylko aparatury naukowej mu jeszcze brak, jak powiada, tych narzędzi socjologicznych i innych. Również samo pisanie sprawia mu trudności. Z oporem składa słowo do słowa. Sporządza notatki. Przygotował już wstępne tytuły rozdziałów: „Modlitwy i Msza Święta”, „Wieczorne rozmowy”, „Organizacja życia dziennego”, „Wykłady, tajne gazetki, koperty, ulotki”, „Widzenia”, „Paczki”, „Stosunek do SB” itp. Na razie pisze pracę seminaryjną o języku złodziejskim, tym dawnym i współczesnym. Studiuje stare słowniki, *Szwargot więzienny* Estreichera z 1904, słownik prof. Ułaszyna i inne. Dojrzały i spokojny człowiek. Jest jasna siła w jego oczach, spokojne skupienie w twarzy, mówi powoli, z namysłem formułując swoje myśli. Można przypuszczać, że teraz zajął się przede wszystkim swoim wykształceniem. Lubi wielogodzinne wysiadanie w ciszy biblioteki uniwersyteckiej, pilnie śledzi nowości wydawnicze, zarówno oficjalne, jak i podziemne; nieustannie poszerza swoje horyzonty. Tak to właśnie po swojemu określili jego opiekunowie z SB, gdy dowiedzieli się nieoczekiwanie, że został studentem polonistyki. — Celowo to zrobiliście? — powiedział jeden z nich. Pytanie pozornie bezsensowne. Przecież wybór kierunku studiów winien wynikać z celowości. Oni jednak rozumowali po swojemu. Celowość oznaczała dla nich osadzenie się w mateczniku stypendium, nieustanne spiskowanie i szykowanie się do wrogiej naszemu ustrojowi ofensywy. — Celowo — odpowiedział Darek. Rzecz to oczywista. Pragnie być człowiekiem wykształconym i światłym, przygotowanym do odpowiedzialnego życia. Połączyć swe bogate

doświadczenie z wiedzą. — Bo tak przecież wiecznie nie będzie — mówi Darek. — Za kilka lat musi nastąpić radykalna zmiana.



Spotkałem się z niewidzianym od kilku lat Jankiem R. Już nie pracuje w milicji. Rencista. Dosłużył się rangi majora i z powodu choroby przeszedł w stan spoczynku. Cieszy się, że rzecz cała sfinalizowała się przed stanem wojennym. Chociaż kiedy wybuchła ta wojna, obawiał się, czy nie powołają go jednak. Przecież potrzebowali ludzi. Czeakał z niepokojem na pukanie do drzwi. Nie powołali. Jest wyraźnie rozluźniony. Jednak trochę blado brzmi jego wyznanie: „Nigdy nie byłem komunistą, tylko policjantem...”. Przecież czyny bardziej się liczą niż poglądy.

Wspomina, jak to kiedyś ratował mnie z opresji. Było to za czasów Gierka. Upiłem się dziko i wdawszy się w jakąś awanturę, wylądowałem w izbie wytrzeźwień. Jola zaniepokojona moim zniknięciem zadzwoniła do Janka R., wtedy już majora. Pomógł po koleżeńsku.

Teraz wyznał, że potem był wezwany do MSW, i tam przepytawali go na okoliczność kontaktu ze mną, czyli trefnym literatem. Powiedział im dobitnie: „Towarzysze, mieszkaliśmy w tej samej dzielnicy, jeden sto metrów od drugiego, razem chodziliśmy na węgry, uczyłem się w szkole jego ojca, razem chodziliśmy pływać na gliniankę i razem też piliśmy pierwsze w życiu wódki... Ja się jego nigdy nie wyprę!”. Podziękowali grzecznie.

Więc umawiamy się z Jankiem R. na wódkę. Chętnie z nim wypiję. Podarowałem mu swojego *Księcia Nocy*. Wszak jego milicyjną specjalnością był resort bandycko-złodziejski, później dopiero sprawy gospodarcze. W rewanżu za *Księcia* wręczył mi trzy butelki wody gruzińskiej „Borżomi”. Miał całą skrzynkę w bagażniku.

Pytał jeszcze, czy chodzą za mną.

— Raczej nie — odpowiedziałem.

Raz tylko widziałem taki nachalny samochód przed domem. I dwaj faceci w środku. Patrzyli na mnie jak koty na mysz.

— Inwigilacja japońska — stwierdza Janek R. — Taka żebyś wiedział, że oni czuwają... Tylko nie dzwoń z domu — na odchodne prosi. — Lepiej z automatu. Przecież na pewno jesteś na podsłuchu.

— Jasne! — przytakuję ze zrozumieniem.



Z powodu choroby kota znów w lecznicy dla zwierząt.

Wpada nagle wściekły milicjant ze swoim psem, niskim i długim, kłapouchym rasowcem.

— Co za naród! — miota się po poczekalni. — Chodzę od okienka do okienka! Wszędzie potrzebne jakieś papierki, skierowania!

— To nie naród — odpowiadam. — To władza wymaga tych papierków. „Co za władza!” — przedrzeźniam go całkiem beczelnie.

— No ale pies chory — mówi.

To ludzki moment. Nalany, ospowaty sierżant i tak gładzi swego kłapoucha.

Odchodzi do kolejnego okienka. Z tyłu jego żona. Też zde nerwowana, ale cicha.

— Dobrze mu pan powiedział — mówi facet z chorym persem w torbie.

— Wszystko mają na talony — wtrąca chudziutki staruszek — oni nie wiedzą, co to kłopoty.

— Powinni mieć swoje lecznice dla zwierząt za żółtymi firankami — dodaje ten z persem.

I wszyscy trzej obserwujemy z satysfakcją bezradnego milicjanta. Zupełnie zapominamy o jego chorym psie.

Właśnie! Wracając do zwierząt. Do zwierząt i ludzi. Coraz więcej na ulicach psów rozmaitej rasy, niezwykle i bardzo pospolitych. Także w parkach tą piękną, wiosenną porą równa ilość ludzi i psów. Tu, w poczekalni, też nieustająca zwierzęca rotacja. Psy i koty. Dziś dzień z kocią przewagą. Jola w związku ze wzrostem zwierzęcej populacji przedstawiła oryginalną teorię. To wojna kładzie swoje piętno. Ludzie uciekają od ludzi. Nie mają do siebie zaufania. Donosicielstwo, podziały nawet w rodzinie. Z kim utrzymać przyjaźń? Do kogo mieć zaufanie? To są pytania. Więc lgną do zwierząt, tych niemych, wiernych przyjaciół. Czule patrzą sobie w oczy. Nie mają wobec siebie żadnych sekretów. To widać na tych cierpienniczych twarzach przed drzwiami do gabinetu zabiegowego. Jak to powiedział pewien polski robotnik, który przeszedł na wcześniejszą rentę: „Ja tam nie chcę już do fabryki! Hoduję stwoiry i jest mi dobrze”.

A w kim ma ten sierżant MO przyjaciela? W tej swojej babie? Tylko w tym kłapouchym psie!

Wieczorem po spotkaniu Janka R., milicyjnego rencisty, rozmowa o rodzajach inwigilacji.

No więc japońska: niech wie, gad, że my czuwamy!

Skoro jest japońska, to może być francuska. Czyli taka żeby obserwowany nic nie wiedział. Ci Francuzi to przecież specjaliści od policji. Jeszcze z czasów Fouchégo.

A wreszcie może być rosyjska. Czyli taka najbardziej wyrażona. Żeby obiekt wiedział i zarazem nie wiedział... Najgorszy stan psychiczny. Wieczne pytanie: obserwują, czy nie obserwują? Tak jest! Taką metodę można nazwać rosyjską.



Z musu spędziłem wczesny ranek na ulicy Marszałkowskiej w pobliżu placu Unii Lubelskiej.

Zajrzałem do pustawej o tej porze „Świtezianki”. Ciemna kiszka przypominająca biurowy korytarz, zakończona dwiema salkami. Przy kieliszku winiaku siedziała starsza kobieta o mądrej, znużonej twarzy. Cerę miała ceglastą. Nieco dalej dwaj mężczyźni z teczkami, szepotali coś, również przy kieliszkach. Urzędnicy, zaopatrzeniowcy z prowincji? Trzech mocno pijanych kolebało się przed barem. Składali się na najtańsze wino. Wyrażnie poranna zaprawka. Zajrzał poszukiwacz piwa. W kącie pan w średnim wieku czytał gazetę i smakowicie pociągał trunek różowego koloru. Kelnerka, starawa, z żyłkami na łydkach, też lekko wionęła alkoholem. Pustka poranna poprzetykana pijącymi. Wyszedłem na ulicę.

Dwaj młodzięcy o wilczych urodach podeszli więziennym, posuwistym krokiem do parkującego na chodniku samochodu. Natrętnie proponowali kierowcy sprzedaż rozrządu. Oczy mieli szklane i głosy bełkotliwe od wypitki.

Przechadzając się jeszcze raz natknąłem się na starszą panią ze „Świtezianki”. Podążała wolnym krokiem emerytki. Zatrzymała się przy następnej kawiarni przed Litewską. Tym razem był to nowoczesny, oszklony bar bez żadnego stylu. Po chwili wahanania weszła do wnętrza. Obserwowałem ją przez szybę. Siada przy stoliku. Podchodzi do niej kelnerka. Krótka rozmowa. Kelnerka do bufetu. Przynosi na tacy kieliszek bursztynowego trunku. Pewnie winiak.

Wkrótce zakończyłem ten spacer. Jednak już cały dzień był taki. Wszędzie widziałem pijanych i podpitych. Przypominałem sobie niedawną rozmowę o moich rodzinnych Włochach. Tam najpopularniejszym trunkiem jest denaturat. Trzysta złotych na

mecie kosztuje flaszką... A już wieczorem lektura *Expressu* i tam informacja o gwałtownej zwyczajnie spożycia alkoholu w 1982 roku. W okolicy Warszawy swoistym zagłębieniem bimbrowniczym jest trójkąt między Wodyniami, Stoczkiem Łukowskim i Mrozami. Trójkąt nazywany przez milicję „bermudzkim”. Pędzą tam wszędzie. W zagajnikach i piwnicach. W blokach nowego osiedla i szpitalnej kotłowni. Wykupując doszczętnie drożdże i cukier. Kradną melasę z cukrowni. Mimo wysokich nagród za wydawanie bimbrarzy, nikt nie chce kapować szafarzy księżycowego trunku.

Naród znów chowa się do piwnicy. Gorzałą cuchnie ta piwnica.



Puk, puk! Dostyc energicznie. O tej porze? Kto to może być? Otworzyłem jednak drzwi.

Krewniak. Marian. Wyjedzona twarz szakala, siwe włosy. Dużo podobieństwa do mojego ojca. Głębokie osadzenie niebieskich oczu, czoło, i nos, te siwe, gęste włosy. Tylko u ojca jasne to wszystko było i dobre w całości. Budziło zaufanie. Natomiast oblicze mego stryjecznego brata mętne, skryte i pogmatwane. Mocno również wytarte. Nawet serdeczny, rodzinny uśmiech nie wygładza tej gmatwaniny, jeszcze bardziej ją skręca. Mapa byle jakiego życia na tej twarzy. Siedział dwa razy, pił i pije, awantury z żoną, z kochanką też awantury, kłopoty w pracy, wieczna pogoń za pieniędzmi, hazard...

Zaprosiłem krewniaka gościnnie. Ale zasiadłem na wszelki wypadek za stołem przy papierach. Takie papiery obronią. Rozłożone brudnopisy, okulary, pióro.

Zdawkowa rozmowa. Zdrowie, rodzina, to, tamto.

— Pewnie przeszkadzam?

Zaprzeczam bez entuzjazmu.

— Pracujesz?

Kiwam głową.

— Co nowego robisz? — rzuca to stereotypowe pytanie i w oczach intensywna rodzinna serdeczność. Spragniony ciepła i kielicha. Chce, żebym odsunął te idiotyczne papiery, otworzył przed nim serce, butelkę.

Nie poddaję się jednak słabości. Pokazuję wymownie na papiery.

— Tworzysz... — raczej stwierdził, niż zapytał.

Częstuję go papierosem. Palimy. Milczymy. Wzdycha.

— No, to nie będę przeszkadzał.

— Ależ skąd! Nie przeszkadzasz. — Równocześnie wstałem. Krewniak też wstał. — Do końca tygodnia powinienem skończyć tę robotę — powiedziałem czując przez chwilę wyrzut sumienia z powodu swej nieczułości — odezwiw się, wpadnij, wypijemy.

Pokiwał skwapliwie głową. Uśmiechnął się serdecznie. Ale oczy miał bez uśmiechu. Pewnie brzydko sobie o mnie pomyślał. Po co wdrapował się na to czwarte piętro. Do takiego niegościnnego skurwysyna. Ścisnęliśmy sobie prawice. Zamknąłem drzwi na klucz i zasuwę.

Jeszcze czas jakiś słyszałem ciężkie kroki Mariana na schodach. Niewiele mnie z nim łączy. Kiedyś była tylko wódka właściwie. Dopóki żył ojciec, to wszystko bardziej było żywe, autentyczne. Co roku jeździliśmy w rodzinny objazd. Teraz pozostała konwencjonalna, zdawkowa wymiana życzeń na święta i imieniny.

Jeśli by znów ktoś zapukał, postanowiłem nie odzywać się wcale.



Wydano we Francji moją książkę o polskiej wojnie. Bardzo się ucieszyłem. Pierwsza moja książka po francusku. Ponadto zależy mi na tym, żeby tę książkę czytano szerzej, w innych językach. Żeby nie pozostała tylko w polszczyźnie. Toteż ogładam swoje dzieło z wielką przyjemnością. Lakierowana okładka, papier, druk! Dużo lepsza od gazetowej bity naszych książek. Ale równocześnie pewien przykry osąd. Na okładce napisano, że byłem internowany. Reklamowy chwyt? Pomyłka? Przecież wysłałem im swój życiorys. Sami to wymyślili? Dlaczego? Postanowiłem wysłać list do *Expressu*. Tam zamieszczona została obszerna recenzja i jedno opowiadanie z książki. List jest treści następującej:

„Szanowny Panie Redaktorze,

Z satysfakcją zobaczyłem swoją wydaną w przekładzie francuskim książkę pt. Raport o stanie wojennym. Na okładce ku mojemu zaskoczeniu przeczytałem, że zostałem zaliczony do wielotysięcznego w Polsce grona internowanych. Nie byłem jednak internowany. Czyżby ten, kto napisał ów reklamowy tekst o autorze, mniemał, że tylko Polacy, którzy byli internowani, godni

są zainteresowania? Moim zdaniem tak dalece nie należy upraszczać obrazu społeczeństwa w Polsce.

Będę wdzięczny, jeśli Pan, Panie Redaktorze, zechce to wyjaśnienie opublikować na łamach swego pisma”.



Przyszedłem za późno. Chory z pokoju 435 znał Stefana. Razem leżeli. Ale wczoraj rano już go przenieśli. Gorzej się poczuł. Ten młody człowiek w piżamie zaprowadził mnie do pokoju 405.

Stefan leżał samotny. Separatka. Tak tutaj mówią. Za oknem czwartego piętra Oddziału Chirurgii Wewnętrznej słońce, pogodne niebo. W separacie Stefan.

Już nieobecny. Ślepe ruchy prawej ręki. Lewa przymocowana pasem do łóżka i połączona z kroplówką. Żółta, wyschnięta twarz, biała brodka, chude też żółte piersi. Pochyliłem się nad nim. Oczy miał otwarte, ale niewidzące. Uciekające źrenice, pusta powierzchnia oka. Razem staliśmy nad nim. Ja i ten chory w piżamie, przewodnik.

— Co? — zapytał z niepokojem. — Chyba z nim niedobrze?

Kiwnąłem głową. W tej separacie była śmierć. A ja miałem dla niego papierosy. Lubił palić mocne papierosy. Miałem też lekturę, kilka podziemnych pism, podziemną książkę. Zawsze się tym interesował.

Na parapecie okiennym stała napoczęta butelka „Caberneta”. Zdziwiłem się. Czyżby lekarz pozwolił mu pić wino? Po chwili do separatki zajrzała pielęgniarka i też zdziwiła się na widok butelki.

— Kto to przyniósł? — zapytała surowo.

— Już tu stała — odpowiedziałem.

Patrzyła jeszcze na chorego i zaraz wyszła.

Przy łóżku oparta o ścianę teczka Stefana. Stara, skórzana teczka. Dojeżdżał z Milanówka i zawsze miał ze sobą tę teczkę.

Wyszliśmy z separatki. Temu w piżamie życzyłem zdrowia. Czekąca go operacja wrzodu dwunastnicy.

Zjechałem windą na parter.

Gorący, wiosenny dzień. Do przystanku podjechał tramwaj. Pobiegłem. Za mną kilka dziewczyn. W ostatnim momencie wskoczyliśmy do wagonu i automatyczne drzwi zamknęły się z sykiem. Te trzy dziewczyny to były pielęgniarki z ранego dyżuru. Wesołe, roześmiane dziewczyny. Jedna z nich jak posąg,

wysoka i rosła, bardzo mocne nogi, rumiana twarz i brwi czarno zrosnione nad nosem. Rozmawiały o swoich mężach. Mąż jednej z nich wrócił pijany nocą. Zrobiła mu awanturę. Uderzyła nawet. Był jak trusia. Bardzo się śmiały. Następnie usłyszałem o Paulince. Podczas prywatki Paulinka będzie u babki. — Niech wie, że ma wnusie — powiedziała ta rosła, posągowa. — Znów się śmiały. — Na pochod idziecie? — zapytała z natarczywą kpina ta trzecia, odwrócona tyłem. — Zależy na który — odpowiedziała posągowa ze zrosniętymi brwiami; energicznie zarzuciła nogę na nogę. Mocne, zgrabne łydki. I tak śmiały się cały czas z byle powodu.

Myślałem o Stefanie. Przyjechałem za późno. Myślałem o śmierci, która wypełniała białą, szpitalną separatkę. Równocześnie patrzyłem ukradkiem na młode pielęgniarki. Szczególnie na tę rosłą, z pięknymi, mocnymi nogami. Była samą siłą życia. Patrzyłem na nią głodnym wzrokiem. Odganiała śmierć.

Wszystkie trzy wysiadły przy Dworcu Centralnym.



Wzburzenie mojej siostry z powodu tej sprawy.

Nasza matka od dawna walczyła z kasztanem rosnącym w sąsiedztwie. Rzuca cię na fasolę przy płocie. Cię odbiera ziemi urodzaj. Co roku też mówiła starej właścicielce sąsiedniej posesji o tym kasztanie. Ta kobieta, teraz dziewięćdziesięciodziesięcioletnia, a więc o dziesięć lat starsza od matki, podlewała mu korzenie wapnem czy czymś równie trującym. Ale kasztan odznaczał się niebywałą żywotnością i nie dawał się zamordować. Był naprawdę ładny, stare, rozłożyste drzewo. W porze pęknięcia kolczastych skorup spadały na naszą stronę piękne, połyskliwe kasztany. Ponadto zasłaniał brzydką, byle jaką zabudowę w sąsiedztwie.

W tym roku akcja eksterminacji udała się wreszcie. Jesienią coś tam podlano w głąb ziemi do samych korzeni, odpłowano grube konary. I kasztan już nie zazielenił się tej wiosny. Nagi kikut. Umiera. Matka zachwycona. — No, udało się! — powiada. — Nie będzie rzucał cienia na zagonki.

Moja siostra w dwójnasób poruszona tym epizodem. — Zamordowała to drzewo! Namówiła drugą staruszkę i razem zamordowały. Takie sklerotyczne staruszki mordują bezkarnie i dopiero są zadowolone!

Zbliża się matka. Urywamy rozmowę.

SMAKOSZ

T. przyjeżdża z Wałbrzycha po książki. Mają tam małą poligrafie, lecz książek jeszcze nie potrafią wydawać. T. jest nękany nieustannie przez bezpiekę. Chcą go wypchnąć z kraju. Podczas internowania obiecywali wolność, jeżeli tylko wyjedzie. Po zwolnieniu z więzienia też wzywali go do siebie i ta sama śpiewka. Wytykają mu niemieckie pochodzenie. W lokalnej prasie gadzinowej pisano o nim obficie smakując jego starogermkańskie imię, imię ojca, nazwisko. Mimo to T. jest jak skała. Ani myśli ruszyć się stąd. — Niech oni wyjadą — powiada dziarsko.

Więc przyjeżdża T. z tego Wałbrzycha i od razu pyta o literaturę. Warto mu dawać. Jak on te podziemne książeczki ogląda! To cała celebra. Wpierw chowa te małe broszury w swoich wielkich dłoniach. Z T. kawał chłopca. Postura drwala. Tak znikają te książeczki w jego dłoni jak w muszli. Grzeje książkę swoim ciepłem. Delikatnie zamyka dłoń. Potem ocieploną wydobywa ze schowka dłoni. Ogląda. Bada druk, jakość papieru, format, okładkę, spis rozdziałów. Następnie kartkuje powoli. Przerywa na chwilę, żeby znów dotykem ogarnąć książkę. Rozpoczyna czytanie sondujące. Z początku, od środka, na końcu. Taką metodą. Pochyla nisko głowę, jest krótkowidzem, nosi grube okulary — zaczyna smakować wzrokiem. Wdziera się w głąb książki.

Siedzę z boku i patrzę na ten rytuał. Wreszcie następuje finał. Jeżeli książka zostanie mu podarowana, to wtedy po tych długich pieszczotach chowa ją do swej przepastnej torby lub za pasek spodni na grzbiecie. A jeżeli tylko do przejrzenia na miejscu, to rozstaje się z trudem. Jeszcze ogląda, jeszcze gładzi, jeszcze chowa w dłoni, nim pokona opór i pozbędzie się książki z zasięgu dotyku i wzroku.

ZYGMUNT

Na tym ostatecznie stanęło. Będzie kopał Zygmunt. Początkowo matka ugadywała jednego robotnika z kościelnej budowy. Chciał dwa tysiące złotych. Obiecał przy tym okopać drzewka i rozrzucić kurzy nawóz. Matka miała nadzieję, że opuści do tysiąca pięciuset.

Tak o tym mówiliśmy. Matka wsparta o grabie, ja o szpadel. A tu nagle pojawił się Zygmunt. Wybierał się do domów Centrum po zakupy. Zajmuje się ostatnio wystawianiem w kolejkach po atrakcyjne artykuły pierwszej potrzeby, a następnie ich sprzedają po większej cenie. I sam Zygmunt wyraził ochotę na skopanie ogródka.

— Za ile? — zapytała matka.

— Jak dla pani... tysiąc dwieście — odparł Zygmunt.

To matkę zaskoczyło. Zygmunt jest bardzo drogi. Tymczasem chciał taniej od kościelnego robotnika. Jeszcze tak mimochodem nadmienił, że ten kościelny robotnik ma kłopoty. Ukradł grzejniki z kościelnej budowy. Kradzież wydała się i musi spłacać po dwa tysiące ze swojej tygodniówki. Ta informacja o nieuczciwym robotniku jeszcze bardziej przekonała matkę. Zgodziliśmy się na Zygmunta. Tylko jedną matkę miała wątpliwość. Być może Zygmunt zastawił pułapkę. Po robocie będzie chciał więcej. Postanowiliśmy nie ugiąć się pod zwykłymi żądaniami Zygmunta. Pozostała kwestia kurzego nawozu. Tamten obiecywał przywieźć i rozrzucić. Zygmunt wyraził negatywną opinię o kurzym nawozie. Pali glebę i nie nadaje się bezpośrednio pod wiosenne zasiewy. Tylko rozrzucony i przykopany jesienią. Tu zresztą gleba była nawożona w tamtym roku. Zbyt duża obfitość nawozu wcale nie jest wskazana. Wspólnie z Zygmuntem przekonaliśmy matkę. Na tym stanęło.

Następnego dnia rankiem Zygmunt wziął się za łopatę. Przy kopaniu gawędził. Matka obserwowała bacznie jego pracę. Zygmunt już w tamtym roku oświadczył, że jest jednym z najlepszych kopaczy w kraju. On i drugi z Radomia. Dziś wywodził dosyć ciekawie o arkanach sztuki kopania, rodzajach szpadli, głębokości na pół lub na cały, sposobie odwalania skopanych skib, niwelowaniu nierówności terenu. Matka cichaczem wyraziła swoje uznanie.

— Rzeczywiście, solidnie kopie.

Zygmunt wspominał również o pewnej pani z MHZ-u, której ostatnio skopał działkę pod Nieporętem. Zawiozła go tam samochodem, karmiła z zagranicznych puszek i zapłaciła dwa tysiące pięćset złotych dniówki. Działka była o połowę mniejsza od naszej. Matka poczuła niepokój. Czy Zygmunt nie rozpoczyna kreciej działalności w stronę podwyżki? Zygmunt ciągnął dalej. Tam grunt był bardzo ciężki, zachwaszczony i od lat nie orany. Matka odetchnęła z ulgą. W trakcie tego wątku rzucił kilka fachowych uwag na temat siania, sadzenia, nawożenia itp. Matka przyznawała mu rację. Nawet na szczepieniu drzewek owoco-

wych znał się świetnie. W ogóle matka traktowała go z coraz większym szacunkiem z powodu jakości kopania (od razu po kawałku grabił pięknie) i wiedzy ogrodniczej.

Zygmunt sięgnął do czasów odległych i wyjaśnił, skąd się wzięło to jego doświadczenie. Przecież kiedyś nie miał o tym zielonego pojęcia. Nawet krowy nie widział. A później jeździł sobie na krowie jak kowboj. Otóż tego wszystkiego nauczył się na robotach w Niemczech. Przez całą wojnę pracował u baora. Baor był porządnym człowiekiem, tylko bardzo wymagającym. Gospodarstwo posiadał stuhektarowe, pszenica i buraki cukrowe. Pracował tam Zygmunt, dwoje Ukraińców, brat i siostra, oraz dwie Rosjanki, stara i młoda. Ta młoda na imię miała Tamara, pochodziła z Witebska. Okropnie zezowała i Zygmunt zawsze z niej żartował: — Tamara, gdzie się patrzysz? Patrz się na mnie! — Zona baora smacznie gotowała, i był jeszcze syn małoletni, raczej już zatrute, hitlerowskie nasienie. Knaip we wsi było cztery i początkowo niewolnik mógł sobie wypić w każdym karczmie trzy kieliszki wódki i piwo. Z tego rachunku wynikało, że Zygmunt wypijał dwanaście kieliszków wódki i cztery piwa.

— No i głowa już była na gumce — powiedział.

Kopał równo, spokojnie, nie dyszał i pocił się umiarkowanie. Gawędził nieustannie.

Później zabroniono im, niewolnikom, przebywania w knajpach. Wtedy zaczęli pędzić samogon z buraków cukrowych. Nauczyli ich szybkiego pędzenia okowity niewolnicy rosyjscy, których było pełno w okolicy. Szczęśliwym przypadkiem zdobyli również niemiecki, biały denaturat. Całą blaszaną beczkę wypili!

Nieźle tam na robotach działał się Zygmuntowi, popijał, jedzenie obfite i smaczne, i z wielu aluzji wynikało, że potrzeby erotyczne zaspokajają z zezowatą Tamarą. Wyzwolili ich Amerykanie i tego pierwszego czy drugiego dnia wolności rozeszła się wiadomość, że na bocznicę w miasteczku stoi pociąg składający się z kilku cystern czystego spirytusu. Runęli do tego wodopoju niewolnicy w promieniu kilkunastu kilometrów, najwięcej Ruskich. Zygmunt miał do pokonania dosyć znaczną odległość i przybył tam jako jeden z ostatnich. To go uratowało. Były cysterny, owszem, a z dwóch stron toru leżały pokotem setki trupów. To był spirytus metylowy. Nawet Rosjanie tej trucizny nie wytrzymali. A oni przecież mają pancerne żołądki. Taką ma o nich opinię Zygmunt i jako dowód przytacza opowieść o grzybobraniu w niemieckiej niewoli. Poszedł z Ruskimi do lasu i oni zbierali wszystkie grzyby, najwięcej trujących. Potem w oborze udusili te grzyby z cebulką w parniku i pili samogon.

Zygmunt przypuszczał, że rano będą gotowi do piachu. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Wstali rzeźcy, uśmiechnięci, gotowi chlać aborotno.

— Taki naród — rzekł Zygmunt.

Przerwał pracę i udał się do domu. Córka leży chora na grype i jako przyzwyczajony ojciec musi napalić w piecu oraz przygotować jej posiłek. Matka zaniepokoiła się, czy wróci w ogóle. Kto go wie? Zostawi rozbabrany ogródek i szukaj wiatru w polu. Zygmunt wrócił po godzinie i znów dziarsko zabrał się do kopania. Nadal gawędził. Tym razem o latach przedwojennych. Wychował się w niewielkim, podwarszawskim miasteczku. Ojciec pracował jako cieśla czy blacharz. Było ich dwunastu synów. Czyli jak dwunastu apostołów, a na czele ojciec niby Jezus Chrystus. Tak się wyraził Zygmunt. Życie było ciężkie i Zygmunt dosyć wcześniej zapoznał się z marksistowską literaturą. *Kapitał* też przeglądał. Przede wszystkim jednak dużo broszur. Zapisał się do OMTUR-u. Na wiecie w miasteczku kilka razy przyjeżdżał poseł Dubois. Miał gadane. Tak ocenia go Zygmunt. Jego wygląd też zapamiętał. Następnie mówi o Leninie i Trockim. Oni zrobili w Rosji rewolucję. Obaj Żydzi. Bejlisy. Powtarza z naciskiem. Trocki znał dwadzieścia cztery języki. Pożarli się między sobą o władzę i Trocki musiał uciekać. Potem już w Meksyku opisał zbrodnie Lenina i Stalina. Tam też w Meksyku dosięgła go zemsta NKWD.

— Zarezal — mówi Zygmunt.

Odcinek przy alejce był trudniejszy do kopania. W ziemi dużo odłamków cegieł. To z sąsiedztwa, kiedy tam budowano dom. Pokonując opór cegieł Zygmunt przestał mówić. Sapał nawet wdzierając się w najeżoną cegłą ziemię. Wykopane ułamki cegieł rzucił w jedno miejsce. Zebrał się tych cegieł spory kopczyk. Zygmunt spociał się, przerwał na chwilę kopanie i chustką wytarł twarz. Wyznał, że też jak córka jest przeziębiony. Ale nie kładzie się do łóżka. Nigdy się nie kładł. Tylko pije na noc herbatę z sokiem malinowym. Pas ciężkiej ziemi skończył się wreszcie i Zygmunt powiedział nam, że ma propozycję pracy u księdza na budowie kościoła w charakterze nocnego stróża. Sam proboszcz do niego się zwrócił. Proponował dziesięć tysięcy za miesiąc. Zygmunt upiera się przy jedenastu, a zimą, ze względu na gorsze warunki, przy dwunastu. — Zwracam się do pana jako do parafianina — próbował proboszcz skłonić go do ustępstw. Zygmunt mu na to: — Tu nie ma co tak mówić. Tu mówi najemca do najemnika. — Proboszcz, który jest zakon-

nikiem, musi się zwrócić w tej sprawie do swego prowincjała w Krakowie.

— Zgodzą się — twierdzi Zygmunt. — Odkąd przestałem być kościelnym ciecim, mieli siedem kradzieży!

Na tym skończyło się dzisiejsze kopanie. Jutro skopie Zygmunt ten kawałek od jabłoni do ulicy. Matka była bardzo zadowolona. Jeszcze dzisiaj wytyczy zagonki pod cebulę i pietruszkę. A już przy furtce Zygmunt zapytał mnie, czy wybieram się na 1-go Maja. Jego syn, Janek, wybiera się, także żona, która była aktywistką „Solidarności”. Obawia się Zygmunt, żeby coś im się nie przytrafiło.

— Ale czy utrzymasz takich napalonych w domu? — zadał retoryczne pytanie. Sam sobie odpowiedział: — Nie da rady!



Te dni były tak przyjemne, wiosenne, a jednak niepokój nieprzerwanie kołatał w okolicy serca. Myślałem o Stefanie. W pamięci pozostała wizyta w szpitalnej separacie. Widok człowieka tuż przed odlotem. I w te piękne, słoneczne dni śmierć oblażyła mnie swą trupią zimnicą.

Dopiero 1-go Maja poczułem się lepiej. Już od rana z ulicy dochodziło niezwykle ożywienie. Ludzie ciągnęli w stronę katedry. Też wyszedłem z domu.

Cała Starówka została zaryglowana przez ZOMO, armatki wodne, budy i suki. Wyglądała jak jedna wielka pułapka. Ale ludzie przyszedli tu wcześniej i Świętojańską oraz Rynek wypełniał tłum, ozdobiony chorągiewkami i transparentami z zakazanym słowem „Solidarność”. Potem zaatakowali od placu Zamkowego. Poszły w ruch armatki wodne. Strumieniami wody koloru niebieskiego polewali ludzi. Ta farbowana woda nie brudziła wcale ubrań. Wysychała bez śladu. Widocznie słaba farba. Więc ten dyngus rozpoczął się od placu Zamkowego. Ludzka rzeka popłynęła do Barbakanu. Z Barbakanu w dół Mostową. Stałem na zboczu i obserwowałem pochód. Był to wielotysięczny tłum, wypełniał Mostową, parking i zielony obszar nadwiślańskiej rekreacji wokół sadzawki. Bardzo krzepiący widok. Masa ludzi. Poczucie siły i jedności w tej masie. Wszyscy weseli, pogodni. Uśmiechali się i żartowali. Żadna tam posępna, desperacka demonstracja ludzi doprowadzonych do ostateczności. Tym z pochodu daleko jeszcze do ostateczności. Raczej nastrój festynu, święta pracy właśnie.

Nad tłumem krążył helikopter. Uparcie towarzyszył ludziom.

Najwyraźniej kierował akcją milicyjną na ziemi. Ludzie wznosili ręce i machali chorągiewkami do tej zielonej, czujnej wałki.

Na murach Barbakanu pokazują się już rycerze spod znaku ZOMO, osłonięci tarczami, uzbrojeni w pałki. Inni niż w tamtym roku. Ci z tamtego roku odznaczeni się wyglądem oprychów, drapieżnych szczurów marginesu społecznego, okrutnych i zdeprowanych. Ci natomiast to zapewne świeży narybek, rumiane twarze wiejskich chłopaków, raczej łagodne i niepewne, ani śladu w nich złej zawziętości czy narkotycznego transu. — Chodźcie z nami! — wołają do nich ludzie z dołu. Tylko kilka kamieni poleciało tam na mur. Odbili tarczami. I ktoś cisnął butelkę po winie. — Nie rzucać! Spokój! — rozległy się groźne głosy. Zduszono w zarodku rodzącą się agresję. Ci zomowcy wsparci o czerwone mury Barbakanu uśmiechają się. Jakby życzliwie. Dwóch podnosi do góry dłonie. Palce składają się w literę V. Używają więc tego symbolu „niepolskiej” litery, której „nie ma w naszym alfabecie”, jak powiedział generał Jaruzelski. Czyżby drwili, parodiowali? A może poważnie? Nie boją się swoich towarzyszy? Oni przecież donoszą dowódcom; mogą mieć kłopoty.

Płyniemy dołem nad Wisłą. Autostradą i trawnikiem. Naprawdę nastrój festynu. Żarty i śmiechy. Mijamy klomb pełen kwitnących tulipanów. Na skraju ogrodu czuwa stara kobieta o ostrej, surowej twarzy. Strzeże kwiatów. — Nie tędy! — mówi krótko jakby rzuciła komendę. — Tu są kwiaty. — I wszyscy: starzy, młodzi, zapalcywi, spokojni respektują jej polecenie, omijają klomb. Ani jeden kwiat nie został zdeptany.

Od strony mostu Gdańskiego zakłębiło się naraz. Szarża milicji konnej na czoło pochodu. Następnie z bud, które ulicą Sanguszką zajechały do Wisłostrady, wysypali się zomowcy. Tyralierą ruszyli na pochód. Również ci z murów Starówki pędzą do ataku. Tłum rozprasza się. Ludzie biegną w stronę Wisły. Inni wspinają się na skarpe Nowego Miasta. Bardziej nerwowi przesadzają mur otaczający dziedziniec kościoła Najświętszej Marii Panny. Za nimi skaczą zomowcy. Okrzyki. Głosy komend z megafonów. Kłębowisko na zielonej murawie jest bardzo kolorowe. Przypomina malowidło Breughela. Miniaturowe, ruchliwe mrowie.

Wreszcie też rzuciłem się do ucieczki. Za plecami niebezpiecznie blisko ława rycerzy z pałkami i plastikowymi tarczami.

I tak spędziłem czas do godziny 13-tej. Jeszcze brałem udział w drugim pochodzie. Uformował się od Krakowskiego Przed-

mieścia i spłynął w dół ulicą Bednarską. Mniejszy od poprzedniego. Ale na pewno też kilkutyśięczny. Szliśmy Browarną. Zaatakowali nas od Obożnej i Karowej. Wzięli w dwa ognie. Znów wspinaczka na zbocze pod mury Uniwersytetu. Różnymi sposobami ratowali się ludzie. Uciekali. Rozsiadali się na ławkach i trawnikach imitując spokojny, niedzielny wypoczynek. Lub gromadzili się przy przystankach autobusowych. Zomowcy raczej ich omijali. Nie wiedzieli, jak odnosić się do takich pozorantów. Chociaż mieli w tłumie swoich ludzi. Tajnych. Widziałem, jak niewinny z wyglądu młodzianek podbiega do grupki mundurowych. Coś mówi, pokazuje za siebie. Popędzili we wskazanym kierunku. Dopadli brodatego osobnika. Ciągną go do suki. Mieli w tłumie swoich ludzi. Prowokatorów, obserwatorów.

Przedostałem się na Krakowskie Przedmieście. Legitymowali mnie dwa razy. Tłumaczyłem, że podążam do domu. Puszczali.

Wszystkie uliczki prowadzące na plac Zwycięstwa i Teatralny — zablokowane szczerlnie kordonami ZOMO i militarnym sprzętem. Tam przez place pod ochroną przetaczał się oficjalny pochód. Krakowskie Przedmieście opustoszało. Krążyły patrole i przepędzali ludzi, szczególnie młodzież. Wprowadzili dosyć perfidne unowocześnienie. Otoczyli plac przy kościele św. Anny, tam gdzie znajduje się kwietny krzyż. W ten sposób to miejsce niedostępne było dla ludzi do nocy. Przy krzyżu „modlili się” zomowcy. Błyszczały ich hełmy, tarcze, białe pałki.

Później jeszcze widziałem ludzi powracających z oficjalnego pochodu. Przeważali brzuchaci mężczyźni w średnim wieku, ubrani w garnitury; trzymali w dłoniach czerwone chorągiewki, klapy marynarek ozdobione mieli czerwonymi kokardami. Zabawiłem się w swoisty test odporności. Patrzyłem na niektórych natarczywym spojrzeniem wyrażającym obrzydzenie. Pod ciężarem tego spojrzenia stawali się niespokojni. Nerwowo zwijali w palcach chorągiewki. A pewien osobnik ozdobiony kokardą wszedł do bramy i wyszedł stamtąd już bez tej ozdoby. Ulga w ruchach. Stał się lekki i swobodny.

Na sam koniec tej lustracji pewne zaskoczenie. Idą trzej otyli w garniturach, też z pochodu.

— O, Urban! — powiedziałem i szybko odskoczyłem wzrokiem od okrągłej jak księżyc twarzy rzeczownika prasowego rządu, Jerzego Urbana.

Jola nie zdążyła jednak wykonać podobnego manewru oczywiście. Ukłonił się jej z uprzejmym uśmiechem. Musiała odpowiedzieć tym samym. Nie mogła sobie tego darować.

Wracaliśmy do domu. Zmęczeni, nagrzani słońcem i zadowoleni.

Tak musi być. Umarł Stefan. Życie toczy się dalej. Jestem pewien, że dziś było po jego myśli. Też znalazłby się tutaj w tym tłumie.

Warszawa, to szare, brzydkie miasto urzędów, ministerstw, komend i więzień, urzędników, partyjnej nomenklatury, konformistów i kapusiów; miała dziś inną twarz, wesołą, kpiarską i niepokodzoną. Dobry dzień.



3-go Maja dopiero miasto obstawili! Niebiesko od mundurów i brudna zieleń wozów opancerzonych, suk, bud, wszelkiego policyjnego asortymentu. My, ludzie, poruszamy się jak w saku. Zewsząd czają się i patrzą „Oni”.

Długim korowodem, parami, ciągnie wycieczka dzieciaków z prowincji. W sam raz się wybrali. Prowadzi to stado nauczyciel, młody człowiek z rzadką bródką. Już podpadł! Dopada go zomowiec. Byk rozłożysty, leniwie rozprężony i wyzywający. Na oczach dzieci legitymuje ich wychowawcę. Skrupulatnie sprawdza dowód. Oddaje. Jego spojrzenie pada na klapy marynarki nauczyciela. Tam znaczek malutki z orzełkiem. Nie pomogły wyjaśnienia. Dosyć gwałtownie zerwał z klapy i zabrał. Był to znaczek Uniwersytetu Jagiellońskiego. Absolwenci tej starej Alma Mater lubią nosić te niewielkie plakietki, upamiętniające studenckie lata. Dzieciaki jak owczarnia skupione przy nauczycielu. On bez znaczka. Zomowiec odchodzi. Dobra lekcja pedagogiki. Kto tu wychowawcą? Przecież nie ten nauczyciel, chudziak brodaty. Zomowiec pedagogiem? Drab w polowym stroju, obwieszony swoim arsenałem w postaci pałki, pistoletu i nadajnika. Na nim się macie, dziatki kochane, wzorować! Od niego uczyć!

Łoskot, zgrzyt. Kolejna kolumna wozów bojowych przejeżdża ulicą. Jest na co patrzeć. Oczy ludzi są czytelne. Dużo w nich płonie ciemnej nienawiści.

A wieczorem popatrzymy w telewizor i posłuchamy relacji o uroczystym dniu pojednania narodowego, kultu szczytnych tradycji, i dowiemy się jeszcze wielu budujących rzeczy.

Czasem zgrzytam zębami, nienawiść łuną zalewa oczy. Wyobraźnia syci się obrazami zemsty. To konieczne oczyszczenie. Pohulam, porezam niby hajdamak, jednego czy drugiego z tych tłustych przedstawicieli nomenklatury sobie upatrzę na ofiarę...

I przychodzi spokój. Odprawiłem swój kwadrans nienawiści jak u Orwella. Tylko w imię dobrej sprawy. Tym się pocieszam zawstydzony nieco ciemną, zażartą namiętnością, która bulgotała we mnie przed chwilą.

◆

Przeziębienie, niestety. Pierwszy maja gorący, drugi deszczowy, chłodny. No i trzeciego po południu położyłem się do łóżka. Dreszcze, bóle mięśni. Ale życie z ulicy dociera nieustannie. Mieszkamy w pobliżu Starego Miasta, siedziby Prymasa, św. Anny. Jest to wypróbowany szlak wydarzeń stanu wojennego.

Dziś dźwiękowo rejestrowaliśmy od 14-tej. Co raz Jola wypadała na balkon i stamtąd komunikat: — Jadą, siedem bud, dwa wozy pancerne, suki... Skręcili w Podwale. — I znów: — Jadą, dziesięć bud, dwie armatki wodne... pojechali Miodową. — Dopiero około 21-ej pierwszy komunikat odmiennej treści: — Odjeżdżają! Pojechali Bonifraterską w kierunku Żoliborza. — Oznaczać to mogło jedynie, że skończyła się msza w katedrze św. Jana i tłum rozplątał się już. Tylko co tam się działo? Szarżowali, bili, polewali wodą? Ilu zatrzymali?

Tak rozpoczyna się noc. O tym, co działo się po mszy, dowiemy się jutro.

◆

Jest czwarty maja, godzina 9-ta rano. Stare Miasto odryglowane zupełnie. Ani śladu ZOMO, nawet brak zwykłych milicjantów. Na Rynku idylliczny, wiosenny nastrój. Kwiaciarki układają kwiaty w dzbanach. Waluciarze jak leniwe kocury gromadzą się przed kawiarnią. Już skądś dochodzi solenne rzępolenie cygańskiej orkiestry. Emeryci grzeją się na ławkach. Wybieczka z prowincji. Stary przewodnik PTTK, orator, wywodzi o historycznych kamieniczkach pamiętających czasy Insurekcji Kościuszkowskiej. W miejscu najbardziej eksponowanym ustawił się młody cwaniak z pozytywką, horoskopami i kolorową papugą. Cwaniak wystylizowany na XIX-wiecznego birbanta, czarny melonik, mucha w grochy, kolorowy surdut, tylko na przebiegłe ręce japoński, elektroniczny zegarek.

Dobrze zaczął mu się dzień. Pieniądże gęsto spadają do skrzynki. Największym powodzeniem cieszy się u matek z dziećmi. Kręci korbą, pozytywka wygrywa walce, papuga skacze w klatce. Idylla, słońce, leniwy ruch.

◆

Pustka nocy. Po znojach 1-go i 3-go Maja poluzowali. Ludzie i władza. Odpoczywają. Prawie nikogo na ulicy. Z dała tylko kilka osób majaczy. Stoją przy przystanku w oczekiwaniu na autobus. Jeszcze ci dwaj młodzi. Nieźle ubrani, smukli, urodziwi chłopcy. Studenci, maturzyści? Trudno z wyglądu człowieka określić. Jedno jest pewne. Schlali się tego. Wrzeszczą i gestykują. Powtarzają: — Wiktoria! — Wyciągają dłonie i dwa palce rozstawiają na kształt litery V. Skandują: — Niech żyje NSZZ „Solidarność”! Precz z czerwonymi! — Zatrzymują się, wznoszą pięści. Idą dalej. Krzyczą. Ćwiczą przed przyszłą demonstracją? Przeżywają namiastkę? Wczoraj trzymali ich rodzice w domu i nic nie przeżyli? W każdym razie dziś nocą o godzinie 12.20 (spojrzałem na zegarek, dokładny czas) idą niby cały pochód. Nawet nie zwrócili uwagi na tę niebrzydka, też nieźle napitą kurewkę, co wynurzyła się z bramy.

◆

Darek brał udział w 3-majowym wyjściu z katedry św. Jana.

— Pięknie było — powiada ze szczerym zachwytem. — Lepiej niż 1 Maja.

Szli do Świętokrzyskiej. Wielotysięczny tłum. Darek stanął na schodach kościoła św. Krzyża i obejrzał się za siebie. Końca pochodu nie było widać. Wypełniał chodniki i jezdnię. Szli i klaskali. A z dwóch stron rzędami zomowcy. Trochę bili pałkami po brzegach pochodu. Młodych wyłuskiwali. Wtedy ludzie wpadli na pomysł. Sami starsi szli po zewnętrznych stronach, młodzi zaś w środku. Starszych nie ruszali raczej.

Przystawały autobusy. Pasażerowie przyłączali się do nich lub pozdrawiali znakiem Wiktorii.

Nowy Świat był zamknięty i skręcili w Świętokrzyską. I tu nastąpiła interwencja. Z bocznych ulic wypadli zomowcy i rozdzielili pochód na kilka części. Zaczęli pałować. Ludzie rzucili się do ucieczki. Jednego chłopca, najwyżej dziesięcioletniego dopadli przy kiosku z kwiatami. Skrył się tam. Po nogach go siekli pałkami. Tańczył. Do suki go zagnali.

Kolega Darka, szlafkumpel z akademika, był legitymowany pięciokrotnie. Pewien zomowiec szczególnie się na niego zawiązał. Metodycznie bebeszył mu torbę. Przeglądał kartka po kartce podręcznik do nauki literatury Jana Zygmunta Jakubowskiego. Szukał w nim ulotek. Półgłosem czytał pocztówkę od dziewczyny, która zaczynała się od słów: „Mój kochany hipopota-

mku". Przerwał i popatrzył na chłopaka, jakby porównywał go z prawdziwym hipopotamem.

— Pięknie było — powtarza Darek.



Krzyż już wolny od obstawy. Odżył rytm pielgrzymek. Ludzie przystają, patrzą, dokładają kwiaty, umieszczają karteczki z napisami. Te karteczki niby wota powpinane w szarfy i wieńce. Na jednej wierszyk następującej treści:

*„Pod tym krzyżem, pod tym znakiem
Polska jest Polską, a Polak Polakiem”.*



Na murze kościoła garnizonowego klepsydra w czarnej obwódce. Zmarł płk Jan Rzepecki.

Życie od legionów po czasy najnowsze. Zamach majowy w 1926. Dowódca plutonu szkoły podchorążych, wiernych prezydentowi Wojciechowskiemu. W wojnę szef Biura Informacji i Propagandy KG Armii Krajowej, pseudonim „Prezes”. Po wojnie przewodził komendzie WIN-u. Siedział w więzieniu. Zwolniony, pracował w Zakładzie Historii PAN-u. Pisywał historyczne przyczynki, publikował w *Wojskowym Przeglądzie Historycznym*. Wydał książkę wspomnień. Czytałem jego interesujący szkic o dzieciństwie w Warszawie zaboru rosyjskiego, o matce, znanej publicystce i działaczce oświatowej, Izie Moszczeńskiej. Zapamiętałem go w kilku epizodach. Przychodził do Czytelnika. Coś tam wydawał. Starszy pan o wyglądzie buchaltera, zawsze z teczką. W tej teczce nosił butelkę. Popijał dziarsko z młodymi redaktorkami wydawnictwa. Kiedyś znów zobaczyłem go w barze „Arkady”. Samotny, wychylał swoją setkę. Ktoś z pijących rozpoznał go. Dawny akowiec, powstaniec. Niepewnym krokiem zbliżył się do dawnego dowódcy i zaszutował. Jan Rzepecki przyjął spokojnie i bez zdziwienia ten dowód kombatanckiego szacunku.

Przed kościołem gromadzą się starsi panowie z wieńcami. Towarzysze broni.



Zatelefonowałem do matki. Jak zdrowie, co słychać... Synowskie poczucie obowiązku. I matka w słuchawkę tak:

— Wiesz, tu w sąsiedztwie jest dozorca, spokojny, niepijący człowiek w średnim wieku, krostka mu wyskoczyła na rękę, za tą pierwszą następne krostki, teraz cały obsypany, stan bez nadzieiny, rak skóry...

Brrr! Aż zadygotałem. Czym prędzej po kilku zdawkowych potwierdzeniach i zapytaniach zakończyłem tę rozmowę.

Nieźle mnie matka uraczyła! Jedna krostka, po niej następne...



Przed południem wstąpiłem do „Bajki”. To pozostało ze starego nawyku. Łazęga po mieście i przystanek w kawiarni. Kawy już pić nie mogę. Więc piję tę torebkową herbatę o smaku ścierki. „Bajka” o tej porze pusta, ciemna; nawet przyjemnie. Patrzę w okno. Przeszła ładna dziewczyna w różowym stroju. A zaraz za nią Artur, znajomy z knajp i nocnych barów. Przed pięcioma laty był taksówkarzem. Opuściłem głowę. Chciałem być sam. Dostrzegł mnie jednak. I przyszedł. Podpity. Usiadł. Rozmawiamy.

— Dawno cię nie widziałem — zaczynam zdawkowo.

— Było się tu i tam — przytaknął.

— Za granicą? — pytam.

— A tak — rzekł — u matki.

— Jak ci się wiedzie? Podrywasz jeszcze jakieś dziwki?

I tak dalej. Twarz ma Artur brutalną, czerwoną i bardzo przemaglowaną. Wielki brzuch, magazyn piwa i wódki, dowód knajpianego znoju, rozpycha koszulę.

Z kolei on zabrał się do wypytywania.

— Co na warsztacie twórczym? — zadał pytanie.

— Jak zawsze — odpowiedziałem — historyjki z bieżącego życia.

— W BBC o tobie mówili — zauważył. — Nagrodę jakąś dostałeś, prawda?

Przytaknąłem.

— A co nasi na to?

— Nie wiem — odpowiedziałem. — Słabe mam z nimi kontakty.

Pauza. Zapaliliśmy. Świeżą jednak cuchnął wódą, nie z nocy; od rana musiał się uraczyć.

— We „Fregacie” masz towary do wybrania — zaskoczył mnie nagłym stwierdzeniem.

Popatrzyłem na niego uważnie.

— Pracuję teraz we „Fregacie” — wyjaśnił.

„Fregata” to zagraniczna firma wysyłkowa, jej przedstawicielstwo znajduje się w Domu Chłopa.

Stałem się czujny i skupiony. W takiej firmie ONI muszą mieć swoich ludzi. Artur nigdy nie wydawał mi się czysty. Mętny właśnie. Tyle lat pokretnych interesów i znajomości. Ślepią ma świdrujące, drańskie, a dobroduszny uśmiech jak wyuczony grymas. Tymi wścibskimi ślepiami obmacał mój pakuneczek w szarym papierze. Trzymałem na kolanach. Jednak dojrzał.

— A ty co? Tylko z tą bibułą chodzisz? — zaśmiał się ochryple.

Wyciągnął grubą łapę. Odsunąłem pakuneczek.

— Nie bój się! — powiedział. — Ja bym kolegę?!

Czym prędzej się z nim pożegnałem. Co naprawdę robi ten Artur? Obejrzałem się za nim. On też obejrzał się za mną.



Wracałem od matki. Przed Klubem Książki i Prasy zatrzymał mnie ten elegant w prążkowanym garniturze. Znajoma twarz. Ale nie mogłem sobie od razu przypomnieć. Wreszcie olśnienie. Młodszy rocznik prawa. Znajomość z dziedzica uniwersyteckiego.

— Co się tak wystroiłeś? — zapytałem agresywnie. — Czerwony krawat, czerwona teczka!

— Krawat jest bordowy — odparł — teczka też bordowa.

— Gdzie pracujesz? — zadałem następne pytanie.

— Tam gdzie zawsze.

— To znaczy gdzie?!

— No, nie pamiętasz? W prokuraturze.

— A chociaż zachowujesz się w miarę przyzwoicie?

— Co to, przesłuchanie?

— Nie, pytanie. Chcę wiedzieć, z kim mam przyjemność.

— Chyba mi nie zazdrościsz — uśmiechnął się boleściwie.

— W tych czasach...

Był spieszony. Więc jednak go zaskoczyłem. Zaskoczyłem i przycisnąłem.

— Jak ci nie łatwo — ani myślałem mu pofolgować — to możesz przestać pracować w tej prokuraturze... Idź do jakiejś spółdzielni na radcę prawnego... neutralne rewiry.

— Nie, stary! Tak nie można mówić. W prokuraturze też są uczciwi ludzie i tak samo...

— No to leć! — przerwałem mu kończąc tę bezsensowną rozmowę.

Poszedłem w swoją stronę. On z widoczną ulgą — w swoją.

Po wyjściu ze sklepu natknąłem się na drugiego. Siwy, w dwurzędowej marynarce, włosy po dawnemu spiętrzone nad czołem, zebrane z tyłu w skrzydełka (fryzurę taką nazywano niegdyś „jaskółką”). I ta twarz, pełna drobnych zmarszczek, pożyczowana, z małymi, kłującymi oczyma koloru butelkowego szkła. Klasyczny funkcjonariusz bezpieczeństwa z dawnych lat! Wieloletni zapewne rencista.

Zderzyliśmy się oczyma. Bardzo mocno wgrzył się we mnie tym swoim butelkowym szkłem. Też mam wygląd człowieka z dawnych lat. Ostrzyżony na jeża, poza tym wiek dość czytelnie wypisany na twarzy. Wpatrzył się we mnie intensywnie. Jakby chciał sobie coś przypomnieć, jakby grzebał gorączkowo w pamięci-kartotece. „Skąd ja go znam?”

Skierowałem się do domu. Już chyba po drodze nikogo nie spotkam.

GNÄDIGE FRAU

Tadeusz, rencista po trzech operacjach żołądka, dalej moczymorda, przypadkiem był za tłumacza. Rankiem, gnany kaczem, przechodząc w pobliżu parkingu, został zatrzymany przez sąsiada, który debiutuje jako samochodowy czyszciciel. Stał on przy Mercedesie z RFN-owską rejestracją i chuda Niemra, gidia taka, coś od niego chciała. Ale sąsiad ani me, ani be w żadnym języku. Tadeusz, jakby nie było, ma przedwojenną maturę, uczył się niemieckiego, a później tę znajomość języka wydoskonalili mu okupacja. Zaczął tłumaczyć. Niemce chodziło o umycie samochodu. Sąsiad, zaopatrzony w odpowiednie przybory: szmaty, szczotkę, kubełek i proszki do prania, z zapalem zabrał się do roboty. Tadeusz zaś usiadł w cieniu i patrzył. Mercedes w szybkim tempie zmieniał wygląd. Z zakurzonego i obłoconego pudła wyłonił się komfortowy wóz o lustrzanym połysku. Solidnie wykonał sąsiad swoją robotę.

— *Schön!* — powiedziała Niemra i wyszczerzyła białe zęby.

Na prośbę sąsiada Tadeusz przystąpił do finalnego tłumaczenia związanego z zapłatą za pracę. Wypowiadał się wytwornie, jak na Polaka-dzientelmena przystało.

— Ten pan — wskazał na sąsiada — czterokrotnie umył szanownej pani (użył wyrażenia „*Gnädige Frau*”) samochód, co

w sumie będzie wynosić najmniej osiemset złotych — podliczył bez wahania.

— Stop! — wykrzyknął sąsiad, czujnie wyłowiwszy z niemczyzny swojsko brzmiące słowo „złotych”. — Niech lepiej da flaszke.

— Ten pan — znów zaczął tłumaczyć Tadeusz — mówi szanownej pani, że jako zapłatę wolałby otrzymać flaszke wódki zamiast pieniędzy.

— *Gut!* — Niemra rozpromieniła się i głową zgodnie kiwa. Otwiera bagażnik Mercedesa, grzebie tam chwilę i wyciąga butelkę, 3/4 litra niemieckiej, żytniej wódki.

— *Doppelkorn!* — rozpromienił się również Tadeusz, który nie tylko zna niemiecki, ale i niemieckie trunki. Toteż dziękując w imieniu czyściciela dziękował swą szkolną niemczyzną, pomieszaną z okupacyjnym żargonem, jakby w imieniu własnym.

Od razu zabrali się do flaszki. Za parkingiem rosną gęste krzaki. Tam zasiedli.

— Pięknie załatwiłeś sprawę — pochwalił Tadeusza wdzięczny sąsiad.

— Trzeba było uczyć się obcych języków — odparł z wyższością Tadeusz. — Szprechałbyś tak samo.

— Ja za to pięknie gram na harmonii — odezwał się po chwili sąsiad. — Na weselach po dziesięć patyków biorę.

Tak sobie siedzieli i dosyć szybko pili. Wkrótce we flaszce pozostała już tylko ćwiartka. Wtedy sąsiad-czyściciel zakorkował butelkę. Tę resztę postanowił pozostawić dla syna. Niech też pokosztuje zagranicznej wódki.

— Czy ty wiesz? — powiedział jeszcze — Zielony Autobus chce mnie zatrudnić na pół etatu jako harmonistę.

Tak wyglądał piękny, niespodziewany poranek Tadeusza.

U mnie dostał jeszcze kieliszek wódki „Bałtyk” i od razu poszedł spać.



Piotrek nadspodziewanie słowny. Zadzwoił i powiedział, że zdobył już blachę. Tylko nie dojechała jeszcze do Warszawy. Ale już, już. Kolega wiezie Żukiem.

Po godzinie znów telefon od niego. Jeszcze nie ma. Ale będzie na pewno. I zapytał, czy może wpaść na herbatę. Proszę bardzo.

Przyszedł o zmroku. Nie zapalałem światła. Piliśmy herbatę.

Około dziesiątej wróciła Jola. Bardzo podniecona. Mówiła szeptem. Wskazywała na drzwi. Wreszcie opowiedziała po kolei.

Podjechała pod dom i zobaczyła ciemne okna. Rozpoczęła wspinaczkę po schodach. Na trzecim piętrze zorientowała się, że ktoś przed nią idzie. Podeszła na ostatnie półpiętro (buty miała ciche) i zobaczyła, że do naszych drzwi dochodzi jakiś facet. Dochodzi i staje. Staje i nie puka. Tylko stoi.

— Co, nikogo nie ma? — zapytała.

Obejrzał się gwałtownie.

— Pukał pan? — zadała drugie pytanie.

— A co to panią obchodzi! — odburknął ostro.

— Po prostu jest to moje mieszkanie — wyjaśniła.

Znów coś odburknął, tym razem zupełnie niezrozumiale. Nisko pochylił głowę i zbiegł po schodach. Też miał ciche buty.

Dziwna historia.

Zaintrygowani, wyrzeliśmy na klatkę schodową. Nie było tam nikogo. Podeszliśmy do okna. Może pod domem jakiś podejrzan samochód? Stał Polonez. Ale czy to wiadomo? To może być zwyczajny Polonez.

Wątkowaliśmy tę sprawę do późna. Przeważało przypuszczenie, że to rozmowa telefoniczna na temat blachy spowodowała nagłą wizytę pod drzwiami.

Piotrek po wyjściu od nas nie miał żadnych kłopotów. Od razu wsiadł do swojego małego Fiata.

Blacha przyjechała następnego dnia rano. Podjechali Żukiem. Zbiegłem na dół. Za chwilę taszczyliśmy tę blachę do piwnicy. Dwa arkusze. Ciężka, cynkowana blacha do naprawy dachu.

Na podwórzu kręcili się trzej tacy. Jeden w skórzanej bluzie, z wąsikami. Drugi z podręczną torebką okręconą dookoła dłoni. Trzeci siedział na ławce i przeglądał gazetę. Nie było wątpliwości: ONI. Ta blacha musiała się im skojarzyć z drukarnią. Z taką blachą, co odbija tekst. Czy może być lepsza gratka? Nareszcie uda im się zamknąć ten obwód: skrobipiórek-ręko-dzielnik i drukarnia... Tak pomyśleli zapewne.

Więc znosiliśmy tę blachę do piwnicy, a oni patrzyli. Ale gdy wyszliśmy, już ich nie było.

UPALNE DNI

1.

W te upalne dni zaciągałem zasłony na oknach, włączałem wentylator, coś próbowałem pisać, wentylator kojarzył się z tro-

pikiem, wychodziłem z domu, przemykałem się rozpalonymi ulicami, wyszukiwałem sensacyjne filmy i westerny i chroniłem się w kinach. W upał te obrazki pełne strzelaniny i pościgów dobrze działają na oczy, szczególnie westernowe pejzaże, kaniony, ruda pustynia, pędzą jeźdźcy, dokucza brak wody, już pełną ostatkiem sił, wszystko w kolorach. Docierałem też na wiślaną skarpe i tam z cienia patrzyłem na wodę. Niżej nie chciałem schodzić, od zatrutej rzeki bił dokuczliwy smród. Z daleka zaś połyskliwa woda niby rtęć z widoczną smugą nurtu działała kojąco. Po prostu patrzyłem.

Nad rzeką pierwszy raz pomyślałem o tych, co siedzą. Jak tam oni?

Zwlokłem się ociężale z ławki. Poszedłem dalej. Zabijałem czas. W kinie „Luna” obejrzałem film o szulerze, potem idąc pod murem w skąpym cieniu dotarłem do „Świtezianki”. Tam siadłem w kącie i przysłuchiwałem się rozmowie rozleniwionych kelnerów. Jedna z nich mówiła o fabrycznej stołówce. Była kierowniczką takiej stołówki. — Zarobek większy, ale nerwy, nerwy! — dwa razy powtórzyła z naciskiem.

A ja już uporczywie myślałem o nich. Ten martwy, stojący czas więziennej celi i człowiek sam ze sobą. Unieruchomiony, bez szansy ucieczki od siebie. Szczególnie wiele myślałem o Adasiu. Jego znam najlepiej. Najbardziej też mogłem się z nim utożsamiać. Przecież razem należymy do tej samej konfraterni piszących. Więc myśląc również o tamtych, Jacku, Karolu i innych, jego widziałem najżywiej, twarz, gesty, miny. Chwilami jakbym się nawet przenosił na jego miejsce do mokotowskiej celi. Nietrudno było mi tego dokonać. Przypominałem sobie z wczesnej młodości nagrzone, tłoczne cele Gęsiówki. Też upalne lato wtedy.

Wieczorem ciągle było gorąco i tylko lekki powiew zakołysał topolami w parku; nastawiłem płytę z cerkiewnym, głębokim jak studnia śpiewem z jakiejś moskiewskiej ławry. Znowu byłem tam u Adasia. W taką gorącą, czerwcową noc zasnąć trudno...

2.

Drugi motyw, który towarzyszył mi w te upały, był luksusowy, otwierał przestrzeń, oceany, kontynenty; nie istniała potrzeba zabiegów o paszport, żadnych przeszkód, nic. Powracałem myślą

do dawnych swych wyjazdów w świat. Byłem więc na rozpalonym od żaru pokładzie m/s „Metalowiec” w rejsie do Indii. Właśnie przekraczamy równik, włączę się po portowej dzielnicy burdela, lepiątek i szalaś w Marmugoa, idę buszem do Anchor Inn, klubu marynarza, dzwonią cykady... Ale najchętniej przebywałem w Paryżu roku 1969. Spacer z Ariką M. po bulwarze Montparnasse, pijemy kawę pod markizą, Arika pokazuje sławnego malarza Poliakoffa, Rosjanina z pochodzenia, latami grał w knajpianej orkiestrze i malował sobie a muzom, aż nagle sława, patrzę z zazdrością. Idziemy do Café de la Paix, tam przy stoliku siedzi z kolei głośny ostatnio pisarz, Piotr Rawicz, przyjechał kilka lat temu z Polski, o jego powieści bardzo wiele się mówi, patrzę z jeszcze większą zazdrością. Po Paryżu obwozi nas blaszanym samochodem Renault przyjaciel Ariki, młody lekarz czekoladowego koloru rodem z Gwadelupy. Wieczorem jestem u Idy i Zygmunta Solniców na rue St. Elizabeth, siedzimy przy stole, Zygmunt wrócił z roboty, Ida ze sklepu od madame Wino-grad, rozmawiamy, oni wspominają Polskę, Zygmunt podczas okupacji ukrywał się w jakimś praskim mieszkaniu, w niszy za szafą, opowiada, jak przyszedł taki jeden, który radził, żeby go wydać, kuśił nagrodą za sprzedawanych Żydów. Pukanie do drzwi, to stary Fiszel, domokrążca, rozmawiają z nim w jidis, zupełnie jak w dawnej Warszawie. Od nich ruszam spacerkiem do Janka L., te jego mroczne, ponure płótna, monstra, wynaturzone kobiety o nienasyconych twarzach, ptako-ludzie, byko-ludzie, dużo ciężkiego brązu, szarości. Różdżka czarodziejska działa dalej, sekunda, skok za ocean, rok 1972, jestem w Minneapolis, stare panie patrzą na mnie i patrzą, patrzą i szepczą, wreszcie otwierają grubą księgę i pokazują fotografię Teodora Herzla, z brodą rzeczywiście byłem podobny do niego, tak oto zostaję wysoko uhonorowany. Stamtąd, samolotem linii lotniczych należących do multimilionera Hughesa, lecę do Nowego Jorku. Queens, gościna u Kropki, dzielnica czerwonych domów, zupełnie jak na Pradze, przejażdżka na Long Island, piękna plaża, kąpiel w oceanie. Spotkanie z panem Solskim, starym pisarzem o wyglądzie XIX-wiecznego, hiszpańskiego granda, od niego nocna wędrówka przez zakazaną dzielnicę w pobliżu Harlemu i Murzyn, który się mnie przestraszył zamiast odwrotnie...

Tak żonglowałem odległościami i miejscami czując smak tych dawnych podróży; szczegóły, pejzaże, architektura, twarze dawno nie widzianych ludzi... Czy mógłbym tam przenieść się na zawsze? Lenistwo, strach przed zaczynaniem od nowa, zagubienie

w czymś ogromnym i obcym, wreszcie te głębokie korzenie, które tutaj zapuściłem... Nie, jednak tylko tu.

Upały nie ustępowały. Zbliżał się dzień przyjazdu papieża.



Gdy podeszliśmy do naszego samochodu, zauważyliśmy czerwoną Zastawę z długą anteną. Stała obok nas. Siedziało w niej trzech mężczyzn w młodym wieku. Byli znudzeni, rozparci. Jeden patrzył na nas. Ten z tyłu. W brązowej marynarce, szczupły, może trzydziestka, bezbarwna twarz. Ale w oczach miał coś takiego... Trudno to nazwać. Zwyczajne oczy, a coś w nich migocze, jakiś kłujący blask. Nie można tego ściśle określić. Jednak byłem pewien: ONI. Jola myślała identycznie. Pojechaliśmy. Nie pojechali za nami. Pozostali na miejscu. Może przekazali nas innym obserwatorom? Albo inwigilacja „japońska”. Tak jak powiedział Janek R., milicyjny rencista, „żebyście wiedzieli, że my czuwamy”.

W południe dalej stała ta Zastawa. Pusta. Może to ktoś pracujący w pobliżu?



Pierwsze ostrzeżenie zbagatelizowałem. Piękny dzień, więc wyjechaliśmy za miasto. Przyznaję jednak, że tam, wśród cienistych drzew, nad królową polskich rzek — Wisłą, myślałem chwilami o tym ostrzeżeniu. Tak że wcześniej wróciliśmy do domu.

Pod wieczór pojawił się człowiek z drugim ostrzeżeniem. Był wiarygodny, nigdy nie sensat. Przyszedł, przekazał tę niepokojącą wiadomość i poszedł zaraz. Wtedy przejęliśmy się już sprawą. Mogą przyjść niebawem. Może jutro rano. ONI lubią przychodzić o szóstej rano.

Przed wszystkim zabrałem się za swoje rękopisy. Zabiorą i nigdy już ich nie zobaczę. Następnie zacząłem odkładać ulubione książki z wydawnictw emigracyjnych i podziemnych krajowych. Jeszcze jakieś szpargały, listy. Jola wyglądała z okna. Przypatrywała się parkującym przy chodniku samochodom. Wśród nich może być właśnie ten.

Traf chciał, że przyszli niespodziewanie dwaj nasi dobrzy znajomi. Stary i młody. Stary wziął torbę papierów. Młody torbę książek.

Pierwszy wyszedł młody. Patrzyliśmy z okna. W porządku. Dotarł do przystanku autobusowego. Stary — przedwojenny

pan podpierający się laską-parasolem — wkrótce za nim. Podczas okupacji słynał z zimnej krwi i niefrasobliwości. Nadal wyglądał na takiego. Torbę pełną trefnych papierów przyjął bez zdziwienia. Po schodach stąpił godnie i powoli, podpierając się laską. Nie budził żadnych podejrzeń. Na końcu my z Jolą. Wynieśliśmy, co się dało, i do przyjaciół.

Tam do późna debata przy herbacie. Przyjdą, nie przyjdą? Radzono mi, żebym na kilka dni wyniósł się z domu. Tego uczynić nie chciałem. I tak przecież muszę wrócić. Prędzej czy później. Nie ma więc sensu zakłócać sobie normalnego rytmu. Powtarzałem to z uporem. Oni nalegali. Rozmawialiśmy do jedenastej wieczorem.

Wróciliśmy do domu. Mimo niepewności jutra, sen był natychmiastowy i mocny. Tylko chwilę obracałem jeszcze te słowa: „Przyjdą, nie przyjdą”.

Nie przyszli. Rano, według ustalonego od lat rytmu, siedziałem nad papierami.



Heniek opowiada o swoim szwagrze. Los typowy dla wielu ludzi z Pomorza przyłączonego w wojnę do Trzeciej Rzeszy. Był w Wehrmachcie. Służył w artylerii przeciwlotniczej pod Monachium. Później w formacji czołgów. Poparzony w walce. Upadek Rzeszy zastał go w szpitalu. Znalazł się pod Amerykanami. Przebywał tam około roku. Zaprzyjaźnił się ze starym Niemcem, piekarzem. Niemiec zapalał do niego ojcowskim uczuciem, był bezdzietny. Proponował mu nawet udział w swoim interesie, w przyszłości zaś dziedziczenie. Szwagier Heńka nie miał już ojca. Zginął w Stuthoffie. Stary piekarz w pewien sposób zastępował mu ojca. Jednak wrócił po roku do Polski, choć piekarz gorąco go od tego zamiaru odводził.

— Nie wracaj tam! — powtarzał z naciskiem. — Nie wracaj, mówię ci, Polacy zawsze byli i będą narodem niewolników!

Właśnie to zdanie przeważało szalę, że szwagier Heńka wrócił do kraju. Teraz, stary i chory, często wraca do tamtych czasów i powtarza słowa piekarza:

— *Die Polen waren immer und werden ein Sklavenvolk.*
— Tak brzmią one po niemiecku. Rozważa te słowa. Ciężkie jak ołów, ponure słowa.



Wieczorem w parku. Wysokie niebo. Pełnia.

Ojciec do dwuletniego synka:

— No co ty? Ja nie mogę dać ci księżycy. Przecież nie dosięgnę do księżycy.

A ten chciał i chciał.

Dorośli się śmiali.

BIAŁY HELIKOPTER

Ranek był pochmurny i chłodny. Ludzie szli nieprzerwanie. Dołączyłem do nich. Przy chińskiej ambasadzie już tłum. Zalegał chodniki i jezdnię. Pozostałem tutaj. Chińczycy też wyszli przed bramę swojej siedziby. Patrzyli jak wszyscy w szare niebo. Do wyznaczonego czasu brakowało pięć minut. — Spóźni się chyba — dał się słyszeć jakiś głos. — Skąd! — odezwał się drugi — to odbędzie się punktualnie.

Posłyszeliśmy narastający warkot. Zza wieżowca „Intraco” wynurzył się biały helikopter. Ludzie zadarli głowy. Zaczęli gwałtownie wymachiwać rękoma. Niektórzy mieli chorągiewki, białe-zółte i białe-czerwone. Helikopter wzbił się wyżej i po chwili przestał być widoczny. Wszyscy byli zawiedzeni. Tak szybko, kilka sekund i już! Wkrótce rozległ się ponowny warkot i ponad domami od strony stadionu na Konwiktorskiej wzbił się drugi, identyczny helikopter. Jego lot także śledziłyśmy z napięciem. Był widoczny dłużej niż pierwszy. Aż znikł za blokami Muranowa. Jeszcze patrzyliśmy. Może wynurzy się niespodzianie. Nie pokazał się jednak. Warkot silnika oddalał się i oddalał. Wygasł całkowicie. Cicho, szaro i zimno. Puste niebo, pokryte kołtunem brudnych chmur.

Przypominałem sobie *Amarcord* Felliniego. Ten obraz, jak to nocą ludzie wypływają łodziami w morze, na wodę spada gęsta mgła, a oni, w tym mlecznym całunie, czekają na statek „Rex”. Tylko tam, w filmie, to olśnienie trwało dłużej. Rozproszyła się mgła i odsłonił się iluminowany rojem światła tytan. Transatlantyk „Rex”. Wielki, nierealny.

Rozchodziliśmy się powoli. Rozważano, w którym helikopterze mógł być papież. Ci, którzy przybyli na miejsce pożegnania wcześniej, widzieli jeszcze inne helikoptery, zielone, znacznie mniejsze od tych białych. Zapewne wojskowy konwój powietrzny.

— Niepokalanów to niedaleko stąd — powiedział ktoś. — Elektrycznym pociągiem do Szymanowa.

Był to młody człowiek, objuczony plecakiem i torbą.



Zaszedłem z Heńkiem do Yacht-Clubu. To bardzo przyjemne, nadwiślańskie miejsce. Roztacza się stąd piękny widok na rzekę i jest cień drzew. Miejsce ze starą, warszawską tradycją, gdzie pokazują się jeszcze przedwojenni żeglarze i spoglądają z nostalgiczną zadumą na młodych, krzepkich mężczyzn szykujących żaglówki i motorówki. Poza tym w agencyjnej kawiarni dają nieźle jeść. Tym razem jednak było tak jak wszędzie. Niedziela. Całe miasto wyległo nad wodę. W Yachcie również tłum. Wyjedli wszystko w kawiarni. Opalali się na trawie. Z kocami i leżakami zalegli betonowe nabrzeże. Z sąsiedniej przystani LOK-u huczała muzyka. Zapowiadali jakąś popołudniową imprezę. Powlekliśmy się brzegiem w przeciwną stronę.

Obaj byliśmy jacyś zgaszeni, marni. Wrzask muzyki ścigał nas uparcie. Przesłodzony baryton przepraszał z megafonu wypowiedziących nad wodą za zakłócanie fonicznego spokoju. Tak powiedział.

Dotarliśmy do budy strażnika przystani. Tu w krzakach znajdowała się zapomniana ławka. Usiedliśmy. Na wozie tańczyły ślizgacze wzbijając za rufą białe bryzgi. W pobliżu młodzież celowała z łuków do tarcz strzelniczych. Kilka opasłych cielsk obojga płci, namaszczonych olejkami, leżało na rudej od upału trawie. Byliśmy schowani w skąpym cieniu za budą i patrzyliśmy na to niedzielne, letnie życie.

Heniek miał szarą, znużoną twarz, wpadnięte policzki z resztkami siwego, niewygolonego zarostu. Palił papierosa za papierosem. Ja również paliłem dużo, bezskutecznie próbując ten nerwowy odruch opanować. Od przybycia na przystań Heniek wypalił cztery papierosy, a ja trzy. Heniek przeglądał *Tygodnik Powszechny*, pełen papieskich homilii.

— *Totus tuus* — powiedział nagle. Coś jeszcze bąknął o dawnych, gimnazjalnych latach i lekcjach łaciny. Gazetę opuścił na kolana, przyklnął oczy. Wyglądało, jakby zadrzemał.

Próbowałem zająć się swoją lekturą. Była to broszura zawierająca historię twierdzy Przemyśl i jej oblężenia przez Rosjan podczas pierwszej wojny. Też nie mogłem czytać. Wiatr przewrócił stronicę i to, co przeczytałem poprzednio, znów wydawało mi się nieznanne. Ostatecznie zamknąłem książeczkę.

Brzegiem, na odcinku około kilkudziesięciu metrów, chodził i biegał na przemian dziarski pięćdziesięciolatek z łysą, spoconą czaszką. W pewnej chwili zatrzymał się i począł wykonywać przysiady i skłony tułowia. Przyglądałem mu się z zazdrością. Zazdrościłem mu energii i uporu w tych monotonicznych ćwiczeniach.

Heniek zaczął opowiadać o swoim koledze, który prowadzi prywatny interes:

— Wyobraź sobie, każą mu każdą transakcję wpisywać do książki, co sprzedał i za ile, takie specjalne zeszyty założyli i przychodzą sprawdzać. Oni wiedzą, że to fikcja i on to traktuje jako fikcję. Do tego zeszytu wpisuje mniej więcej co piątą sprzedaż, dla świętego spokoju. Oni przychodzą, przeglądają...

Dalej mówił. Ale już go nie słuchałem. W palcach obracałem kolejnego papierosa, daremnie walcząc z pokusą palenia. Zapaliłem z chciwą niecierpliwością.

Za nami, pod ścianą hangaru, młodzi ludzie sposobili łódź zagłową. Pracowali jak w transie. Mimo dusznego upału, ich ruchy były lekkie i sprężyste, a opalone plecy grały całą muskulaturą. Znowu zazdrość.

Najpiękniejszy czas. Początek lata. Bujna, świeża zieleń. Tyle młodych, ładnych dziewcząt... Rozpaczliwy dzień. W takie nadmiernie piękne dni, zza niebieskiego nieba ożłoconego słońcem, zza wody i zieleni — nadchodzi nagle złowroga czerń. I gdziekolwiek byś był, już nie uciekniesz. Powoli i nieubłagane opada na ciebie ten całun.

Popatrzyłem wrogo na Heńka. Byłem zawiedziony, że nic mi nie pomógł. Jakby mógł pomóc! Siedział apatyczny, zgaszony.

— Niezły wypoczynek — powiedział nagle unosząc zmęczoną twarz i westchnął.

Powrót piechotą rozprazonymi uliczkami Saskiej Kępy. Do postoju taksówek.

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO ZIEMI

Po śmierci ojca matka stała się apatyczna i marna. Coraz częściej szwankowało jej serce. Czas spędzała na selekcjonowaniu ubrań ojca, tych wszystkich garniturów, swetrów, koszul, piżam.

— To zupełnie nowe — oceniała. — To parę razy miał tylko na sobie.

O ogródku jakby zapominała. Przypominała sobie o nim tylko gdy potrzebowała kwiaty na grób. Często wtedy jeździła na cmentarz, „do ojca”, jak mówiła. Następnego roku jednak, wraz ze zbliżaniem się wiosny, zabrała się do flancowania pomidorów. Oglądała i pieściła te wątłe rośliny w plastikowych pojemnikach. Wystawiała je do słońca.

— Już nie mam siły — mówiła przy tym.

Mieliśmy nadzieję, że zmniejszy ilość flancowanych pomidorów. Po dawnemu jednak przygotowała ich pięćdziesiąt. I od pomidorów właśnie się zaczęło.

Teraz, w to lato 1983, matka jest ogorzała jak zawodowy ogrodnik, dłonie ma czarne od ziemi i mimo przekroczonej niedawno osiemdziesiątki, uwija się dziarsko wśród zagonków i krzewów. Jej ogródek zaś śmiało zająłby pierwsze miejsce w konkursie na najlepsze zagospodarowanie na tej podmiejskiej, ogródkowej ulicy. Rozmaitość warzyw; agrest, porzeczki, wiśnie, maliny; dwa orzechy, które zapowiadają obfitość urodzaju. Praca ciągnie się nieprzerwanym rytmem: po sadzeniu następuje palenie chwastów, po pieleniu — podlewanie, itd. Szczególnie pomidory wymagają pracowitej pielęgnacji.

Pomagam matce w tych ogródkowych zajęciach, a każda próba buntu z mojej strony kończy się zawsze przegraną. Matka bowiem odmowę przyjmuje klasycznym chwytem szantażowym:

— Acha, nie możesz... W takim razie pojadę sama.

I tak to trwa. Coraz bardziej jesteśmy zespoleni w pielęgnacji tego kawałka ziemi o powierzchni siedmiuset metrów kwadratowych, wciśniętego między dwie ślepe ściany sąsiednich domów w podmiejskiej dzielnicy, nieopodal glinianki, która była oceanem mego dzieciństwa.

Skrzypi pompa. Nosimy kubły i konewki. Roślinność w tym roku bujna. Spodziewać się można urodzaju.

Dla matki w ogródku nadal obecny jest ojciec. W toku różnych zajęć często o nim wspomina. — Zawsze z Antkiem robiliśmy to tak a tak. — Albo: — Weź te tyczki, tam w kącie ojciec je poukładał. — Nieraz też radzi mi tak: — Po co masz niszczyć spodnie, włóż te stare ojca. — W baraku ciągle wiszą na gwoździach stare płaszcze, marynarki i kapelusze służące niegdyś ojcu do ogródkowych prac. Wyglądał w tych roboczych strojach niezwykle malowniczo: przydługi płaszcz z podwiniętymi rękawami, podarte spodnie i zdeformowany kapelusz na głowie. Prawie jak Chaplin. Był niewysoki i lekko utykał na prawą nogę. W ogóle barak pełen jest zatrzymanej przeszłości w postaci rozmaitych przedmiotów z dawnych czasów. Stare,

wysokie krzesło, złożone ramy wielkiego lustra, portret młodzieńca w gimnazjalnym mundurze z ubiegłego wieku.

Obecność ojca przywracają matce w ogródku nie tylko jego stare ubrania i buty. Również załatana przez niego dziura w płocie, zebrany pod ścianą gruz, podparte palikami gałęzie orzecha. Następnie korzystanie z siekiery oraz przyrząd do spryskiwania drzew, nabyty przez ojca kilkadziesiąt lat temu. Matka wspomina, jak wraz z ówczesnym dzierżawcą ogrodu, strażnikiem więziennym Siemieńcem, skutecznie spryskiwali nim jabłonie. Wreszcie skrzynka z pękami tasiemek i sznurków potrzebnych do podwiązki, zwłaszcza pomidorów. Te sznurki zbierał i przygotowywał na zapas właśnie ojciec. Bardzo lubił rozsypywać sznurki. Czynił to niezwykle sprawnie, rozplątując najbardziej skomplikowane supły, choć palce miał krótkie i grube.

Więc gospodarujemy w tym ogródku we trójkę: matka, ojciec i ja.

Wybuchy mego gniewu matka przyjmuje ze stoickim spokojem. I to jakoś łączy się z ojcem. On też się buntował, a przecież w końcu zawsze podporządkowywał się matce.

Moje rozmowy z nią są niezmiennie. Zaczyna od spraw ogólnych, niepokoi się o losy zawieszonego ZLP, zastanawia się nad przyszłością ojczyzny, by przejść wreszcie do meritum: — Wiesz, może pojedziemy podlać pomidory? Trzeba koniecznie, taka susza, liście robią się żółte! — Niekiedy, przytłoczony tym przymusem, wspominam czas sprzed trzech lat, kiedy pomidory zapowiadały się bardzo pięknie, a potem nagle szczytniały i zgniły. — To była zaraza! — odpowiada z oburzeniem matka. — U wszystkich zgniły! — Przed dalszą kłótnią powstrzymuje mnie pewna opowieść, która jak memento tkwi w mojej pamięci. Jest to opowieść o innej matce, nobliwej, kulturalnej staruszce (widziałem ją: wygląda jak dama z portretu — suchy, szlachetny profil i siwe włosy upięte w węzeł); otóż ta starsza pani, w późnych swych latach, wymagała co dzień od swoich dzieci wielogodzinnej czytania jej na głos poezji polskiej, od Asnyka poczynając, a na Lechonię kończąc. Kiedy zmęczeni lektorzy ustawiali, protestowała głośno i płakała. Sąsiedzi za ścianą myśleli, że wyrodne dzieci dręczą swą starą matkę. Więc dalej czytali jej te wiersze.

Toteż z reguły ustępuję i jedziemy z matką podlewać pomidory.

Wybraliśmy się na wieczorny spacer i poczyniliśmy szereg spostrzeżeń.

W tę najpiękniejszą porę roku (lipiec, godzina dziesiąta wieczór) miasto bardzo wcześnie zamiera i staje się pustynią. Choć przecież wieczorny chłód, nagrzane mury i granatowe niebo pełne gwiazd powinny sprzyjać spacerom, przesiadywaniu w ogródkowych kawiarniach, w ogóle letniemu, wesołemu życiu. Tak jednak nie jest. Kawiarnie zamykane są o dziewiątej, o dziesiątej najpóźniej. Knajpy też. Minęliśmy kilka takich zamartwych lokali. Pustka, krzesła ustawione nogami do góry na stolikach, obsługa oblicza utarg, a sprzątaczkę kończą porządkowanie. Na trasie czynna jedynie „Telimena”, otwarta wyjątkowo do jedenastej. Autobusy dzienne przestają kursować przed jedenastą. Toteż wszyscy starają się dojechać do domu, zwłaszcza na odległe osiedla Ursynowa, Chomiczówki, Bródna czy Jelonek, dużo wcześniej. Oczywiście zdarzają się nieliczni śmiałkowie, którzy pragną zanurzyć się głębiej w noc. Jakże uciechy ich czekają? Ostatnie seanse w kinach zaczynają się o 19.30. Koncertów i kabaretów nie ma w ogóle. A jeśli jednak zdarzają się czasem, to kończą się definitywnie dobrze przed jedenastą. Lokale nocne, „Kamieniołomy”, „Kaukaska” czy „Kongresowa” są bardzo kosztowne, a ich działalność rozrywkowa — raczej wątpliwej jakości.

Oto dochodzimy właśnie do takiego przybytku. Otwarte podwoje prowadzą do piwnicy Hotelu Europejskiego. Tu mieści się nocny lokal „Kamieniołomy”. Stoi portier w liberii. Przed chwilą weszła tam potężna kobieta o urodzie słonicy; barmanka, kelnerka — tego typu osoba zapewne.

Mój młody towarzysz spaceru posunął się daleko w swej goryczy twierdząc, że chyba nawet za Stalina było lepiej. Między innymi argumentami powołuje się na opisy nocnego życia z moich książek. Życie towarzyskie na dworcu, małe knajpki na Marszałkowskiej czynne do późna. Może i racja. Zakładali kołchozy, zamykali do pudła akowców, brali nas w kolektywne dyby, ale pozostało jeszcze wiele szynków i kafejek przedwojennych, pracowali w nich przedwojenni ludzie, nie do pomyślenia była dla nich ta wczesna końcówka życia nocnego, ciągle jeszcze tkwiło w ich świadomości to stare powiedzenie „klient — nasz pan”. A strażnicy nowego ładu nie interesowali się zbyt resorem życia rozrywkowego, co innego mieli na głowie. Może i było lepiej pod tym względem wtedy.

W taki letni wieczór chce się przynajmniej posiedzieć na ławce. Zatrzymujemy się przy skwerze z pomnikiem Bolesława Prusa, przypominającym garbusa. Nie ma już jednak tu ławek.

A było ich kilkanaście! Znikły przed 1-ym maja. Obawiano się demonstracji, nieoficjalnych pochodów, może nawet barykad. Więc nie ma gdzie spocząć. Idziemy dalej.

Ostatnie autobusy z odwróconymi tabliczkami informującymi, że jadą już do zajezdni, rzadko kiedy zatrzymują się na przystankach. Ludzie dostrzegając je z daleka (lecz nie widząc tabliczek) pędzą w stronę przystanku. Gdy orientują się, że autobus nie zatrzyma się już, zwalniają, zdyszani i zawiedzeni. Jeden facet, spostrzegłszy, że autobus zatrzymuje się, przyspieszył biegu. Wciąż jednak miał jeszcze spory kawałek. Dobiegając zaczął machać do kierowcy ręką. Nic to nie pomogło. Drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem. Autobus ruszył energicznie. Po czym, po kilkunastu metrach, zatrzymał się na czerwonych światłach. Facet nie dawał za wygraną. Znów, z powrotem puścił się biegiem. Dopadł przednich drzwi. Zaczął gwałtownie, rozpaczliwie gestykulować. Kierowca nie otworzył jednak. Facet pozostał bezradnie na jezdni.

Dochodzimy do ulicy Foksal. Tu do niedawna jeszcze była ostatnia enklawa nocnego życia. Dwie knajpy, zawsze grupki ludzi, śmiech, kłótnie, petraktacje z portierami, podjeżdżały taksówki. Obecnie ulica Foksal wygląda jak opuszczony grobowiec. Skończyły się nocne igraszki.

Zawracamy. Ponuro. Jeszcze młodzi ratują trochę honor miasta. Pary zakochanych, brodaci, włochaci, obdarcy. Obejmują się, szepczą, śmieją się i cieszą byle czym. Jak to młodzi. Ale ich też dopadnie! Podejdzie patrol, zatrzymają, wylegitymują, zaczną indagować, skąd, dokąd... To będzie pierwsze dotknięcie tej kosmatej, brudnej łapy. Z początku mogą tego incydentu nawet nie zapamiętać. Wtedy następne doświadczenia pouczą ich dosadnie, że noc jest do spania i nic ponadto. Sami z czasem zaczną się czuć nieswojo i obco późnym wieczorem na pustej ulicy. Poniosła nas ta wizja tresury. Oczyma wyobraźni widzieliśmy, jak ci doświadczeni już młodzieńcy pędzą pośpiesznie do swoich bloków i tam, w tych pszczelich ulach, w tych klatkach, które nazywają się mieszkaniem, uszczelniają drzwi, wykładają ściany boazerią, budują meblościanki, by następnie, bezpiecznie już, gapić się jałowo w telewizor.

Minęli nas dwaj zapędzeni podrywacze-erotomani. Myśliwskim okiem lustrowali ludzi poszukując łatwej zdobyczy. Szli w stronę „Telimeny”, tej kawiarni zamykanej najpóźniej. Z nią pewnie wiązały swoje nadzieje.

Tak szliśmy i perspektywa ulicy przed nami była już pusta, czarna, wymieciona. Jeszcze jakiś pijany z teczką kolebał się na

jezdni. Przejechała buda milicyjna — wielka, okratowana, nazywana żartobliwie „dyskoteką”.

Siedliśmy na murku przed Prusem i zgodnie uznaliśmy, że jest tak, jakby w dalszym ciągu obowiązywała godzina policyjna. W dni powszednie od dziesiątej wieczorem, w święta — od jedenastej. I tak utyskując i rzędząc ocknęliśmy się nagle o 11.15. Doznaliśmy nieprzyjemnego zaskoczenia: przegapiliśmy ostatni autobus. Trzeba polować na nocny. Nocne jeżdżą określonymi trasami i rzadko. Więc może złapać taksówkę? Ale taksówka również jest problemem. Trzeba pertraktować. Taksówkarze bardzo często jeżdżą tylko w przez siebie obranym kierunku i nie łatwo godzą się za zmianę trasy. Mimo to stanęliśmy na jezdni wypatrując taryfy.

Koniec spaceru. Wracamy do nory.

W R O N A

A. przeżył osobliwą przygodę.

Pierwszy sygnał miał wieczorem, kiedy wrócił do domu. W łazience, na pokrywie zasłaniającej muszlę klozetową zobaczył sadzę i okruchy gruzu. Popatrzył, pomyślał. Mogło to posypać się jedynie z otworu wentylacyjnego umieszczonego pod sufitem. Posprzątał. Położył się spać.

Następnego dnia rano na sedesie znów były okruchy gruzu i sadza. A. znów popatrzył w czarny otwór wentylatora osłonięty kratownicą. Posprzątał. Dokonawszy ablucji, wypił kawę, wypalił papierosa i zasiadł przy biurku do pracy. Rzecz, którą tłumaczył, była trudna, pełna odniesień do świata biblijnego. Wierował więc Biblię. Praca wciągnęła go. Ten osobliwy język, bogaty w znaczenia, a zarazem prosty, jakby rąbany w kamieniu, miał szczególną, przykuwającą moc. Toteż lekki szmer, chrobot, czy jak ten dźwięk nazwać, który doszedł z łazienki, nie zwrócił jego uwagi. Po prostu zarejestrował go słuchem nie przypisując mu żadnego znaczenia. Jednakże drugi taki sam odgłos oderwał go już od pracy. Mocował się akurat z fragmentem, gdzie cytowane było zdanie z Apokalipsy: „I słyszałem głos wielki z kościoła, mówiący siedmiu Aniołom: Idźcie, a wylejcie siedem czasów zapalczywości Bożej na ziemię”. Uniósł głowę i począł nasłuchiwać. Ale ponieważ zapadła cisza, znów zbagatelizował sprawę. Te dźwięki z rur, połączeń kanalizacyjnych i zza ścian miały nie- zwykłe bogatą gamę i nieraz nawet głęboką nocą wytrącały go

ze snu. Ponownie zagłębił się w tłumaczenie tego trudnego tekstu.

Za trzecim razem rzeczywistość zewnętrzna wtargnęła w jego pracę z nachalną już mocą. Tam w łazience rozległ się donośny hałas, szum i chrobot. Wszystko naraz bardzo głośne. A. wstał zza biurka. Pierwsza jego myśl wynikała z doświadczeń tutejszych: podsłuch! Zakładają podsłuch. Albo już założyli i coś tam nawaliło. Ileż wspaniałych, precyzyjnych urządzeń nawala przecież z powodu ordynarnego partactwa czy niedbalstwa! Więc podsłuch. A., jak wielu, coś tam po cichu robił, miał różne kontakty, i władzy na pewno podobać się to nie mogło. Wiedział więc, że w każdej chwili może się stać podejrzanym, oskarżonym, skazanym. Tłumaczenie, nad którym pracował, pełne odniesień do Biblii, a także do mitów chaldejskich i filozofii Lao-Tse, całkowicie wyparowało mu z głowy. Niepodzielnie rozpanoszyła się rzeczywistość komendy MO — brutalna, cuchnąca arezsztancką całą i ponurymi korytarzami. To natarczywe wrażenie podważała jednak pewna wątpliwość. Dlaczego akurat w łazience? Co oni usłyszą w łazience? Najwyżej kłopoty z wypróżnieniem.

A., ostatecznie już oderwany od pracy, ponownie zbliżył się do łazienki. Była w nim emocja, tego nie ukrywa. Delikatnie otworzył drzwi. To, co zobaczył, jeszcze bardziej spotęgowało podniecenie. Pokrywkę kibla zalegały sadza i gruz w znacznie większej ilości niż poprzednio. Wpatrzył się w czarny, okratowany otwór wywietrznika. Najwyraźniej coś się tam ruszało. Mimowoli cofnął się kawałek. Lecz zaraz znów się zbliżył. Nareszcie olśnienie! Tam za kratą siedział ptak. Żywy ptak. Rozpaczliwy trzepot skrzydeł w ciasnocie otworu. Dziób, błysk paciorkowatych, ptasich oczu. Wpadł do komina i tą drogą dotarł aż tutaj. Uwięziony w ciasnym pomieszczeniu i skazany na zagładę. Bił skrzydłami w kratownicę zasłaniającą otwór wentylacyjny.

A. przystąpił do akcji ratunkowej. Wyjęcie kratownicy nie nastręczało żadnych trudności. Podważył szczyrykiem i odsłodził. Wsunął rękę do wnętrza. Ale zaraz gwałtownie ją cofnął, o mało nie spadając z sedesu, na który wszedł, ażeby być wyżej. Ptak bijąc skrzydłami i czyniąc niesamowity zamęt sam wyfrunął z otworu. Była to wrona, wielka, dorodna wrona. Miotając się w powietrzu i obijając o ściany szukała miejsca, gdzie mogłaby przycupnąć. Siadła wreszcie na rączce prysznica wiszącego nad brodzikiem, który zastępował wannę. Podłoga łazienki cała pokryta była gruzem, w powietrzu unosiły się tumany pyłu i sadzy. A. czym prędzej otworzył drzwi na oścież. Wykonując ponagla-

jące gesty usiłował przepędzić ptaka z łazienki. Wrona jednak zamiast skierować się ku drzwiom, znowu wzbija się w górę i szamotała się pod sufitem. Z jej piór, gdy tłukła się tak o ściany, sypała się sadza. Cała była w niej utylana. Pokonała przecież długą drogę od wlotu komina aż tutaj. (Dom jest dwupiętrowy, A. mieszka na parterze).

Po wielu żmudnych zabiegach ptak został wreszcie przepędzony do pokoju. A. otworzył okno. Ale wrona znowu jakby tego nie dostrzegała. Siadła na regałach pod przeciwległą ścianą. I żadne gesty, okrzyki, a nawet łopotanie ręcznikiem nie zdołały jej zmusić do opuszczenia tego miejsca. A. podstawił więc w końcu stół pod regały, wszedł nań i stamtąd próbował przepędzić wronę. Bezskutecznie. Ptak początkowo odsunął się po prostu na bezpieczną odległość, a następnie, gdy A. nie dając za wygraną znowu się przybliżył, odfrunął z tym głośnym furkotem. Nie wyleciał jednak z mieszkania, wylądował na karniszu służącym do przesuwania zasłon.

A. zrozumiał, że wszystkie dotychczasowe próby i metody usunięcia wrony z mieszkania są bezskuteczne. W ten sposób można się bawić do wieczora. Tu trzeba zastosować chwyt radykalny. Ptaka należy schwytać i własnoręcznie wyrzucić za okno. W tym momencie zdał sobie jednak sprawę, że w swym blisko czterdziestoletnim już życiu nigdy nie dotykał ptaka. Usiadł więc, zapalił papierosa i nie spuszczać oka z wrony zaczął się koncentrować. Wreszcie, zgasiwszy spokojnie niedopałek, przystąpił do ostatecznego rozstrzygnięcia. Wszedł na biurko, między rozłożoną Biblię i papiery, i odchylając sztywno głowę do tyłu (ptak z bliska wyglądał groźnie: masywny dziób i drapieżne szpony wczepione w pręt karnisza) wyciągnął z determinacją ręce w stronę ptaka. Chwycił. Z desperacją zacisnął dłonie na skrzydłach. Zacisnął i nie puszczał, mimo że ptak okazał się bardzo silny, mimo że dygotał, szarpał się i wyrwał. Wtedy wrona po raz pierwszy zakrakała. Przenikliwy, rozdzierający skrzek. A. przestraszył się, przeszył go nieprzyjemny dreszcz. Ale zdobyć już nie puścił. Ostrożnie szedł z biurka, po czym z rozmachem cisnął ptaka za okno. Wrona rozpostarła skrzydła i płynnym, pewnym już lotem poszybowała w górę. Jeszcze raz zakrakała. Z odległości zabrzmiało to inaczej. Zwyczajnie. Zniknęła za pobliskimi drzewami.

A. stał jeszcze przez chwilę w oknie. Oszołomiony i wyczerpany. Odwrócił się wreszcie. W pokoju nieporządek. W dodatku ta wrona narobiła kilka razy. Na regałach, na biurku i pod oknem widniały białe rozpryski ptasiego łajna. Poszedł do łazien-

ki po ścierkę i szczotkę. Tam jeszcze większe pobożowisko. Przypadkowo zobaczył się w lustrze. Spocony. Powalana koszula. Na twarzy czarne smugi od sadzy.

Czekało go długie, żmudne sprzątanie. Do papierów na biurku nie wrócił już tego dnia.



Powrót z wakacji. Na dworcu w Ławie wstąpiłem do bufetu. Przy ladzie tłok — były mięsne potrawy. Kupiłem golonkę, bułkę i herbatę. Przy stoliku zajętym przez dwie kobiety zauważyłem wolne krzesło. Przysiadłem się tam. I jak to w podróży, zaczęliśmy rozmawiać.

— Nie zajeżdża ta golonka? — zapytała młodsza z kobiet. Blond włosy miała splecione w gruby warkocz.

— Sprawdzalem.

Zawierzyła mojej opinii i ustawiła się w kolejce.

Druga kobieta — z brakami w przednim uzębieniu wypełnionymi metalem, ubrana w żółty sweterek ze sztucznego włókna, palce posiekane, ziemny brud za paznokciami — posilała się gęstą, brunatną zupą, grochówką, żurem, trudno to określić. Naraz zapatrzyła się na chudego wyrostka o ogolonej do skóry głowie.

— Pewnie z amnestii — odezwała się. Aż do drzwi odprowadziła spojrzeniem tego wyrostka, który wysunawszy do przodu ramiona, szedł po cwaniacku rozkołysanym krokiem. — Tu w Ławie pełno ich siedzi. Duże więzienie — parę razy przegarnęła łyżką w brunatnej zupie poszukując ziemniaków. — To ta amnestia tylko dla „Solidarności”? — najwyraźniej do mnie skierowała pytanie.

Przytaknąłem bez zastanowienia.

— I żadnych innych nie obejmuje?

— Tylko tych ze stanu wojennego, strajki, demonstracje, ulotki i tak dalej.

Westchnęła.

— A co, ktoś z pani rodziny siedzi?

— Syn — odpowiedziała. — Tylko nie za „Solidarność”. Dwadzieścia litrów benzyny na boku skombinował i dwa lata dostał.

Wróciła dziewczyna z warkoczem. Postawiła na stole talerz z golonką. Zabrała się do jedzenia. Z przesadną wytrawnością, odginając najmniejsze palce obu dłoni, zaczęła kroić mięso.

— Ale mój syn w stanie wojennym miał to niepowodzenie — powiedziała kobieta z metalowym uzębieniem.

— Może wyjdzie — dodałem. — Przede wszystkim jednak ci z „Solidarności”.

— I to nie wszyscy — odezwała się dziewczyna z warkoczem. — Dużo narodu wcale nie obejmie ta amnestia.

— To oni nie wszyscy wyjdą? — zdziwiła się tamta kobieta.

— Moja siostra rok siedzi do sprawy i na pewno jej nie puszcza. Już ona im krwi napsuła!

— Co takiego robiła? — zainteresowałem się.

— Wiersze pisała — odparła dziewczyna. Wyprostowała się, dłonie wsparła o blat stołu i wyrecytowała:

*Zawiśniesz na czerwonej szmacie
Ty narodu kacie!
Podły draniu, bucu, ciulu,
Ślugo obcej przemocy,
Co jak walec po narodzie się toczy!*

Starczy? — ni to zapytała, ni stwierdziła.

Spojrzałem na ścienny zegar. Niebawem miał nadejść mój pociąg.

Pożegnałem te dwie zatroskane kobiety i ruszyłem na peron.



Pociąg jak to pociąg w letnim sezonie. Zatłoczony. Zdumienie brało, że taka masa ludzi może się zmieścić w przedziałach, korytarzach, ubikacjach i harmonijkach między wagonami. Jakby ten pociąg był gumowy i mógł się rozciągać.

Szczęśliwie udało mi się zdobyć miejsce przy oknie na korytarzu. Uchyliłem szybę i było powietrze, ponadto mogłem kontemplować pejzaż. Od Ławy nawet malowniczy, lesisty, pagórkowaty, z ambonami dla myśliwych polujących jesienią na jelenie.

Tak sobie staliśmy. Mężczyźni i kobiety. Starzy i młodzi. Niektórzy próbowali usadowić się na podłodze. Ale w tym wąskim korytarzu takie siedzenie było bardziej niewygodne od stania.

W Działdowie do korytarza wpełznął się nowy pasażer. Był to wąsaty, starszy wiekiem pułkownik, sumiaste wąsy opadały mu na brodę, nos mięsisty i wydatny. Trochę podobny do Witośa. Wcisnął się z trudem między siedzącego na podłodze chudego mężczyznę w okularach, który czytał książkę, a chłopaka

obejmującego dziewczynę w malinowym sweterku. Ci młodzi palili papierosy i rozmawiali. Docierały do mnie strzępy ich rozmowy. Chłopak opowiadał wrażenia z sobotniej zabawy. Wybuchła rozróbka i on brał w niej bardzo czynny udział. W pewnym momencie strzepnął popiół z papierosa za okno. Przeciąg skierował popiół na pierś pułkownika. Oprószył baretki i ordery.

— Bardzo przepraszam — powiedział chłopak i schował papierosa w dłoń.

A pułkownik wybuchnął (może od tego stania? człowiek koło sześćdziesiątki; już tak stał przeszło godzinę):

— Tu wagon dla niepalących i nie wolno palić na korytarzu!

Zza pleców chłopaka wtrącił się starszy mężczyzna we flanelowej koszuli (skończył akurat palić; zrećcznie wyrzucił niedopałek za okno):

— Ale tak przecież zawsze było. W przedziale, owszem, nie wolno palić, ale jak chce człowiek zapalić, to wychodzi na korytarz, nie?

— Niezgodne z przepisami — burknął pułkownik otrzepując oprószoną pierś.

— Nawet konduktor pali sobie na korytarzu w wagonie dla niepalących — łagodnie upierał się ten we flanelowej koszuli.

— Moim zdaniem sejm powinien uchwalić specjalną ustawę o zakazie palenia na korytarzu — odezwał się mężczyzna siedzący w kucki na podłodze z drugiej strony pułkownika. Odłożył książkę, minę miał mądrą-głupią. — Jak nic ustawa albo wpis do konstytucji. — Ponownie zanurzył się w lekturze książki. Zgrywus. Jak on mógł czytać cokolwiek w tak niewygodnej pozycji?

Zaśmieliśmy się zgodnie, ja, ten we flaneli, jeszcze ktoś.

Pułkownik już się nie odezwał.

I tak wracaliśmy z wakacji do stolicy. Niebo było chmurne, powietrze duszne i gorące. Zanosilo się na burzę.

SPIS RZECZY

<i>Choinowe gałęzie</i>	7
<i>Chata za wsią</i>	9
<i>Optymistyczny Edzio</i>	13
<i>Dwukrotnie Rosja</i>	15
<i>Mietek Łapka redivivus!</i>	18
<i>Po wizycie kolegi J.</i>	22
<i>Choroba</i>	23
<i>Panta rhei</i>	26
<i>Hotel-grobowiec</i>	27
<i>Biedni ludzie</i>	28
<i>Wysoka świadomość</i>	29
<i>Ligawki</i>	32
<i>Opowieść z bazaru</i>	34
<i>Urodziny Z.</i>	35
<i>Swinie pożarły pawia</i>	39
<i>Petarda</i>	42
<i>Wyznanie księdza M.</i>	44
<i>Portret</i>	45
<i>Sprawa Anny P.</i>	50
<i>Rewizja</i>	51
<i>Góra złota</i>	55

<i>Motorniczy</i>	60
<i>Wampir</i>	61
<i>Trzech</i>	62
<i>Tęsknota za prostym rozwiązaniem</i>	64
<i>Droga donikąd</i>	65
<i>Benek</i>	69
<i>U Dominikanów</i>	71
<i>Opowieść Maryli</i>	81
<i>Umschlagplatz</i>	98
<i>Rozmowy z Darkiem</i>	99
<i>Smakosz</i>	118
<i>Zygmunt</i>	118
<i>Gnädige Frau</i>	131
<i>Upalne dni</i>	133
<i>Biały helikopter</i>	138
<i>Błogosławieństwo ziemi</i>	140
<i>Wrona</i>	145

KATALOG KSIĄŻEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

	Stron	F.
Arzak, M. (Ju. Daniel): <i>Odkupienie i inne opowiadania</i> ..	128	9,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bierezin, J.: <i>Wam</i> (Poezje)	76	12,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro. Szkice i opowiadania</i>	272	20,00
Brandys, K.: <i>Miesiące</i> (1978-1979)	256	75,00
Broński, M.: <i>Teksty i preteksty</i> (eseje literackie)	272	75,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Chciuk, A.: <i>Wizyta w Izraelu</i>	160	20,00
Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i>	160	35,00
Czapski, J.: <i>Tumult i widma</i>	352	85,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Czerniawski, A.: <i>Wiek złoty</i> (Poezje)	64	25,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia</i> (Kultura 1958-1973), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1962-1973), <i>Działalność wydawnicza</i> (1959-1973)	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura</i> (1973-1980), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1973-1980), <i>Działalność Wydawni-</i> <i>cza</i> (1973-1980)	310	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej</i> <i>w Warszawie</i>	76	15,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Gnomacki Wł.: <i>Towarzysz Szmaciak</i>	72	20,00
Gombrowicz, W.: „ <i>Dzieła Zebrane</i> ” t. I, <i>Ferdydurke</i>	296	55,00

	Stron	F.
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik</i> (1953-1956)	304	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VII, <i>Dziennik</i> (1957-1961)	256	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VIII, <i>Dziennik</i> (1961-1966)	224	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. III, <i>Pornografia</i>	168	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. X „ <i>Varia</i> ”	544	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. XI, <i>Wspomnienia polskie. — Wędrowniki po Argentynie</i>	256	50,00
Głós („Dokumenty” Nr 47)	272	75,00
Grynberg, H.: <i>Zwycięstwo</i>	96	9,00
Grynberg, H.: <i>Życie codzienne i artystyczne</i>	180	50,00
Guilley-Chmielowska, H.: <i>Spotkania na galerii</i>	192	9,00
Guzy, P.: <i>Krótki żywot bohatera pozytywnego</i>	160	40,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i>	245	13,50
Herbert, Z.: <i>Raport z oblężonego miasta</i> (Wiersze)	88	40,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas</i> (Poezje)	80	8,00
Iwaniuk, W.: <i>Wybór wierszy</i>	108	7,50
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
Jak z tego wyjść? (Seria „Dokumenty”)	80	25,00
Januszkiewicz, Maria: <i>Kazachstan</i>	200	55,00
Jedlicki, W.: <i>Klub Krzywego Koła</i> (Seria „Dokumenty”) ..	176	10,00
Jeleński, K. A.: <i>Zbiegi okoliczności</i>	424	120,00
Kaczmarek, J.: <i>Wiersze i piosenki</i>	140	45,00
Karpiński, W.: <i>Amerykańskie cienie</i>	192	65,00
Katelbach, T.: <i>Rok złych wróżb</i> (1943)	223	8,00
Kisielewski, St.: <i>Podróż w czasie</i>	136	40,00
Koestler, A.: <i>Ciemność w południe</i>	208	70,00
Korybutowicz, Z.: <i>Grudzień 1970</i>	160	55,00
Koszeliwec, I.: <i>Ukraina 1956-1968</i> (Seria „Dokumenty”) ..	272	18,50
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: „ <i>Kultura</i> ” 1947-1957. Bibliografia Kultury ..	392	15,00
Kowalska, J.: <i>Pogranicze</i>	280	80,00
Krynicki, R.: <i>Nasze życie roślinie</i> (Wiersze). (Seria „Bez Cenzury”)	104	25,00
Kuśmerek, J.: <i>Stan Polski</i>	80	30,00
Lipski, L.: <i>Piotruś</i>	80	7,00
Madej, B.: <i>Maść na szczury</i> (Seria „Bez Cenzury”)	208	30,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Mickiewicz, A.: <i>Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego</i> ..	104	25,00

	Stron	F.
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 5)	196	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród nauk</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 10)	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. I („Dzieła Zbiorowe”, t. 1)	292	75,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. II („Dzieła Zbiorowe”, t. 2)	240	70,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. III („Dzieła Zbiorowe”, t. 11) ..	112	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 7)	256	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Rodzinną Europą</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 6) ..	248	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Świadectwo poezji</i>	96	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 9)	174	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Zdobycie władzy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 4)	160	50,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 8)	224	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Zniewolony umysł</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 3) ..	240	60,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mostwin, D.: <i>Olivia</i>	288	15,00
Mrożek, Sł.: <i>Vatlav. — Ambasador</i> (dwie sztuki sceniczne)	124	40,00
Nowakowski, M.: <i>Raport o stanie wojennym</i>	100	35,00
Nowakowski, M.: <i>Raport o stanie wojennym II</i>	96	40,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Orłowski, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>	240	65,00
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>	55	5,00
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	200	13,50
Pomian, G.: <i>Polska Solidarności</i>	464	120,00
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Prawa człowieka i obywatela w PRL (13.12.1981-31.12.1982). Raport Komisji Helsińskiej w Polsce na Konferencję w Madrycie</i> (Seria „Dokumenty” Nr 49)	224	75,00
<i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Raport o stanie narodu i PRL</i> (Seria „Dokumenty”)	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i> (Seria „Dokumenty”) ..	288	18,50
Rekalski, A. T.: <i>Czy drugi Katyń?</i>	46	20,00
Rembek, St.: <i>W polu</i>	309	8,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Skrytki</i>	200	55,00
<i>Rozmowy niekontrolowane...</i>	246	75,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Singer, B.: <i>Od Witosza do Ślawka</i>	400	18,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00

	Stron	F.
Staliński, T.: <i>Śledztwo</i>	224	25,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00
Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość</i> (Seria „Dokumenty”)	128	9,00
Sułkowski, W.: <i>Szkoła zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	65,00
Tarniewski, M.: <i>Płonie komitet</i>	196	65,00
Toporska, B.: <i>Siostry</i>	216	13,50
<i>We własnych oczach</i> (Antologia współczesnej literatury sowieckiej)	524	24,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje)	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Izrael w poezji polskiej</i> (Antologia)	354	25,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia</i> , t. I/III	1324	99,00
Wołoszynowski, J.: <i>Było tak...</i>	200	45,00
Woroszylski, W.: <i>Literatura</i> (Seria „Bez Cenzury”)	180	45,00
Zagajewski, A.: <i>List — Oda do wielości</i>	96	35,00
Zaremba, P.: <i>Historia dwudziestolecia 1918-1939</i> , t. I i II, str. 238 i 342	670	170,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znasz-li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 łącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie.		
Każdy <i>Zeszyt</i> liczy 240 (lub 256) stron. <i>Zeszyty</i> Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20, 40, 41, 42, 46, 47, 49, 50, 51, 52, 53, 55, 56, 57 są wyczerpane. Ukazał się <i>Zeszyt</i> 65 (sierpień 1983).		
Cena pojedynczego <i>Zeszytu</i>		60,00

Prosimy Czytelników, by przy niewielkich zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki — przy większych 5 %. We Francji liczymy efektywne koszty porta (taryfa znacznie wyższa niż za granicę).

Prenumerata *KULTURY* na rok 1983:
rocznie — F. 340,00; półrocznie — F. 175,00.

Prenumerata *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH* na rok 1983:
rocznie — F. 240,00 (pojedynczy *Zeszyt* — F. 60,00
(dla prenumeratorów *KULTURY* — F. 220,00).

